- W poszukiwaniu ojca
- Kłopoty z rezerwatem
- Pościg stulecia

EKSPRES REPORTERÓW

- Aleksandra Ziółkowska
  W poszukiwaniu tożsamości
- Tomasz Ordyk
  Dolina pod specjalnym nadzorem
- Andrzej W. Małachowski
  Zniknąć w środku miasta
- W cyklu DZIEDZICTWO
  Zygmunt Krawczyk

Krajowa Agencja Wydawnicza
Warszawa 1983

Redaguje zespół
Jerzy Ambroziewicz, Bolesław K. Kowalski, Stefan Kozicki, Kazimierz Koźniewski, Aleksander Rowiński

Opracowanie redakcyjne
Anna Susicka

Projekt graficzny okładki
Marek Płoza-Doliński

Redaktor techniczny
Tomasz Kolasa

Korektor
Małgorzata Stankiewicz

4H.Sz.until.End.of.T.!

© Copyright by Krajowa Agencja Wydawnicza
Warszawa 1983

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA
RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH"
WARSZAWA 1983

Wydanie pierwsze. Nakład 100 000+350 egz.
Objętość: ark. wyd. 7,03, ark. druk. 7,06
Papier druk. kl. V, 70 g. szer. roli 71 cm
Skład, druk i oprawa: PZGraf. w Krakowie,
ul. Wielopole 1. Zam. 1506 Z-102
Nr prod. XII-5/989/81
Tomik 10/82

Aleksandra Ziółkowska

W POSZUKIWANIU TOŻSAMOŚCI

— Numer pani telefonu otrzymałem od Romana Rodziewicza. Nazywam się Mirosław Głowacz. Jestem synem „Lisa", żołnierza oddziału majora Hubala. Chciałbym się z panią spotkać i przekazać materiały o ojcu.

— Przekazać materiały?... Temat Hubala aż tak mnie nie interesuje. Mogę panu podać adres Marka Szymańskiego, jednego z żołnierzy majora. Napisał już książkę o oddziale, na pewno przyjmie chętnie cały materiał...

— Ale ja już poznałem pana Szymańskiego. Chciałbym się spotkać właśnie z panią. Pisała pani o „Romanie" Rodziewiczu, może zechce pani napisać i o moim ojcu.

— Czy te materiały ma pan w jednym egzemplarzu?

— Tak.

— To proszę zrobić ich kopie. Nie chciałabym być jedyną osobą, która je posiada.

Myślałam, że nie zachęcony, nie zatelefonuje. O Hubalu powstają wciąż nowe opracowania. Piszą je osoby bardziej zainteresowane tym tematem niż ja. Rodziewicz — jako temat — przyciągnął mnie, nie jako żołnierz oddziału majora Dobrzańskiego, ale jako przykład losu tułacza, wędrującego z miejsca na miejsce.

Po dwóch miesiącach zatelefonował.

— Mówi Mirosław Głowacz. Już mam kopie. Chcę je pani przekazać. Czy mogę dzisiaj?

— Dzisiaj? Nie, jestem zajęta. Spotkajmy się za tydzień, w kawiarni. I proszę jeszcze przemyśleć sprawę, czy na pewno chce mi pan podarować te materiały.

Spotkanie. Jest wysoki, szczupły, mówi szybko, dużo, chaotycznie. Podenerwowany, przejęty, zmienia temat, gubi się, nie kończy zdań. Powoli z jego bezładnej mowy wyłuskuję coś, co zaczyna mnie zaciekawiać. Autentyczna pasja i zainteresowanie: już kilkanaście lat tropi ślady ojca, z zaangażowaniem, determinacją, pyta, pisze listy, jeździ, rozmawia. Chce wiedzieć.

— On był wielki, proszę pani, on był bohaterem. Wszyscy mi to mówią: to pan jest synem Głowacza, to pan jest synem „Lisa"?... Taki wtedy jestem dumny...

— Jak pan zaczął zbierać materiały? Co pana skłoniło do tego? Czemu pan bada ślady działalności ojca? Ile lat pan miał, jak zginął ojciec? Czy wychowywano pana w legendzie o nim?...

— Ojca ani matki nie pamiętam. Wiedziałem, że gdzieś żyje moja ciotka, ale nie miałem z nią prawie żadnych kontaktów. Wychowałem się w domu dziecka. Zupełnie przypadkiem odkryłem całą prawdę o mojej przeszłości.

Bardziej niż opowieść o wyczynach ojca Hubalczyka, zainteresował mnie on sam. Wypytywałam o dzieciństwo, młodość. Trochę irytował się i dziwił, że nie idę tropem, który mi sam chciał podsunąć.

— Czemu ja? Czemu pani pyta o mnie? Ja się nie liczę... Ot, smutne życie miałem. Przegięło się na lepszą stronę dopiero wtedy, gdy dowiedziałem się o wszystkim...

*

Urodził się w Warszawie w roku wyprzedzającym wybuch drugiej wojny światowej. Pamięta jednak nie Warszawę, ale wieś Skąpe w powiecie koneckim. Były to strony rodzinne jego matki Józefy Jasińskiej. Mieszkali w wynajętej dwuizbowej chałupie, której jedyną zaletą było usytuowanie: tuż przy lesie, niedaleko wsi. Można było niezauważalnie przychodzić i oddalać się. W owych czasach było to istotne.

Pamięta krótkie wizyty ojca w domu... — Kiedyś bił się ze mną na szable. Używaliśmy kijów; taka zabawa. Rozgniewany, że przegrywam, uderzyłem go mocno w plecy. Otrzymałem wtedy porządne lanie...

Chłopiec wiedział, że ojciec się ukrywa, że jeździ na jakieś akcje. Nie pamięta jednak nic szczególnego. Chętnie wspomina prezenty, jakie mu i jego młodszemu bratu — Henrykowi-Hubalowi — ojciec przywoził. Na czyją pamiątkę brat nosił te imiona, wtedy nie kojarzył.

Jeden dzień szczególnie pamięta. Koniec września 1941 roku. Ojciec jest w domu. Matka kończy przyrządzać obiad, krząta się po izbie. Przez okno widzi dwóch Niemców na koniach, zbliżających się do ich domu. Krzyczy — Franek, Niemcy! Ojciec wyskakuje na podwórze. Schyla się nad pługiem, oczyszcza go z ziemi. Ukradkiem obserwuje nadjeżdżających. Ma na sobie cywilne ubranie. W odległości dwudziestu metrów Niemcy zatrzymują konie. Jeden z nich krzyczy: *Hände hoch!* Ojciec odwraca się bokiem, błyskawicznie wyciąga pistolet i strzela. Niemiec spada z konia, jedną nogą wisi zaczepiony w strzemieniu. Ojciec podbiega. Ranny krzyczy po polsku — Daruj! Mam żonę i dzieci... — Ty skurwentensynu, ty masz ojczyznę, a ja, nie mam!... Cały magazynek ładuje w pierś rannego. Tymczasem drugi Niemiec zeskakuje z konia i biegnie przed siebie w pole.

Krzyczy — *Bandit, bandit!...* Potyka się, uderza o drzewo. Głowacz chce gonić, ale żona zatrzymuje go — Franek, nie zabijaj... Mirek pamięta, że jeszcze mówiła, iż ten uratowany może kiedyś ich obroni. Ojciec wsiada na konia, drugiego trzyma za uzdę i krzyczy do matki, żeby wsiadała. — A dzieci... Podobno ojciec odpowiedział: — Dzieci będą drugie... Ale Mirek nie słyszał tego, tylko potem ciotka mu tak mówiła. Ojciec pomyka w las. Drugi wolny koń podąża za nim. Głowacz strzela do niego. Mówiono, że ranne zwierzę dowlokło się na posterunek niemiecki.

W niedługim czasie po tym zajściu, przyjechały odkryte ciężarowe wozy niemieckie. Trzyletni Mirek stał i patrzył. Obmyto ciało zabitego, owinięto w koc i włożono do samochodu. Zabrali matkę, Mirka, siedmiomiesięcznego Henryka-Hubala oraz dziadka. Samochody ruszyły. Po kilku kilometrach zatrzymały się. Drogą szedł chłop, Odziemek się nazywał. Niemiec wziął dziecko od matki, Mirkowi kazał wysiąść i zawołał chłopa. Podał mu małego, wskazał na Mirka i powiedział, żeby dziećmi się zajął, odprowadził do gminy. Samochody odjechały. Matki i dziadka Mirek już nigdy nie zobaczył.

✲

Odziemek oddaje chłopców do gminy. Po kilku dniach zgłasza się ciotka Maria Jasiak, siostra matki i zabiera dzieci ze sobą. Mieszka we wsi Radwanów, niedaleko Słupi.

Ciotka jest energiczną, dorodną, jeszcze młodą kobietą. Mąż jej jest w Oświęcimiu. Sama gospodaruje na czterech morgach. Dzielna i wytrwała — tak ją wspomina obecnie Mirosław. Mieszka w jednej izbie z pięciorgiem własnych dzieci, teraz jej przybyło jeszcze dwoje siostry. Najstarszy jej syn ma lat

czternaście, najmłodszy, Alek, jest rówieśnikiem Mirka.

Ojciec wpadał do domu nocą, ukradkiem, zawsze się spieszył. Kiedyś przyniósł Mirkowi buty filcowe, innym razem ołówki, bombki na choinkę. Zmieniał bieliznę, jadł coś gorącego i odchodził. Pewnego dnia, w niedługim czasie po wizycie ojca, przyszli Niemcy. Pięciu ich było, mieli psa. Mirek leżał w łóżku razem z trojgiem dzieci. Przerażony nakrył się pierzyną. Pies podszedł do łóżka, wąchał, zimnym nosem dotykał gołych, ciepłych nóg chłopca. Tymczasem Niemcy pytali ciotkę — Kiedy znowu przyjdzie Głowacz? — Nie wiem... Mówiła trochę po niemiecku. Była na robotach w Niemczech, nauczyła się. Mówiła, że owszem, wpada do domu, że ona go przyjmuje, bo się go boi.

— Mógłby zastrzelić, gdybym nie przyjęła — mówi.

— W jakim kierunku poszedł?

— Nie wiem, nie wiem...

Innym razem ciotka kąpała Mirka z młodszym bratem w jednej balii. Weszli Niemcy. Izba bez sieni, powiało zimnem.

— Co to za dzieci? „Lisa"?

— Tak, odpowiedziała ciotka.

Nic jednak nie zrobili. Poszli.

W sąsiedztwie mieszkał brat matki Jan Jasiński. W pierwszych dniach wojny wyjechał do Szwecji, wrócił. Nie chciał walczyć, nie widział potrzeby oporu. Szwagra jednak tak się bał, że Niemcom nie doniósł. Bał się go więcej niż Niemców.

Zimą, czterdziestego trzeciego roku mały Henryk Hubal zachorował na koklusz. Ciotka zaniosła go do Kielc, do szpitala. Jedną noc przenocowała u znajomej „Lisa". Kobieta dała jej trochę pieniędzy. Stan chłopca nie ulegał poprawie. Wróciła na wieś. Po

kilku dniach otrzymała wiadomość, że Henryk-Hubal nie żyje. Nikt nie pojechał do Kielc. Mirosław nie wie, gdzie jest mogiła brata.

✲

Bieda wielka panowała w domu. Oprócz chleba, w wydzielanych porcjach, codzienna zalewajka; nic innego się nie jadało. Ciotka otrzymywała pomoc z gminy na wychowanie dzieci. Po ten zasiłek, w formie dodatkowej porcji chleba i mąki, szła siedem kilometrów. Zimą, żeby się nie ślizgać na drodze, miała powbijane w trepy gwoździe. Mirek pamięta przyjemność zimy — sanki, które mu najstarszy syn ciotki zrobił z dwóch desek. Klękał na sankach i objeżdżał ścieżki za stodołą. Chuchał na zmarznięte, bez rękawiczek ręce. Powstawały rany, pęknięcia tak głębokie, iż wydawało mu się, że przez nie kości widać. Kiedyś, idąc ze szkoły do domu, zmarznięty przykucnął na moment, żeby odpocząć. Zaczynało mu być ciepło, przyjemnie, sennie. Pamięta, że przemógł się i wrócił do domu.

Na wsi prądu nie było, długie wieczory spędzano często gromadnie. Do ciotki, młodej jeszcze kobiety, przychodzili sąsiedzi. Paliło się lampy, opowiadało. Kobiety przynosiły ze sobą kołowrotki, starsze przędły na wrzecionach, co było nie byle jaką sztuką. Kobiety pytały wtedy:

— A gdzie masz ojca?

— Niemce zabiły.

— A co zrobisz, jak urośniesz?

— Zastrzelę ich także! — odpowiadał hardo.

Wiedział, że ojciec nie żyje, ale nie wiedział ani o okolicznościach, ani gdzie jest mogiła.

Kiedyś zemdlał w czasie takich spotkań wieczornych, przysłuchując się śpiewom. Zemdlał od czadu z palącego się brzozowego drewna.

Zapamiętał dużo piosenek. Na przykład jedną o odważnych chłopcach z lasu i ich wyczynach:

... Nie masz to jak partyzanty — ty, ty, ty,
same chłopy eleganty — ty, ty, ty,
pojedzą, popiją no i szwabów wybiją,
to robota partyzantów — tów, tów, tów...

*

Z zakończenia wojny pamięta obraz, jak wojska rosyjskie szły na zachód. Cały dzień. Rano widział pełne odpadków, zaśmiecone drogi. Potem znowu szli inni. Komendant nocował w ich domu. Ciotka miała potem cukier, koce, bieliznę, którą jej Rosjanin podarował. Przed wojskiem ukrywano żony, dziewczęta. Konie puszczane były luzem na zasiewy. Nie dawały się odpędzać, wygłodniałe stawały dęba, nie chciały odejść od jedzenia. Pasły się w prosie. Ciotki len i proso nie były zniszczone, bo Rosjanin przypilnował żołnierzy, by na jej polu nie pasły się konie. Kiedyś Mirek zobaczył na rowerach dwóch ludzi w mundurach. Zdawało mu się, że to Niemcy. Uzbierał kamieni i z ukrycia ciskał nimi. Zatrzymali się. Wtedy uciekł do domu. Widział, jak z pistoletem w ręku krzyczeli na ciotkę. Ta chwyciła pas i zaczęła smagać plecy chłopca, czym po jakimś czasie uspokoiła rozwścieczonych przybyszy.

Wraz z Alkiem, najmłodszym synem ciotki, wysłany został do szkoły w Kolonii, koło Radwanowa. Trzy kilometry trzeba było iść drogą. Zimą było to prawie nie do pokonania. Chłopiec, ubrany w trepy i lekki paltocik, marzł z zimna, grzązł w śniegu. Alek prawie w ogóle nie chodził do szkoły, siedział w domu, cały dzień przy kuchni, grzał nogi fajerkami, nie wychodził na zewnątrz. Mirek jednak do szkoły chodził. Książek nie miał. Jedzenia ze sobą nie zabierał.

Samozaparcie, jakie posiadał, nie wie, czemu zawdzięczał.

Jakiś czas po wiadomości, że mąż zginął w Oświęcimiu, ciotka wyszła ponownie za mąż. W ciągu dwóch lat urodziła dwie córki. Drugi mąż, Roch Szczepański, dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa oddał do sierocińca. O sierociniec było wtedy trudno. Ciotka postanowiła jednak dla Mirka go załatwić. Najstarszego syna Staszka wysłała do pracy, drugiego na służbę do ludzi — pasał krowy u bogatych gospodarzy.

✲

W grudniu 1947 roku, w mroźny ranek, chłopskimi sankami jedzie z ciotką do odległych o czternaście kilometrów Radoszyc. Całą drogę martwi się, że zapomniał zabrać magazynek z nabojami do pistoletu, który znalazł na strychu obory i w tajemnicy przechowywał w izbie, za kredensem. Wiedział, że to był magazynek ojca i teraz cierpiał, że nie wiezie go ze sobą. Była to jego pierwsza w życiu podróż.

Z Radoszyc do Końskich jest dwadzieścia kilometrów. Drogę tę przebywa z ciotką prywatnym, odkrytym samochodem. Nie bardzo zdaje sobie sprawę, gdzie jedzie.

W Końskich idą do Inspektoratu Szkolnego. Ciotka nie żegna się z nimi, tylko mówi — Poczeka Mirek, przyniosę ci bułkę z masłem. Wyszła. Myślał chciwie o tej bułce. Byłby to wielki rarytas. Czyżby to miała być bułka, o której słyszał, kiedy mówiła do dzieci, gdy nie chciały jeść zalewajki — A może zachciewa się wam bułki z masłem, co?

Dopiero około południa zaniepokoił się, że ciotka jednak nie wraca. Był cały czas sam. Przyszła kobieta, zaprowadziła dziewięcioletniego Mirka do domu, gdzie było dużo innych dzieci. Wtedy dopiero

zrozumiał, gdzie jest. Płakał w kącie. Nikt o nic go nie pytał. Usłyszał, jak płacze głośno inne dziecko — jedna z opiekunek karciła je.

Następnego dnia przyjechała kierowniczka Państwowego Domu Dziecka, Stanisława Reszke i zabrała go do Rzucowa. Trzydzieści osiem kilometrów jechali razem samochodem. Z Mirkiem zabrano jeszcze dwoje innych dzieci. Znaleźli się w nowym domu.

W Domu Dziecka w Rzucowie, mieszczącym się w dawnym pałacyku dziedzica Mokiejewskiego, było trzydzieści izb. Mieszkało w nim sześćdziesięcioro dzieci w wieku od dwóch do piętnastu lat. Połowa dziewcząt, połowa chłopców. Podzieleni byli na grupy i sekcje. Chłopcy spali na parterze, dziewczęta na piętrze. Sypialnie zdarzały się i piętnastoosobowe. Starsi, jak Mirek, sypiali w ośmioosobowych. Sala, która była jego sypialnią, przypominała mu izbę u ciotki. Spało też osiem osób z tą różnicą, że tutaj każdy miał własne łóżko. U ciotki bowiem ośmioro dzieci spało na trzech łóżkach. Tutaj łóżka były aluminiowe. Były też osobne koce, poduszki.

Na kolację dostał kiełbasę. Jadł ją po raz pierwszy w życiu, całą noc bolał go żołądek. Przewracał się i płakał z bólu.

Po raz pierwszy w życiu zobaczył światło elektryczne. Nie mógł się nadziwić. Długo też przyglądał się głośnikowi radiowemu czekając, kiedy ten pan co mówi, wyjdzie z niego.

Przeszedł badania lekarskie. Młoda lekarka patrząc na niego powiedziała — Tylko skrzydła mu doprawić i będzie mógł fruwać. Długo to pamiętał. Dzieci też przezywały go chudzielcem.

Nocami śnił o ojcu. Brakowało mu kogoś, do kogo mógłby tęsknić. Ciotka nigdy go nie odwiedziła.

Nikt go nie odwiedzał. Wigilie spędzał z dziećmi, po które, jak po niego, nikt się nie zgłaszał.

Każdej niedzieli pani Reszke prowadziła dzieci czwórkami do kościoła. Było tak do 52 roku. Wspomina chętnie wychowawcę, pana Bolka. Młody i energiczny budził u wszystkich sympatię. Zabierał chłopców do lasu, urządzał zabawy. Czasami pana Bolka zabierał samochód na dwa, trzy dni. Kiedyś uciekał przez okno, strzelano do niego. Był ranny w ramię. Mirek nie wiedział, o co chodzi, w co pan Bolek był zamieszany.

Napisał do ciotki list do Radwanowa, żeby przysłała mu fotografię rodziców. Przysłała. Kierowniczka pokazała mu je i schowała do akt, pocieszając, że jak dorośnie, to zdjęcia te otrzyma na własność.

Jako jedenastoletni chłopiec wyjeżdża na obóz harcerski do Czaszyna koło Leska. Dwa lata później do Jantaru nad morze. Obozy te, z wartami, namiotami, są jasnym wspomnieniem do dzisiaj.

W 1950 roku Sąd Powiatowy w Końskich przyznaje mu opiekuna prawnego w osobie ciotki ze Studzieńca. Ciotka Bronka była siostrą matki Mirka. Nie była zachwycona tą przymusowo zleconą opieką. Kiedyś odwiedził ciotkę. Przez drzwi usłyszał przerażony głos — Mamo, Mirka nam przysłali ...Obawiano się, że będzie ich zbyt często odwiedzał. Więcej nie ponowił wizyty.

Odwiedził kiedyś ciotkę z Radwanowa. Pierwszy raz po szesnastu latach. Przyjechał z innymi kolegami, z którymi potem na krzyżówce się rozstał. Osiem kilometrów szedł jeszcze pieszo. Nie uprzedzał wizyty. Około dwunastej w nocy zapukał do drzwi.

— Kto tam?...

— To ja, Mirek... Otworzyła. Wszedł do izby. Popłakała się.

— Nie bałeś się po nocy? Przecież na moście straszy... Była znowu sama. Mąż nie żył. Wychowywała dwoje najmłodszych dzieci. Usmażyła jajecznicę, wypytywała. Nie zapraszała specjalnie, żeby jeszcze przyjeżdżał — choć przyjęła go serdecznie.

Kończy szkołę podstawową, idzie do Liceum Ogólnokształcącego w Końskich. Na wywiadówki nikt nie przyjeżdża. Jest sam. Wspomina lata 52—53, kiedy w szkole kwitło ZMP. Był taki uczeń, który nawet swoją nauczycielkę zaprowadził na przesłuchanie. Nie lubił matematyki. Na półrocze groziło mu niedopuszczenie z dwóch przedmiotów. Lubił lekcje polskiego. Za wypracowanie „Postacie kobiece u Żeromskiego" dostał pochwałę od nauczyciela. Ostatecznie, po niepomyślnym roku w Końskich, przenosi się do liceum do Szydłowca.

Pamięta brud, jaki panował w domu dziecka. Szczególnie po odejściu państwa Reszke. Nowe kierownictwo nie pilnowało porządku, źle zarządzało wszystkim. Była bieda, bałagan. Wszy. Ubranie wystawiał na mróz, żeby je zabić. Zimą nosił w kubełku wodę, by sobie koszulę uprać. Miał tylko jedną. Stale prana w zimnej wodzie, nabrała szarego, brudnego koloru. Na zabawy szkolne, między innymi z tego powodu, nie chodził. Inni chłopcy, z rodzin, mieli zapasowe, świeże koszule. Wstydził się.

Mało jedzenia, stale za mało. Kromki chleba nierówne. Jedli szybko — łapczywie, jeden przez drugiego — żeby dostać jeszcze jedną. Dla wszystkich ta druga nie starczała. Do mycia nosili kubłami wodę ze studni. Dwie miski i dwa kubły na wodę, a chętnych do mycia było dwadzieścia pięć osób. Czekali w kolejce.

Nie miał butów. Kiedyś wziął rachunek na nowe buty — całe 350 złotych. Otrzymał pieniądze z Domu Dziecka, ale butów nie kupił. W listopadzie cho-

dził jeszcze w sandałach. Śmieli się z niego, pokpiwali. — Ale masz ciepłe buty na zimę... Wstydził się. Wszystkiego. Wchodził na drzewo, siedział skulony, nie zauważany. Dobierał kolegów młodszych, słabszych i mniejszych. Ulegali mu, poddawali się. Ale naprawdę nie przyjaźnił się z nikim. Dużo czytał; przypadkowe lektury. Pamięta książkę pt. *Lukrecja Borgia*, inne: *Kobieta Papież*, *Orlica*, *Perła Szanghaju*. Czytał też Ossendowskiego, Kraszewskiego, Coopera, Courwooda.

Na wakacje jeździł pracować. Brud otaczał go wszędzie. Kiedyś położył się spać na stole, którego nogi umieścił w blaszanych puszkach z wodą. Myślał, że prześpi spokojnie noc, ale pluskwy weszły na sufit i spadały na śpiącego.

Był niezmiernie chudy. Wystające łopatki, ubranie wisiało na nim jak na manekinie. Dziewczęta i rówieśnicy podśmiewali się z niego. Był samotnikiem. Zauważył jednak, że w dyscyplinach zręcznościowych jest lepszy od swoich kolegów, rówieśników. Inne dzieci były bardziej powolne, niezgrabne. Najlepszy był w rzucie oszczepem. Wygrał zawody o mistrzostwo województwa kieleckiego. Zaczął marzyć o karierze sportowej. Hymn narodowy brzmiał mu w uszach, widział siebie na podium zwycięzcy. Rekordy, sława, wywiady.

Smak zwycięstwa poczuł pierwszy raz w Szydłowcu. Podeszły do niego dwie dziewczyny, pogratulowały wyniku i pocałowały. Pierwsza nagroda! Wychowawca internatu Józef Dadaj wraz ze swoim bratem, dużo ćwiczyli z młodzieżą. Mirkowi szło dobrze, zależało mu na coraz lepszych wynikach. Rozumiał, że to jest szansa na zmianę egzystencji, jego okno na świat.

W dziesiątej klasie powołany został do kadry wojewódzkiej. Zaproszony był na obóz sportowy do

Sopotu, potem do Skarżyska. W 1957 roku pojechał na mistrzostwa juniorów w rzucie oszczepem. W Skarżysku słuchał pilnie trenera, byłego zawodnika kadry narodowej, Bohdana Winiarskiego.

Na kolejny obóz dostał pieniądze na przejazd, ale miał inne problemy. Jechał w swojej jedynej koszuli i spodniach. W Gdańsku Oliwie spotkał się pierwszy raz ze sportem światowym. Zazdrościł innym schludnego ubioru. Wstydził się swojego. Otrzymał drugie miejsce. Powinien pojechać na Węgry, gdzie miały się odbyć mistrzostwa juniorów z NRD, Węgier, Polski, ZSRR, Rumunii. Na zawody jednak go nie wysłano. Był rozżalony. Jeździł jeszcze do Poznania, Wrocławia. Wygrywał.

Zaczął odczuwać ból stawów. Nauka szła mu źle. Ze sportem wyczynowym ostatecznie rozstał się na zawsze.

✲

Miał dziewiętnaście lat. Dyrektor Domu Dziecka w Rzucewie, Wiktor Podgrodzki wysłał go z chorym dzieckiem do szpitala do Radomia. Był to rodzaj delegacji. Mirek zaprowadził chore dziecko do szpitala. Szedł ulicą Żeromskiego. Zatrzymał się przy księgarni. Na witrynie zobaczył książkę Wańkowicza. O Wańkowiczu wiedział od wychowawcy w Szydłowcu. Wiedział, że jest to autor *Monte Cassino*. Książka, którą oglądał nosiła tytuł *Hubalczycy*.

Po cichu powtarzał słowa — Hubalczycy, Hubalczycy... Brzmiało to nie obco, a nawet budziło dalekie echa... „brzmiało mu dawną, kiedyś słyszaną muzyką...". Skąd to znał?... Wszedł do środka, pokazał palcem książkę, zapłacił 15 złotych. Kupił. Była jego. Usiadł na ławce nie opodal księgarni, przewracał kartki. Były zdjęcia. Na jednym z nich uchwycił podpis — Kapral „Lis"... W tekście —

Franciszek Głowacz w Legii Cudzoziemskiej we Francji. Poczerwieniał z wrażenia. „Lis" — to pseudonim ojca, pamiętał. Czytał:

„Plutonowy zawodowy Głowacz, z 1 Pułku Szwoleżerów. Zdegradowany za znęcanie się nad rekrutami, skazany na trzy lata więzienia, zbiegł z transportu do Legii Cudzoziemskiej, w której przebywał długie lata, ponawiając z niej czterokrotnie ucieczkę, wreszcie ze skutkiem; popełnił w Niemczech bigamię; gdy zanosiło się na wojnę, podkradł żonę Niemkę i zameldował się do pułku. W oddziale Hubala nosił pseudonim „Lis", pasujący do jego lisiego pyska o małych biegających oczach. Hubal cenił jego zdeterminowaną, zdecydowaną na wszystko bandycką odwagę. »Po wojnie pierwszy cię zamknę — mawiał — znajdziesz się na samym czubku szubienicy«. Losy zrządziły inaczej, a może i nie. Po zlikwidowaniu oddziału Hubala „Lis" prowadził patriotyczno-bandycką partyzantkę na własną rękę. Ulubiony trick jego bandy — to było przeciąganie liny stalowej na ukos przez drogę. Pędzący samochód niemiecki wpadał w rów, w którym już oczekiwali okrutni oprawcy. Mówią, że walczył do końca okupacji".

I dalej pod koniec:

„Lis" znalazł złoto przy zabitym Niemcu, rozłakomił się, poszedł »na swoje«. Zebrał bandę w Górach Świętokrzyskich, liczącą przeciętnie dwudziestu ludzi i grasował z nią jeszcze przez półtora roku. Był wierny obietnicom, które składał zbandycony Jura za życia majora — grabił Niemców. Przeciągał przez szosę na ukos listewkę stalową, a kiedy samochód niemiecki rolował do rowu, zabijał i obierał pasażerów i po zacisznych melinach oczekiwał, aż zacichnie śledztwo. Co z nim ostatecznie się stało, nie wiem."

Odnalazł ojca...

Nie był nikim, sierotą z niewiadomymi rodzicami. Jego ojciec był bohaterem! Piszą o nim w książce...

Wrócił do domu dziecka. Pobiegł do wychowawcy. Wiktor Podgrodzki przeczytał książkę. Pokazał innym nauczycielom. Mirek był bohaterem. Mówiono o nim. Koledzy patrzyli na niego. Zorganizowano wycieczkę do Hucisk. Pod Górą Skłobską urządzono piknik, smażono kiełbaski. Wyszedł gospodarz, miał około sześćdziesięciu lat. Dali mu kiełbasek. On opowiadał...

— Przyprowadziłem Hubalowi krowę. Ten pyta: — Ile masz krów? — Tylko jedną. — To ją zatrzymaj... — Panie, to ja dla wojska przyprowadziłem, jak jej nie zjecie, Niemcy zabiorą... Hubal polecił wypłacić pieniądze, krowę przyjął. Pieniędzy zaś dostałem tyle, że mógłbym za nie kupić trzy krowy. Otrzymałem też pismo od Hubala z nakazem, abym się z nim po wojnie zgłosił. Pismo schowałem w butelkę, zakorkowałem, zakopałem pod jodłą. Las wyrósł potężny. Zgubiłem orientację.

Mirek słuchał. Drżącym z przejęcia głosem spytał:

— Czy pan znał „Lisa"?...

— Głowacza? A kto go nie znał? Wszyscy go znali.

— Ja jestem synem „Lisa", powiedział z dumą Mirek.

Jaki był odmieniony, jaki szczęśliwy. Jak nigdy w życiu dotąd. Książkę czytał wiele razy, czytał na głos.

Pojechał do ciotki, do Radwanowa. Była to jego druga wizyta. Przywiózł ze sobą książkę, czytał na głos fragmenty. Wszyscy słuchali. Poszli razem do kościoła. Chciwie słuchał opowieści o ojcu, o matce, o rodzinie. Pokazali mu album ze zdjęciami i dokumenty, które ocalały. Resztę ciotka spaliła, bała się.

Oglądał album ze zdjęciami, nie było ich wiele, zabrał. Ciotka nie protestowała. Dała mu też szablę ojca. Opowiadała. — O Hubalu nie słyszała, w każdym razie nie kojarzyła. Dowiedział się od niej wiele szczegółów. Także o matce.

Zabrano ją do więzienia w Końskich. Razem z nią siedziała kobieta, którą Niemcy później zwolnili. Opowiadała, że matkę Mirka brano na badania, pytano o kontakty „Lisa", nazwiska osób, plany. Bito ją, szczuto psami. Ona zaś nieustannie ich lżyła, wpadała w histerię.

Podobno ojciec zbierał ludzi, szykował napad na więzienie. Ktoś mówił, że w styczniu 1942 roku przebrany w mundur oficera gestapo odwiedził matkę w więzieniu. Pracowała wtedy w pralni, w gorącej parze. Podobno po tej wizycie brano ją na kolejne tortury. Kiedyś nie wróciła z kolejnego przesłuchania.

Prawdopodobnie została rozstrzelona. Zwłoki zakopano na terenie więzienia. Nastąpiło to w lutym lub w marcu 1942 roku. Mogiły nikt nie umie wskazać.

Dziadka wywieziono do Oświęcimia i tam ślad po nim się urywa.

Mirosław zbierał wiadomości o ojcu. Wybrał się na Kielecczyznę. Ciągnęło go tam tak mocno, że wziął rower i objeżdżał okolicę. Jeździł po lesie, myślał o ojcu. Jakby go teraz poznał na nowo. Tak bardzo chciał wiedzieć więcej. Miał jeszcze tyle białych plam, tyle niejasnych, niewyjaśnionych spraw.

Z bratem matki Marcinem Jasińskim pojechał na miejsce, gdzie zginął ojciec. Z synem ciotki Stanisławem też jeździł rowerem. Przemierzał też te okolice sam. O ojcu wiedział coraz więcej.

*

Ojciec Franciszek Głowacz urodził się w 1910 roku. Jako osiemnastoletni chłopiec wstępuje na ochotnika do 11 Pułku Ułanów Legionowych w Ciechanowie. W 1933 roku przenosi się do 1 Pułku Szwoleżerów w Warszawie. W rok później wstępuje do Legii Cudzoziemskiej i walczy w Północnej Afryce. Od byłych żołnierzy 11 Pułku Ułanów Legionowych Mirek dowiaduje się, że o ojcu stale opowiadano sobie anegdoty, opowiadano, że był pełen temperamentu i nowych pomysłów. Posiada zdjęcie przedstawiające ojca podczas defilady w święto pułkowe (11 XI 1932), na którym widać, że ojciec wiezie buńczuk dywizyjny, co było dużym wyróżnieniem dla żołnierza. Dowiedział się też, że kiedyś ojciec, dla kawału kazał ułanowi paść na ziemię, założył mu siodło na plecy i ujeżdżał jak konia. Został za to ukarany.

Opowiadano mu takie wydarzenie — kiedyś w Ciechanowie po jednej stronie ulicy szedł Głowacz, po drugiej zaś młody oficer. W pewnym momencie oficer ten zatrzymał się i przywołał do siebie kaprala Głowacza pokrzykując, czemu ten mu nie salutuje. Regulamin nie nakładał obowiązku salutowania przez ulicę. Głowacz w odpowiedzi zasalutował — ale.. do głowy oficera, który padł jak długi.

O tych i innych wyczynach opowiadano sobie długo.

Mirosław uważa, że przeniesienie ojca do 1 Pułku Szwoleżerów w Warszawie, do pułku Wojska Polskiego, było zaszczytnym wyróżnieniem, a nie, jak pisze Wańkowicz w *Hubalczykach* — degradacją.

Posiada także zdjęcie z 1934 roku z podpisem ojca — *„Kiedy konałem nikomu nieznany, dostałem to zdjęcie na pamiątkę. Warszawa, Szpital im. Marszałka Polski J. Piłsudskiego, 1934 rok"*.

Dotychczas nie ustalił przyczyny wyjścia ojca ze służby zawodowej w Wojsku Polskim i przyczyny znalezienia się w szpitalu. Uważa, że była to historia tajemnicza albo mało ważna. Zwykle ojciec zwierzał się ze swoich spraw, zaś o pobycie w szpitalu nigdy nikomu nie mówił.

Po wyjściu ze szpitala wyjeżdża do Francji, do Legii Cudzoziemskiej. Ma 24 lata, jest kawalerem. Podczas służby w Północnej Afryce zaprzyjaźnia się z jakimś Niemcem, z którym w niedługim czasie ucieka z Legii. W Tangerze dostają się na niemiecki statek i przypływają do Hamburga. Przez kilka tygodni Franciszek Głowacz mieszka u znajomego Niemca. Wkrótce poznaje dziewczynę, przenosi się do niej. Nic nie wskazuje, że się z nią ożeni. O tej Niemce opowiada potem kolegom w oddziale Hubala. Stąd zdanie Wańkowicza, jakoby „Lis" *»podkradł żonę Niemkę«*. Że w Niemczech narobił bałaganu, popełnił bigamię, jest to według syna Mirosława nieprawda.

W kościele św. Bonifacego w Warszawie znajduje się zapis z 1937 roku stwierdzający, że Franciszek Głowacz wziął ślub z Józefą Jasińską. Nikt z najbliższej rodziny na tym ślubie nie był. Ciotka — siostra matki — wyrażała nawet wątpliwości, czy w ogóle się pobrali. Dopiero po dwudziestu sześciu latach Mirosław znalazł potwierdzenie — w kościelnej księdze chrztów i ślubów.

W sierpniu 1939 roku Franciszek Głowacz zgłasza się do Wojska Polskiego i bierze czynny udział w kampanii wrześniowej. Podczas walk w rejonie Piotrkowa dostaje się do niewoli niemieckiej. W czasie wywozu jeńców w głąb Rzeszy ucieka z transportu kolejowego, przedostaje się za niemiecką granicę i pod koniec września 1939 roku przybywa do Radwanowa, rodzinnej wioski żony, która w pier-

wszych dniach września przyjechała tutaj z synem Mirosławem.

W październiku tego roku ojciec wstępuje do stacjonującego w pobliżu oddziału majora Dobrzańskiego — Hubala.

Po rozwiązaniu oddziału nie rezygnuje z walki z okupantem i już w lipcu 1940 roku, na terenach Hubalowych i przy pomocy odkopanej Hubalowej broni, amunicji i kontaktów — organizuje partyzancki oddział. Przeprowadza brawurowe i głośne na tych terenach akcje *), ginie 7 kwietnia 1942 roku w lesie, w kolonii Kresy — w odległości 3 km od wioski Bobrowniki, nad górną Pilicą, w rejonie Przedborza.

*

Skończył liceum w Szydłowcu. Chciał się uczyć dalej. — ...„Wiedziałem, że mój ojciec był kimś ważnym, chciałem iść na studia..."

Z dużą walizą pojechał do Warszawy na egzaminy. Chciał się dostać na Akademię Wychowania Fizycznego. Nie zdał egzaminu z fizyki. Nie umiał odpowiedzieć na pytanie — co wie o lepkości cieczy... W komisji siedział jego trener z czasów, kiedy był w kadrze polskich juniorów w rzucie oszczepem. Teraz pomógł mu. Mirosław został przyjęty na studia. Zaczął kolejny okres życia — w Warszawie.

Pamiętał, jak przyjechał tutaj na wycieczkę z dziećmi z domu dziecka. Oprowadzała ich pani Reszke. Pamięta gruzy. Brał leżące naokoło kamienie i rzucał przed siebie. — Takiego to wziąć do Warszawy — powiedziała ze złością pani Reszke.

*) Relacje o dziejach ojca z tego okresu otrzymał Mirosław m. in. od Antoniego Cyrana, pseudonim „Chojna".

Pamięta, jak na pierwszym roku studiów na spotkanie ze studentami przyjechał Melchior Wańkowicz. Cała sala tłumnie zgromadzonych ludzi słuchała pisarza, który mówił o Monte Cassino. Po wieczorze Mirek wraz z kolegą podeszli do pisarza. Kolega jego powiedział: — To jest syn „Lisa". Mirek wcześniej poprosił, by go przedstawił. Sam nie miał śmiałości. Wańkowicz zaprosił chłopców na kieliszek wina. Wypytywał, interesował się ich sprawami.

Po trzech latach od tego spotkania Mirosław napisał list do Wańkowicza. Pytał o kontakty z innymi Hubalczykami i skąd pisarz czerpał materiał do książki. Dostał odpowiedź, że materiały miał z bezpośredniej, ustnej relacji dwóch Hubalczyków: Romana Rodziewicza i Białasa. Że książkę pisał poza krajem, nie miał sposobu sprawdzenia czegokolwiek. Jeżeli pomylił się i coś niewłaściwego napisał o ojcu, to przeprasza. Gdyby mu przysłać materiały, byłby w stanie zmienić do następnego wydania.

✲

Mirosław jeździł w rejony kieleckie, rozmawiał z ludźmi... — Widziałem, jak ci ludzie odnosili się do mnie, jak byli życzliwi i serdeczni, dowiedziawszy się, że jestem synem „Lisa". Dodawało mi to wszystko otuchy, wiary. Myślę, że dlatego ukończyłem studia. Że w ogóle chciałem się uczyć. Czułem się odmieniony, ważny. I miałem misję do spełnienia. Musiałem, chciałem wiedzieć wszystko o ojcu.

Pisał listy do wszystkich, których mu wskazano, do wszystkich, którzy, jak sądził, mogli mu pomóc.

Przychodziły odpowiedzi. Różne.

Okręgowa Komisja *5 XII 74*
Badania Zbrodni Hitlerowskich
w Kielcach

*W nawiązaniu do pisma tut. Komisji z dnia 11 października 1974 roku uprzejmie informujemy, że nie natrafiliśmy na dane dotyczące śmierci Józefy Jasińskiej-Głowacz i Franciszka Głowacza w naszych dokumentach, natomiast ustalenia operacyjne potwierdziły fakty, o których Obywatel pisał w piśmie do Komisji. Jedynie do faktu śmierci Józefy Jasińskiej-Głowacz ustaliliśmy, że została zamordowana w Końskich na początku 1941 roku *). Wiadomości o aresztowaniu Józefy Jasińskiej-Głowacz i jej teścia Jana Głowacza przekazał w czasie okupacji, utrzymujący kontakt z partyzantką, granatowy policjant Słupczyński, zam. w tym czasie w Plennie, gm. Radoszyce.*

Kierownik Biura OK BZK
mgr Longin Kaczanowski

Główna Komisja
Badania Zbrodni Hitlerowskich
w Polsce
Al. Ujazdowskie 11

Wydział Dokumentacji GKBZHwP uprzejmie informuje, że w posiadanych przez nas materiałach jest potwierdzony fakt zamordowania ojca Obywatela. Według danych został on zamordowany przez żandarmerię hitlerowską wraz z Franciszkiem Biskupskim, u którego przebywał na kwaterze, używał w tym czasie dokumentów na nazwisko „Jasiński". Brak natomiast informacji nt. aresztowania i zamordowania matki Obywatela, Józefy Głowacz.

Naczelnik Wydziału Dokumentacji
(St. Kania)

---

*) Według wiadomości zebranych przez Mirosława Głowacza, było to w 1942 roku.

Dopisek M. Głowacza:

„Nie było tak — Biskupski ps. „Dyszel" z oddziału „Lisa" zginął później."

Interesowały go okoliczności śmierci ojca. Napisał list do parafii, gdzie urządzono pogrzeb „Lisa". Proboszcz parafii, Piotr Karbowiak ogłosił z ambony, że zbiera wiadomości o okolicznościach śmierci Franciszka Głowacza. Zgłaszali się ludzie. Potem napisał list do Mirosława.

Stanowiska, 16 XI 64

Szanowny Panie!

Miło mi donieść Sz. Panu, że grób Ojca Pańskiego jest otoczony troską byłych Jego znajomych.

Na grobie jest prosty krzyż akacjowy (czyżby późniejsza organizacja ten krzyż wystawiła?), grób odnawiany każdego roku i są na nim wieńce również z jedliny.

Opiekuje się nim szczególnie niejaki Jan Smolich ze wsi Boża Wola (poczta Dobromierz), tutejszy parafianin.

Według jego relacji Ojciec Pański był zabity 7 kwietnia 1942 roku. A trochę wcześniej — w Niedzielę Palmową (a więc gdzieś chyba w końcu marca 1942) był u nich na Bożej Woli i miał przeczucie bliskiej swej śmierci.

Potem od nich poszedł do Krzętowa nad Pilicą — po drugiej stronie Bobrownik 3 i tam przebywał w Święta Wielkanocne, a następnie 6 kwietnia zatrzymał się zaraz nad Pilicą w Bobrownikach u niejakiego Ożarowskiego i tam był do godz. 10 wieczór, a stamtąd udał się nocą do Biskupskiego i tam zginął 7 kwietnia.

Najprawdopodobniej za nim chodził niemiecki wywiad, który, być może, wykorzystał kogoś z Bobrownik do zdrady. Ale gdyby to było jasne, to my-

ślę, że organizacje podziemne takiego szpicla sprzątnęłyby szybko, tym więcej, że młodzi dziedzice z Bobrownik, Browscy byli też prawdopodobnie w konspiracji i nie przeszłoby tak bez echa szpiclowi.

Dziś są na ten temat różne plotki i zawiści ludzi, którzy z zawiści potrafią czasem prawdę przeinaczyć — a inni znów ludzie bezkrytycznie łatwo wierzą w pogłoski.

Niemniej — być może, że dałoby się jeszcze trafić na jakiś ślad w sprawie śmierci Ojca, ale trzeba być bardzo krytycznym, by kogoś niewinnego nie skrzywdzić.

Ja tu jestem od dwóch lat, więc całej sprawy nie znam.

Jest jeszcze ksiądz staruszek, który w tamtych latach był proboszczem, ale wtedy sam się ukrywał i nie mieszkał w Stanowiskach i nic nie wie o tej sprawie.

Ksiądz — który Ojca chował (jeśli chował) — to był najprawdopodobniej ks. J. Wroniszewski (obecnie mieszka we wsi Gliniany, poczta Ożarów, pow. Lipsko n. Wisłą). Kościelny z tych czasów jest gdzieś na Zachodnich Ziemiach.

Wie też chyba dawny wójt z Dobromierza — Cecota, któremu Niemcy nakazali — czy też pozwolili — pochować zwłoki Ojca prawdopodobnie w trumnie, jako męża bohaterskiego, którego swoim żołnierzom za wzór stawiali.

Ks. P. Karbowiak
(ks. Piotr Karbowiak, Dobromierz, pow. Włoszczowa. Stanowiska)

Okazało się, że ksiądz Wroniszewski już nie żyje. W piśmie „Za Wolność i Lud" Głowacz ogłosił, że

poszukuje wiadomości o ojcu. Otrzymał kilka listów, jeden z nich przyniósł mu dalsze szczegóły.

Włoszczowa 10 XII 69

Szanowny Panie.

Pragnę Panu pokrótce opisać, co mi zostało w pamięci ze znajomości o Pańskim Ojcu.

Otóż, poznałem Go wracając z wojny w 1939 roku. Szliśmy wtedy razem z Grójca za Radoszyce, do małego majątku ziemskiego, który był własnością rodziców, nazwy miejscowości nie pamiętam. Ja tam przenocowałem i poszedłem dalej, to jest do domu rodzinnego do Włoszczowy.

Pamiętam, że Ojciec Pana wracając z wojny miał przy sobie krótką broń. „Wisa" i granaty. Był ubrany w mundur i kurtkę z płaszcza wojskowego, w butach z cholewami.

Z daleka widać było w tym człowieku bohaterstwo. Po dwóch miesiącach od naszego powrotu z wojny, przyjechał do mnie, do Włoszczowy, już był w oddziale u Hubala. Mnie namawiał, abym poszedł do grupy, ale że byłem już zaprzysiężony, zostałem. Następnie umawialiśmy się na spotkanie i spotykałem go często w pow. koneckim, dokąd jeździłem w sprawach konspiracji. Po likwidacji oddziału Hubala był w kontakcie z placówkami ZWZ do chwili śmierci. Jeden z kolegów, już nieżyjący — Bizkupski, u którego Ojciec zginął wraz z jego rodziną, opowiadał mi, że jechał rowerem z Częstochowy, a za nim jechał szpicel i wytropił miejsce zatrzymania się Ojca i powiadomił żandarmerię, która okrążyła dom o godzinie 12 w nocy i zaczęła się strzelanina. Ojciec się bronił do godziny 5 rano. Niemcy obrzucili dom granatami i w tym momencie Ojciec wyskakiwał przez okno, nie miał sposobu ani amunicji bronić się dalej. W chwili wyskakiwa-

nia oknem dostał serię z karabinu maszynowego w szyję. Śmierć nastąpiła natychmiast. W dniu 12 kwietnia przyjechało gestapo po mnie, zabrali mnie do Dobromierza, bym oświadczył, czy znam tego człowieka i kto to jest. Powiedziałem, że jest to Głowacz.

Chcę Panu jeszcze opisać przykre dla Pana na pewno wydarzenie, dotyczące śmierci Ojca. Otóż, zobaczyłem człowieka skrwawionego, w koszuli, w spodniach wojskowych i boso. Żydom kazali umyć zwłoki, postawili pod ścianą i robili w kilku pozach zdjęcia, po czym sołtysowi kazali zwłoki pochować.

To jest wszystko, co mi jest wiadomo. Co do książki Wańkowicza, to czytałem ją bardzo dawno i nie pamiętam, co pisze na temat Ojca. Zamierzam przeczytać ją po raz drugi uważnie i wówczas Panu odpowiem na pytanie.

Zasyłam Panu miłe pozdrowienia oraz życzenia świąteczne i Szczęśliwego Nowego Roku. Jednocześnie proszę, jeśli Pan będzie w tych stronach, mnie odwiedzić, może w rozmowie lepiej będę mógł Panu opowiedzieć to przykre wydarzenie. Tu mieszka jeszcze jeden kolega, który był u Hubala, ale jest tego samego zdania, co i ja mówiąc, że pański Ojciec był bohaterem naszych czasów.

Łączę wyrazy szacunku
Romuald Jędrych
Włoszczowa

Od kiedy zna mogiłę Ojca, każdego roku w listopadzie Mirosław jeździ na to miejsce. Zawsze zastaje tam wiązanki białych chryzantem, zapalone lampki, znicze, gałązki jedliny. Przy płycie pamiątkowej, którą ufundowała ludność powiatu włoszczowskiego, jest napis: — *Mogiłą opiekuje się Szkoła Podstawowa w Stanowiskach.*

Pisał do kieleckiego „Słowa Ludu", dziękując młodzieży.

Skończył studia, rozpoczął pracę. W sporcie i turystyce. Zamieszkał w Przasnyszu. Ożenił się. Ma dwoje dzieci. Syna nazwał Ryszard-Hubal. Nie zaniechał poszukiwań.

Dowiedział się więcej o okresie pohubalowym Informacji udzielił mu Antoni Cyran i Jan Cupiał z Radoszyc. Ten ostatni ogłosił na łamach „Kuriera Polskiego" list, w którym m. in. pisał:

„Po rozbiciu i śmierci „Hubala" „Lis"-Głowacz nadal przebywał na terenie Pianowa i Radoszyc; wiem, że prowadził nadal działalność konspiracyjną, bowiem otrzymywałem od niego prasę, a niekiedy dawał mi rozmaite zlecenia do załatwienia.

Był wtedy dowódcą niewielkiego oddziału, który zlikwidował kilku zdrajców. Swą działalnością budził wiarę i nadzieję, mimo ciosów okupanta, na lepsze jutro Ojczyzny. W roku 1941 zabił żandarma z Radoszyc i odtąd zaczął się ukrywać, a mój kontakt z nim został zerwany. Po jakimś czasie dowiedziałem się, że Ryszard „Lis"-Głowacz został zabity w obławie koło Dobromierza...

Melchior Wańkowicz w „Hubalczykach" napisał, że „Lis"-Głowacz przeżył wojnę. Sprostowałem to listem do pisarza w 1959 roku, otrzymując od niego kartkę z podziękowaniem..."

(„Kurier Polski", 17 IV 1980 r.)

Od Melchiora Wańkowicza Mirosław otrzymał adres Marka Szymańskiego, jednego z żołnierzy oddziału majora Dobrzańskiego, autora książki *Oddział majora Hubala.*

Napisał do niego. Nawiązała się korespondencja.

Warszawa, 29 marca 1965 r.

Szanowny Panie.

Miło mi poznać Pana chociaż listownie. Sam miałem zamiar skomunikować się z Panem, ale nie znałem adresu. Ucieszył więc mnie list od Pana, bo teraz mogę się dowiedzieć o losach mego towarzysza broni, a pańskiego Ojca, plut. „Lisa". Chętnie się też dzielę z Panem wiadomościami o Jego pobycie w oddziale.

Ojciec Pana, kpr. „Lis" przybył do oddziału w końcu października 1939 roku we wsi Żychy pod Radoszycami, w powiecie koneckim. Oddział liczył wtedy kilkunastu ludzi. Większość z nich przeszła z mjr. Hubalem cały szlak bojowy od Wołkowyska przez Grodno do granicy polsko-litewskiej, a następnie pod Warszawę i w rejon Gór Świętokrzyskich. Major w tym czasie nie przyjmował do oddziału, ale zdarzały się wyjątki. Podczas pobytu oddziału w Zychach dołączyło do niego czterech ludzi — kpr. „Lis", st. strz. „Gruszka", ochotnik „Sokół" i ja. Kilka dni stałem z „Lisem" na jednej kwaterze i wtedy wprowadzał on mnie w tajniki służby kawaleryjskiej, bo on był kawalerzystą, a ja saperem. Był to bowiem oddział konny.

Któregoś dnia wieczorem oddział zmieniał miejsce postoju. Przesuwał się na lasy przysuskie. „Lis" i „Gruszka" zawrócili z drogi, udając się w innym kierunku. Nie wiedzieliśmy wtedy, gdzie się udał ten patrol. Mjr Hubal nie miał zwyczaju opowiadać o swych decyzjach. Obecnie mogę się posłużyć relacją gajowego z Zych, u którego kwaterował Hubal. Otóż ten ówczesny gajowy, obecnie leśniczy, Jan Baran, przyjaciel oddziału i jego pierwszy żołnierz w konspiracji, siedział kilka miesięcy w niemieckim więzieniu razem z „Gruszką". Od niego dowiedziałem się, jaki był los patrolu. Z jego relacji wynika,

że „Lis" i „Gruszka" po odłączeniu się od maszerującego oddziału wstąpili do Zych, mówiąc, że Major zwolnił ich do wsi Pianów, leżącej osiem kilometrów na południowy-zachód od Radoszyc. We wsi zaskoczyła ich obława niemiecka, która wyszła na Radoszyce, Rudę Malaniecką i Pianów. „Gruszka" zaczął strzelać do Niemców i ranny dostał się do niewoli. Później zginął w więzieniu koneckim. „Lis" zdołał uciec cało.

Tyle relacji „Barana", jak widać niezbyt dokładnej. Od siebie dodam, że na powrót patrolu czekaliśmy do późnej nocy w Salachowym Borze, leżącym na drodze do Cisowiska. Nie dowiedzieliśmy się, jak było naprawdę. Mogę tylko przytoczyć nastrój, jaki panował po powrocie „Lisa" z tego patrolu. Major był wyraźnie zły na niego. Doszły nas bowiem echa rozmowy Hubala z „Lisem" i wzbudziły uczucie, jakby „Lis" był odpowiedzialny w jakiś sposób za wpadkę „Gruszki". Pamiętam, żeśmy się trochę boczyli na „Lisa".

Ten nieszczęśliwy patrol przypomniał nam się w Gałkach, gdy pewnego razu „Lis" nie chciał wykonać rozkazu d-cy szwadronu rtm. Walbacha. Jakoś mu się upiekło i nie było żadnej awantury. Tym się też tłumaczy pominięcie „Lisa" w awansie 19 marca 1940 r. Byliśmy już w Huciskach, gdy rozżalony tym pominięciem „Lis" zaczął siać ferment wśród młodych, niedoświadczonych żołnierzy, namawiając ich do opuszczenia oddziału. Major, dowiedziawszy się o tym, chciał „Lisa" usunąć z oddziału. Sytuację uratował wachmistrz Alicki, d-ca szwadronu po odejściu rtm. Walbacha, który wstawił się za „Lisem".

Major zgodził się na pozostanie „Lisa", ale obarczył Alickiego odpowiedzialnością za jego postępowanie. Na szczęście „Lis" się ustatkował, a następ-

nie zrehabilitował w późniejszych walkach oddziału. Otrzymał też upragniony awans na plutonowego.

Plutonowy „Lis" jakby się odmienił. Wesoły i lubiący żarty wnosił sporo humoru w codzienne życie szwadronu. Teraz wyzbył się jeszcze swej największej wady — niesubordynacji. Nabrał za to bojowości. Kiedy podczas szarży szwadronu przez szosę Samsonów-Odrowąż zwalił się koń pod Rodziewiczem, „Lis" podjął go z ziemi na konia i szczęśliwie przejechali przez obstawioną szosę. Nieraz pierwszy wstawał, gdy trzeba było pojechać na zwiad. Razem z „Romanem" ścigali dezerterów. W oddziale był aż do końca.

Co było później, nie wiem. Jeden wszakże fakt wskazuje, że po rozwiązaniu oddziału plut. „Lis" kręcił się w rejonie Huciska. Słyszałem bowiem o tym, a nawet czytałem polecenie ówczesnego komendanta ZWZ w Końskich, „Brzozy", skierowane do Walentego Andruszkiewicza, który był przyjacielem oddziału, żeby nie utrzymywać żadnych kontaktów z „Lisem". Nieznane mi są również dzieje „Lisa" w okresie przedwojennym, a więc trudno mi powiedzieć, czy to, co pisze Wańkowicz w Hubalczykach *o więzieniu i Legii Cudzoziemskiej odpowiada prawdzie. Natomiast budzi zastrzeżenie twierdzenie Wańkowicza, że po rozwiązaniu oddziału „Lis" grasował w Górach Świętokrzyskich. W roku 1957 przejechaliśmy z Alickim trasę marszu i bojów oddziału. Spotykaliśmy po drodze sporo ludzi, którzy znali oddział i pomagali mu. Nie usłyszeliśmy jednak nic o tym, że „Lis" chodził z bandą i rabował. Nie ma też o tym nawet wzmianki w korespondencji, jaką prowadziłem z ludźmi z terenów, na których przebywał oddział. A przecież, gdyby tak było, jak pisał Wańkowicz, to chociaż jeden głos by się odezwał i potwierdził jego słowa.*

Ojciec Pana był żołnierzem oddziału mjr. Hubala, który pierwszy w kraju podjął zbrojną walkę z okupantem. Ojciec Pana dzielił z oddziałem wszystkie chwile dobre i złe. I wytrwał w nim do końca. Jeździł na patrole, po broń i sprzęt wojskowy. Brał udział w walkach oddziału. Jemu też, jak każdemu innemu żołnierzowi Hubala, przypada cząstka chwały bojowej oddziału. Co było przed przybyciem „Lisa" do oddziału, nie ma absolutnie żadnego wpływu na fakt, że Ojciec Pana był żołnierzem oddziału i że spełnił zaszczytny obowiązek obywatela i patrioty.

„Roman"-Rodziewicz jest w Anglii. Trafił tam po wyzwoleniu obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, w którym przebywał od 1941 r.

Oczywiście, bardzo interesują mnie dalsze losy pańskiego Ojca i będę Panu wdzięczny za wiadomość o nich. A może ma Pan zdjęcie? Jeśli by to, co napisałem, okazało się niewystarczające lub niejasne, proszę napisać. Wprawdzie obecnie nie dysponuję obszerniejszym materiałem, jednak w przyszłości może on być uzupełniony, gdyż w dalszym ciągu zbieram wszelkie wieści o oddziale i jego żołnierzach.

Proszę wybaczyć mi zwłokę w odpowiedzi. Pański list otrzymałem w szpitalu i teraz dopiero, po wyjściu z niego, mogę odpisać. Jeszcze raz dziękuję, że był Pan uprzejmy napisać do mnie.

Łączę pozdrowienia
M. Szymański

Przasnysz, 9 XI 66 r.

Szanowny Panie,

Jestem opóźniony z odpowiedzią, co obiecywałem w czasie ostatniego pobytu w Warszawie, że podam Panu adresy z terenu pow. włoszczańskiego, ale czynię to teraz, gdyż niedawno, tj. w dniach 30 X — 3 XI 66 r. byłem obecny na mogile mojego Ojca i do-

wiedziałem się niektórych nowych wiadomości, które chcę Panu przekazać. Przy poparciu Ministra SW, Prezydium PRN we Włoszczowej wybudowało — postawiło trwałą mogiłę w miejscu (Stanowiska), gdzie został pochowany mój Ojciec. Jest to mogiła wybudowana z betonu, w kształcie ściętego u dołu prostokąta o wymiarach 0,90 m wysokiego, ok. 80 cm w podstawie i 1,20 m w szczycie. Na tym podwyższeniu jest wmurowana płyta z piaskowca, na której jest napis: „Franciszek Głowacz ps. „Lis", bohaterski partyzant mjr. Hubala-Dobrzańskiego zginął dn. 7 IV 1942 roku w walce z hitlerowcami". W zredagowaniu tego napisu udziału nie brałem. Byłem proszony o przyjazd w tej sprawie, gdy przyjechałem, napis był już wykonany. Będę się starał coś jeszcze dodać do napisu na w.w. płycie. Ponadto nad płytą główną jest wyrzeźbiony (także w piaskowcu) Krzyż Partyzancki z napisem: „Za Polskę, Wolność i Lud".

To tyle relacji o mogile. O ile Inspektor Wydziału Oświaty i Kultury Prezydium PRN we Włoszczowie okazał się niezbyt przychylny dla tej sprawy, to mieszkańcy wioski Stanowiska (odległej o 16 km od Włoszczowy w kierunku Przedborza) i innych wiosek, witali mnie z wielkim entuzjazmem i ze łzami w oczach, a niekiedy i w wielkim gniewie, opowiadali mi o ojcu. Sens tych opowiadań i relacji był taki: od nocy z 6 IV na 7 IV ojciec mój zatrzymał się na kilka godzin u gospodarza Ożarowskiego we wsi Bobrowniki, leżącej tuż nad Pilicą, o 10 km od Przedborza. O godz. 22 wyszedł z domu z myślą przeprawienia się na zachodni brzeg Pilicy. Ze względu na wysoką wodę w Pilicy chłop, który miał przewieźć ojca, nie gwarantował powodzenia w przeprawie zbyt małą łódką, jaką posiadał. Ojciec zadecydował zanocować u Biskupskiego w kolonii Kresy,

odległej od wsi Bobrowniki ok. 800 m w lesie. Wielu ludzi zeznawało, że Ojciec był „bardzo zdenerwowany i czuł się nieswojo, tak jakby coś przeczuwał". Rano o godz. ok. 6 żandarmeria, policja i wojsko okrążyli dom, w którym Ojciec przebywał. Ojciec mój wyskoczył oknem i strzelił do Niemca (którego nie trafił), rzucił granatem i zaczął uciekać. W czasie ucieczki dostał postrzał w głowę (z tyłu u podstawy czaszki) i upadł. Są dwie ewentualności, albo został zabity od tego pocisku (z broni maszynowej), albo dostrzelił się sam. Niektórzy zeznawali, że miał pod brodą ranę, że prawdopodobnie sam dostrzelił się, gdy Niemcy byli już blisko. Jest pewne, że była zdrada i ktoś z Borownik musiał dać znać Niemcom, którzy mieszkali we dworze, a może do policji. Gdy organizacja podziemna wydała wyrok na Wojtczaka, wtedy ten powiedział, że jak on zginie, to za niego Niemcy rozstrzelają stu chłopów. Ile w tym jest prawdy, w tej chwili nie wiem. Są akta sprawy Wojtczaka w sądzie woj. w Kielcach, gdzie prawdopodobnie są zeznania świadków, którzy obwiniają Wojtczaka, a między innymi dziewczyna, która służyła u Niemców i widziała Wojtczaka w krytycznym momencie. Będę się starał tę sprawę wyjaśnić do końca. W czasie pobytu w wioskach Boża Wola, Stanowiska i Dobromierzu oraz w Przedborzu dowiedziałem się, że Ojciec mój prowadził działalność w promieniu 15 km od Przedborza i dalej w głąb pow. koneckiego. Teren pow. włoszczowskiego nie był przydatny do działalności partyzanckiej, gdyż było tam dużo kolonistów niemieckich, a ludność polska, która przebywała przed wojną na robotach w Niemczech, z początku była przychylna dla Niemców. Zrozumiałem, że Ojciec miał oddział ludzi, ale nikt z chłopów nie umiał powiedzieć, co to był za oddział i jak liczny. „Lis" w te sprawy nikogo nie wta-

jemniczał — jak mówili. Jakieś powiązania miał mieć chyba z „Marcinem" (mjr Marcin Tarchalski), oraz z „Przebojem" (Franciszek Pieniak — płk), z którym jeszcze nie rozmawiałem, a o czym dowiedziałem się od pewnego obywatela, który pokazał mi na piersi Krzyż Virtuti Militari. Osoba, która żyje, a jest nim Bolesław Smolnicki z Włoszczowy, który brał udział w różnych akcjach z Ojcem, mówi ogólnikowo i niewiele, tak jakby nie przywiązywał do tych spraw większej wagi i nie pamięta. Bliskich kolegów Ojca nie spotkałem (tych, którzy z Ojcem działali, a nie pomagali). Prawdopodobnie nie żyją, lub są w innym rejonie Polski. Dostałem kilka adresów i będę ich szukał.

W Przedborzu spotkałem pana Majchrowskiego (Mundka), który był żołnierzem mjr. Hubala. Przystąpił do oddziału w Piskorzeńcu. Nie wiem, czy Pan go sobie przypomina. Średni wzrost, gruby, blondyn. W tym czasie mjr Hubal miał ogiera, którego chciał zamienić na innego konia i wtedy Majchrowski przyprowadził do oddziału klacz, na której prawdopodobnie jeździł Ojciec. Od niego dowiedziałem się, że Matkę moją zamęczyli Niemcy (żandarmeria) w Końskich. Zginęła w strasznych torturach, nie wydając nikogo. Załączam adresy i kilka listów (do zwrotu).

Serdecznie pozdrawiam
Mirosław Głowacz

Prosił znajomych, by go skontaktowali z Bronisławem Smolichem ze wsi Włoszczowa, w województwie kieleckim, również żołnierzem oddziału Hubala.

Bronisław Smolich sam napisał do niego dwa listy.

Włoszczowa, dnia 24 I 1965 r.

Szanowny Panie,

Doręczono mi adres — abym Panu opisał działal-

ność Ojca śp. Franciszka Głowacza ps. „Lis" w okresie okupacji 1939—42., a następnie jego tragicznej śmierci od kuli hitlerowskiej w dniu 10 kwietnia 1942.

Nie wiem, jakie szczegóły są Panu znane — wobec czego proszę o podanie ich —postaram się możliwie dokładnie opisać i przesłać. Dziś chciałbym zwrócić uwagę na fakt — iż poruszona częściowo działalność Ojca w książce Melchiora Wańkowicza pt. „Hubalczycy" pokrywa się tylko w pewnym stopniu z prawdą. Natomiast poruszane na stronie 181 tej książki przypuszczenia autora są zmyślone i nieprawdziwe.

Bolesław Smolich

Włoszczowa, dnia 11 III 1965

Szanowny Panie,

List otrzymałem w dniu 4 III br. — Nic nie wspomniał Pan w listach, czy zapoznał się z książką napisaną przez Wańkowicza pt. „Hubalczycy". Jeżeli dotychczas nie czytał Pan tej książki, to jednak warto, chociażby z tego względu, iż zawarty jest w niej w pewnym stopniu cel i sens walki o wyzwolenie Ojczyzny, widziany oczyma Majora Hubala — Dobrzańskiego i jego ludzi. — Ten sam cel walki pozostał także po śmierci Hubala i rozwiązaniu oddziału i taki cel realizował między innymi także Pański Ojciec śp. Franciszek Głowacz „Lis". Zapytuje Pan, czy Ojciec działał pojedynczo, czy w grupie? Chciałem w tym miejscu wyjaśnić, że działanie pojedynczo w tym najstraszniejszym czasie mroków okupacji było całkowicie wykluczone — wspomniałem o tym w poprzednim liście i chcę dodać, iż z tych ludzi niewielu doczekało się wyzwolenia, na przykład śp. Antoni Pękala z Pińczycy, Stefan Sypniewski z Budzisławia, Budkiewicz z Pazowa i wielu innych.

Druga sprawa, o którą zapytuje Pan, to przynależność do organizacji AL czy AK? — Wyjaśniam, że w tych latach 1939 do 1942 r. nie było jeszcze tych organizacji, gdyż powstały one w późniejszym okresie okupacji, z połączenia różnych drobnych organizacji, z tym, że trzonem AL była Gwardia Ludowa (GL), a Związek Walki Zbrojnej (ZWZ) dla AK. — Chcę równocześnie powiadomić Pana, że we Włoszczowie mieszka p. Sylwek Jaworski, który również działał w tym czasie i posiada z tego okresu szereg zdjęć, które może by Panu wypożyczył za zwrotem. P. Jaworski pochodzi rodem z koneckiego. Może Pan napisać do niego list.

Bolesław Smolich
Włoszczowa

PS. Osobiście nie wiem, czy żyje „Roman". Podobnie nie wiem, czy żyje wielu innych — gdyż od tego czasu upłynęło ćwierć wieku i żadnego kontaktu w tym czasie nie utrzymywało się. Tak samo nie znało się prawie żadnych nazwisk, posługiwało się wyłącznie pseudonimami, gdyż w tym okresie obowiązywała bardzo ścisła konspiracja.

„Roman"-Rodziewicz to ten, który Melchiorowi Wańkowiczowi podał informacje o oddziale. To z jego opowiadań powstała książka *Hubalczycy*. Mirosław wiedział tylko, że mieszka gdzieś w Anglii, prawdopodobnie w Sheffield. Napisał do Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Londynie.

Przasnysz dn. 1 I 1967 r.
Stowarzyszenie Polskich Kombatantów
Zarząd Oddziału W. Brytania
Queens Gate Terr
London S. W. 7
Z różnych źródeł dowiedziałem się, że w Anglii

mieszka pan Romuald Rodziewicz, ps. „Roman", były żołnierz Oddziału Partyzanckiego mjr. Hubala-Dobrzańskiego i przyjaciel mojego Ojca śp. Franciszka Głowacza, ps. „Lis".

W związku z tym, że działalność mojego Ojca z okresu okupacji (tj. od 1 września 1939 r. do 7 IV 1942, dnia śmierci) nie jest mi wystarczająco znana i jest różnie interpretowana, zależy mi bardzo na skontaktowaniu się z tymi ludźmi, którzy znali Ojca i wspólnie walczyli. Pan Rodziewicz razem z Ojcem wykonywali specjalne zadania w oddziale mjr. Hubala i na pewno, jako jeden z nielicznych pomógłby mi wyjaśnić niektóre sprawy, gdyż to, co pisze pan Melchior Wańkowicz w „Hubalczykach" o moim Ojcu nie zawsze jest zgodne z prawdą.

Pan Rodziewicz jest w Anglii od 1945 roku, był więźniem obozu zagłady Oświęcim, najprawdopodobniej pracuje w mieście Shieffield w fabryce części samolotowych lub samochodowych jako majster (więcej szczegółów nie znam).

Prosiłbym bardzo, o ile to jest w Waszej możliwości, o podanie mi adresu Pana Romualda Rodziewicza lub przekazanie mu mojego listu. Jednocześnie informuję, że jestem w trakcie poszukiwań byłych żołnierzy 11 Pułku Ułanów Leg. z Ciechanowa.

Za jakąkolwiek informację będę Wam bardzo wdzięczny, za co z góry serdecznie dziękuję, a z okazji Nowego Roku 1967 życzę Wam dużo zdrowia i wszelkiej pomyślności w życiu osobistym oraz Wiecznej i Trwałej Pamięci o swoim Ojczystym Kraju, o Polsce.

Z uszanowaniem
Mirosław Głowacz

PS. Na zebraniu wszystkich danych o moim Ojcu zależy mi bardzo. W tej chwili mam już pewne rezultaty, w przeciwieństwie do pozostałych członków

rodziny, którzy wszyscy zginęli w czasie ostatniej wojny i do dzisiaj nie ma po nich żadnego śladu.

Dopiero po siedmiu latach otrzymał list od „Romana".

Sheffield, 21 września 74

Drogi panie Mirosławie,

Faktem jest, że sylwetka „Lisa" — tak jak ją śp. Wańkowicz opisał w „Hubalczykach" — jakkolwiek w szczegółach biograficznych może niezbyt dokładna lub mogłaby być „uzupełniona" przez autorską tendencję dramatyzowania i „cieniowania" jest wybitnym uosobieniem odwagi i męstwa, które w pewnych okazjach graniczyło z brawurowym szaleństwem i pogardą dla życia. Ten instynkt walki z Niemcami, niemal „osobista zawziętość", jakby pomsta za krzywdy i okrucieństwa, wyrządzone naszemu narodowi, pan Wańkowicz podkreślił bardzo wyraźnie w swojej pracy i nikt, kto czyta „Hubalczyków", nie może przeoczyć tego faktu. Mnie osobiście był „Lis" bardzo bliski, gdyż był on chętny do każdej imprezy, jakkolwiek ryzykownej czy beznadziejnej... Alicki i ja bywaliśmy często na patrolach, a „Lis" z nami, z gwarancją, że w „opałach" będzie on niezawodny, że nie stchórzy i nie „nawali". Owa szarża przez szosę na trasie Kielce, Odrowąż jest w mojej pamięci bardzo żywa, choćby dlatego, że wtedy to „Lis" uratował mi życie. Często znajdowaliśmy się w podobnych trudnościach i każdy z nas był gotów zginąć, pomagając towarzyszom patrolu czy natarcia i w tym leży wartość naszej „fraterni" i bohaterstwo oddziału Hubala. Dzieje „Lisa" przed wstąpieniem do Oddziału i po naszym rozwiązaniu nie są mi bliżej znane, nie było to ważne wtedy i nikt nie

pytał nikogo o przeszłość. Chciałbym sam wiedzieć dzisiaj coś więcej o Ojcu Pańskim, a specjalnie, jak On zginął. Jeżeli ma Pan wiadomości i czas — proszę mi to napisać. Jeżeli odnalazł Pan coś w prasie — życzyłbym sobie bardzo, aby mógł Pan porobić odpisy lub fotokopie...

Jeżeli ma Pan jakieś konkretne pytania i mógłbym na nie dać odpowiedź — zrobię to z przyjemnością, w tym przekonaniu, że „Lis" był bardzo wartościowym żołnierzem w Oddziale.

Proszę mi wybaczyć, że list ten jest spóźniony, ale praca, dość ciężka i idące z nią zmęczenie, kłopoty rodzinne, nie najlepszy stan zdrowia itd. nie są odpowiednim nastrojem do pisania, które, nawiasem mówiąc, zawsze nie było dla mnie łatwe.

I wreszcie szkoda, że nie było ani czasu, ani możliwości zobaczyć Pana w Warszawie, podczas mego dorocznego urlopu w kraju. Wizyty u śp. p. Wańkowicza, Józefa Alickiego, u sióstr na Śląsku i u brata na Pomorzu, spotkanie z synem, który w tym czasie był na wywczasach młodzieżowych w Polsce, spotkania z pp.: Ossowskim, Szymańskim, Sekulakiem, z p. Ludką — wszystko było „przycięte" ogromnie i wiele spraw nie załatwiłem.

Łączę wiele pozdrowień, życząc Panu powodzenia w Jego zamiarze wydania „jakiegoś opracowania o Ojcu" i będę służył pomocą, jeżeli Pan sobie tego życzy. W miarę możliwości — oczywiście. Proszę sprecyzować coś w rodzaju kwestionariusza, na który mógłbym odpowiedzieć, jeżeli potrafię i informować mnie w tym samym czasie, jak Pańska praca postępuje. Sądzę, że „Sęp"-Szymański i „Dołęga"-Ossowski, którzy sporo pisali już o Hubalczykach, mogliby być Panu bardzo pomocni.

Proszę pamiętać, że ja byłem i jestem wciąż

„oderwany" od prasy krajowej i materiałów historycznych.

Serdeczny uścisk dłoni
Romuald („Roman") Rodziewicz

W książce Ryszarda Nazarewicza pt. *Nad górną Wartą i Pilicą* wyczytał szereg nazwisk. Między innymi Franciszka Przebój-Pieniaka, byłego komendanta Obwodu AK Włoszczowa i dowódcy 11/74 Pułku Partyzanckiego. Był to kolejny trop do informacji. Okazał się trafny.

Wrocław, dnia 29 XI 66 r.

Szanowny Panie,

W odpowiedzi na list, który otrzymałem w dniu dzisiejszym, uprzejmie informuję, że w zebranych przeze mnie materiałach historycznych o Hubalczykach znajduje się fragment o Pańskim Ojcu-Bohaterze śp. Franciszku Głowaczu, ps. „Lis", który poległ 7 kwietnia 1942 roku na kolonii Bobrowniki w pow. Włoszczowa.

W dniu zajęcia przez hitlerowców Paryża reszta Hubalczyków w ilości 32 z adiutantem mjr. Hubala-Henryka Dobrzańskiego, kwaterująca w gajówce na Praczce, rozbroiła się i rozsypała. Broń i typowe uzbrojenie oraz umundurowanie wojskowe Hubalczycy zakopali do ziemi w 7 drewnianych beczkach. Po zakonserwowaniu zakopano wówczas 24 kbk, 2 rkm, 7 Visów, 3 skrzynki drewniane granatów, 4 lornetki, 100 map, większą ilość amunicji do ckm-kbk-pistoletów oraz umundurowanie Hubala. Broń ta w 1943 roku została przekazana przez akowca „Zemstę" Antoniego Jędrzejczaka Obwodowej Grupie Partyzanckiej AK por. „Marcina" — Mieczysława Tarchalskiego. Po mundur, płaszcz i czapkę mjr. Dobrzańskiego miała rzekomo przyjechać z Warszawy

łączniczka „Teresa" (nazwisko nieznane). Łączniczka ta miała zabrać to umundurowanie dla Hubala i rodziny. Pytałem potem córki Hubala Krystyny Dobrzańskiej (pracownika redakcji „Gazety Robotniczej" we Wrocławiu przy ul. Podwale) o potwierdzenie tego faktu. Panna Dobrzańska jednak tego nie potwierdziła.

Nie rozbroili się tylko „Lis", Pana Ojciec-Bohater, i „Dyszel". Obaj oni zamelinowali się na kolonii Bobrowniki u gospodarza Franciszka Biskupskiego. Syn Biskupskiego był akowcem i nosił pseudonim „Skrzetuski". Gdy zaatakował ich oddział żandarmerii hitlerowskiej, to „Lis" z „Dyszlem" wyskoczyli przez okno i poczęli się ostrzeliwać. W nierównej walce Pana Ojciec-Bohater poległ, a „Dyszlowi" udało się oderwać. Gospodarz Franciszek Biskupski został przez żandarmów zabity, a syn jego, „Skrzetuski", ranny.

Dociekałem też, co było bezpośrednią przyczyną zdemobilizowania się Hubalczyków na gajówce Praczka. Odpowiedziano mi, że upadek Paryża podziałał na żołnierzy demobilizująco, a ponadto stosunek administratora majątku Kluczewsko do świadczeń na rzecz partyzantów miał odegrać tu również decydującą rolę. Mianowicie, por. „Marek" miał podobno wysłać patrol z wozem po zaprowiantowanie i furaż dla koni do Konarskiego. Konarski miał dać tylko 50 kg razówki żytniej. Gdy patrol wrócił z tym ochłapem do oddziału — żołnierze Wydzielonego Oddziału Wojska Polskiego Hubala, ciężko to mieli przeżyć. Widząc taki stosunek elitarnego człowieka w społeczności polskiej — istotnie mogli do reszty się załamać. Postanowili definitywnie rozbroić się.

Nie udało im się jednak dotychczas dotrzeć do Konarskiego i sprawy tej wyjaśnić.

Niezmiernie rad jestem, że Pańskie uczucia sy-

nowskie i ojczyźniane umęczonej niewolą Rzeczypospolitej Polskiej skłaniają Pana do poszukiwania prawd historycznych o Chwale Oręża Polskiego.

Cieszyłbym się bardzo, gdyby potomek sławnego żołnierza Hubalczyka ps. „Lis" przystąpił do zbierania materiałów historycznych o pracy i walce Wydzielonego Oddziału Wojska Polskiego mjr. Hubala. Drogi Panie! Miał Pan wspaniałego Ojca-Polaka i niech to będzie dla Pana szlachetną otuchą do prac nad odtworzeniem działalności Hubalczyków.

Ogólną genezę Wydzielonego Oddziału Wojska Polskiego mjr. Dobrzańskiego będzie mógł w formie relacji podpisanej dać Panu płk dypl. AK „Kuczaba" — Kazimierz Pluta-Czachowski, zamieszkały w Warszawie przy ul. Filtrowej 51, I p. Po okazaniu tego listu Panu Pułkownikowi — niewątpliwie taką relację Pan otrzyma. Również w tygodniku katolickim WTK była seria artykułów pisanych przez „Sępa" o Hubalczykach.

Radzę Panu, aby w swych pracach, na razie, ograniczyć się do zbierania pisemnych i podpisanych nawet najkrótszych relacji od osób, które stykały się i coś wiedzą o Hubalczykach. Jest to praca długa i żmudna, ale tylko na takiej podstawie można odtworzyć najprawdziwszą historię. Tylko duża ilość relacji prowadzi do dobrego opracowania.

Życzę Panu owocnych prac — serdecznie pozdrawiam.

Franciszek Przebój-Pieniak b. komendant Obwodu AK Włoszczowa i dowódca 11/74 Pułku Partyzanckiego.

PS. Ciekawi mnie tekst na tablicy pamiątkowej i czy miejsce, gdzie poległ Ojciec, jest naznakowane Krzyżem Świętym — choćby brzozowym. Źle się jednak stało, że na tablicy został umieszczony Krzyż Partyzancki, a nie Virtuti Militari.

W książce „Hubalczycy" Melchiora Wańkowicza zaistniało potknięcie we fragmencie opisu działalności „Lisa". Wańkowicz pisał tę książkę nie mając możliwości dogłębnego poznania losów Hubalczyków. Dobrze jednak, że ta książka wyszła i nie można mieć urazy do Wańkowicza.

Na razie podaję kilka adresów osób, które mogłyby zdać Panu relację niektórych fragmentów działalności Hubalczyków...

Sokołów Podlaski. 8 II 67 r.

Drogi Przyjacielu!

Jestem w rodzinnych stronach na Podlasiu, gdzie dotarły do mnie listy Pana. Pracuję tu nad odtworzeniem historii lat okupacyjnych, bowiem od 1943 pracowałem i walczyłem w szeregach AK w pow. Sokołów Podlaski.

Najważniejszą sprawą jest uczczenie pamięci bohatera Ojca Pana, „Lisa". Jedynym wyjściem będzie złożenie wniosku o pośmiertne odznaczenie Srebrnym Krzyżem Orderu Virtuti Militari. Przy czym wniosek ten winien sporządzić ktoś z Hubalczyków i złożyć go w Oddziale Powiatowego ZBoWiD. Na wniosku należy podnieść, że „Lis" był kontynuatorem legendarnych Hubalczyków, po ich rozwiązaniu się. Zaatakowany przez żandarmerię na kol. Bobrowniki w nierównej walce poległ. Dopiero śmierć „Lisa" zakończyła epopeję wspaniałą Hubalczyków. „Lis" stał się symbolem wytrwałej walki z okupantem hitlerowskim. Stał się wzorem Polaka walczącego do ostatniej kropli krwi o Niepodległość Polski.

Uzyskanie dla Ojca Orderu Virtuti Militari drogą weryfikacji jest obecnie niemożliwe, bo akta w tej sprawie mogły zaginąć lub w ogóle nie istnieć. Tylko nadanie Orderu przez Radę Państwa jest tu najlepszym wyjściem.

Wniosek taki winien sporządzić pan Marek Szymański, o co ja jego gorącym sercem akowskim usilnie proszę.

Najserdeczniej Pana pozdrawiam
Fr. Przebój-Pieniak

Listy od Franciszka Przebój-Pieniaka przepisał i wysłał do Marka Szymańskiego. Chciał mieć pomoc przy staraniach o pośmiertne odznaczenie Ojca.

Warszawa, 15 V 1967

Szanowny Panie,

Ciekawy przyczynek do dalszych poszukiwań śladów oddziału mjr. Hubala stanowią przysłane mi przez Pana listy płk. Przebój-Pieniaka. Nie ze wszystkim można się zgodzić. Np. z opisem rozbrojenia się Hubalczyków w gajówce Praczka. Nie wiadomo, skąd taka liczba żołnierzy i broni, no i zupełnie nie mająca pokrycia wersja o przyczynach rozbrojenia. Nie były nimi ani upadek Paryża, ani niechętny stosunek administratora majątku Kluczewsko.

Na uwagę zasługuje wspomniany przez niego „Dyszel". Wprawdzie nie znam takiego pseudonimu, ale mógł ktoś jeszcze z oddziału pójść razem z plut. „Lisem". Również mogą okazać się przydatne, podane w liście, nazwiska osób, które coś wiedzą o oddziale i jego żołnierzach. Oczywiście, słuszna jest jego sugestia wystąpienia z wnioskiem o pośmiertne odznaczenie pańskiego Ojca. O tym myślałem wcześniej, nie mówiłem jednak, ponieważ chciałem do końca wyjaśnić, a raczej znaleźć potwierdzenie mego przekonania, że plut. „Lis" po wyjściu z oddziału nie zajmował się bandytyzmem. Ten nieprzemyślany zapis w książce Wańkowicza wymagał sprawdzenia, aby nie było żadnych wątpliwości.

Serdecznie Panu dziękuję za udostępnienie mi tego materiału, jak również za udział w spotkaniu w

dniu 30 kwietnia. Przykro mi, że tak się niefortunnie złożyło, iż został Pan bez hotelu. Może dałoby się załatwić, gdyby Pan przyszedł wcześniej. Przedstawiciel Koła LOK załatwia tego rodzaju sprawy przed spotkaniem.

Łączę serdeczne pozdrowienia
M. Szymański

PS. Proszę o przesłanie następujących danych:
imiona rodziców pańskiego ojca
miejsce urodzenia i data
wykształcenie ogólne i specjalne
posiadane przez niego ordery, odznaczenia i odznaki
przynależność partyjna do 1939 r. i w okresie okupacji
służba wojskowa (kiedy odbywał).

Odznaczenia ostatecznie Franciszkowi nie przyznano. Nikt o nie nie wystąpił.

Mirosław kolejny list wysłał do Józefa Alickiego. Obok „Romana"-Rodziewicza był to jeden z najdzielniejszych żołnierzy oddziału Dobrzańskiego. Obydwaj byli w tym oddziale od początku do końca. Alicki donosił:

„...Ojca doskonale znałem, gdyż razem kwaterowaliśmy i razem jeździliśmy na patrole. Był odważnym i dobrym żołnierzem. Około dwóch miesięcy pod koniec istnienia oddziału dowodziłem plutonem kawalerii i Ojciec był u mnie w plutonie dowódcą sekcji. Pewnego razu został wysłany patrol przez majora z zadaniem i wrócił bez ułana, z którym pojechał. Major udzielił mu nagany ustnej i wstrzymał awans na plutonowego. Wówczas ojciec zrobił trochę szumu w plutonie, co zostało doniesione majorowi, lecz nie wiem przez kogo. Major wezwał mnie i Ojca do raportu i porządnie obrugał Ojca, a

mnie za to, że nie potrafię trzymać swych żołnierzy w ryzach. Od tej pory Ojciec kwaterował razem ze mną. To było całe przewinienie Ojca w okresie pobytu w oddziale. W czasie walk z Niemcami zrehabilitował się i otrzymał awans na plutonowego i pochwałę w rozkazie.

Po rozwiązaniu oddziału nie znam działalności Ojca, ale słyszałem, że się dzielnie spisywał".

Iława, 3 VIII 69 r.

Mówiono mu, że ojciec był wielkim kobieciarzem. Opowiadano anegdotę, jak kazał potrzymać chłopu konia, a sam poszedł do chaty, do jego baby... Albo jak spotkał Cygankę młodszą i starszą w lesie... Ale Mirosław temu zaprzecza. — Przecież te anegdoty są ponad pamięcią o moim ojcu, ponad tym, że mogłyby coś zmienić. Zresztą myślę, że nie są prawdziwe. Słyszę o nich od tylu osób i tyle różnych osób jest w nich bohaterem. Nie tylko mój ojciec. Są to takie kawały z brodą.

✲

Kończyłam ten tekst. Zatelefonowałam, żeby się spotkać.

— Wie pan, brakuje mi kilku danych do końca tej opowieści. Po ukończeniu studiów mieszka pan w Przasnyszu, pracuje w Ośrodku Turystyki... żeni się, ma dwoje dzieci. Jest pan teraz w Warszawie. Od kiedy? I co pan robi?

— ...Zapisałem się do Milicji Obywatelskiej. Chciałem przenieść się do Warszawy. Była to jedyna chyba droga.

— Jedyna? A gdzie pan pracuje?...

— ...Jestem pracownikiem resortu spraw wewnętrznych...

— Czy uważa pan, że ojciec byłby z tego zadowolony?

— Myślę, że najważniejsze, że jestem porządny człowiek...

— Co to znaczy porządny człowiek?...

— Nie robię nic takiego, czego mógłbym się wstydzić.

*

Pisał, spotykał się, jeździł. Ma tych listów dziesiątki. Ale i wiadomości coraz więcej. Co chciałby jeszcze wiedzieć?

Na przykład — Dlaczego ojciec przebywał w szpitalu w Warszawie, co się stało? Czemu tak dramatyczny podpis złożył pod zdjęciem? Dlaczego odszedł z Wojska Polskiego?

...Chciałbym też, aby ktoś wykorzystał materiały, jakie mam o ojcu. Wynika z nich, że ojciec zlikwidował 118 żołnierzy niemieckich. Posiadam fotografie ojca i jego oddziału liczącego około dwudziestu ludzi. Żyją osoby, które mogą pomóc w odtworzeniu działalności „Lisa" po okresie Hubala. Może ktoś zechce o tych akcjach napisać. Osobno. Tylko o ojcu. Nie o mnie...

— Czy nie uważa pan, że pamięć ojca-bohatera, który zza grobu, jak pan przyznaje, pomógł panu — to dzięki niemu niejako, uwierzył pan w siebie, znalazł cel w życiu, ukończył studia, i tak dalej... Czy ta pamięć o ojcu przydała się panu tylko na jakiś krótki okres? A teraz...

— Dlaczego tak pani uważa?

Tomasz Ordyk

DOLINA POD SPECJALNYM NADZOREM

— Ej, panie, nie ma tu sprawiedliwości: stary Dulewicz zasępił się i zwiesił głos. Tyle dobra zmarnować, tyle utrapienia ludziom przynieść. I wszystko za to, że nasi dziadkowie tu się osiedlili, a my nie chcemy ojcowizny rzucać. Gdzie nam teraz, na starość lepszego chleba szukać — w głosie starego drga nuta niezawinionej krzywdy. Zło przyszło do nas razem z Parkiem. Przez całe lata mieszkaliśmy tutaj, w tych skałach, w tych lasach, a teraz, człowieku, nie wolno! Idź sobie, gdzie chcesz, a nie chcesz iść, to ci tak życie uprzykrzą, że pójdziesz. I nie ma takiego, co by się wstawił za nami. Ale kiedyś jeszcze prawda, jak oliwa, wyjdzie na wierzch...

Ktoś powiedział kiedyś o tej ziemi lapidarnie: „Tysiąc pięćset hektarów piękna i zmartwień". Te tysiąc pięćset hektarów to Ojcowski Park Narodowy, Dolina Prądnika, naturalna scenografia tej opowieści.

„Komu obce strony znane,
Wstydem lica swe zarumień,
Jeśliś widział Tybr, Sekwanę,
A Prądnika minął strumień,
Po co szukać obcych krajów,
Alp odwiedzać grzbiet wysoki?
Wśród Ojcowa skał i gajów
Równie szczytne masz widoki",

Tak pisał romantyczny poeta.

„Jesteśmy oczarowani wprost pięknem tej najpiękniejszej doliny..." A tak wpisali do księgi pamiątkowej sztubacy sto pięćdziesiąt lat później.

Dolina Prądnika jest sławiona jako jedyny w swoim rodzaju teren badań botaników, leśników, entomologów, klimatologów, geomorfologów itd. Nieoczekiwanie znajdzie tu zajęcie również prawnik, socjolog, nie brakuje go też dla tego, kogo pasjonuje funkcjonowanie władzy, mają tu co robić i milicjant, i prokurator. Znajdzie także swoje poletko reporter.

W Dolinie są hasła. Te hasła mają oznajmiać światu, że nie jest to zwyczajna dolina, ale park narodowy. Zielone tablice nawołują do uszanowania sanktuarium natury: *„Słuchaj mowy lasu"*; charakteryzują człowieka kulturalnego: *„Kulturalny człowiek nie łamie gałęzi i nie wspina się po skałach"*; mówią o konieczności zachowania skarbów natury dla przyszłych pokoleń: *„Zostaw to miejsce w takim stanie, w jakim chciałbyś je zastać"*.

Największym zmartwieniem Doliny jest... wojna. Ta wojna toczy się od lat i z biegiem czasu coraz bardziej polaryzuje wrogie sobie obozy: ludzi Parku i ludzi Doliny. Istnienie jednych jest zmartwieniem dla drugich.

W marcu 1981 roku na ręce prezydenta miasta Krakowa wpłynął memoriał. Ten dokument zawierał jedenaście punktów, po których następowała długa lista podpisów. Podpis złożyli wszyscy mieszkańcy Ojcowa; kto tylko potrafił pióro w ręku utrzymać. We wszystkich jedenastu punktach, sformułowanych w tonie kategorycznym, brzmiała nuta determinacji. Ojcowianie upominali się o swoiście pojęte prawa do życia: pisemne zagwarantowanie normalnej komunikacji, otwarcie drogi przez serpentyny, protest przeciwko utworzeniu alpinarium na parkingu

w centrum, żądanie remontu drogi. Dwa następne postulowały wprowadzenie dwóch przedstawicieli ludności do Rady Parku z prawem głosu oraz akceptacji decyzji Rady przez mieszkańców, dwa dalsze dotyczyły odbudowy spalonego sklepu oraz remontu dachu na budynku zwanym w tutejszym slangu „postojem". Punkt dziewiąty był poświęcony rozrachunkom. Sygnatariusze domagali się odwołania ze stanowiska dyrektora Ojcowskiego Parku Narodowego mgr. inż. Marcelina Mełgesa. Piętnaście lat jego rządów ludzie Doliny ocenili jednoznacznie. Dla nich zadośćuczynieniem sprawiedliwości byłoby pozbawienie dyrektora wszystkich odznaczeń oraz osądzenie go w majestacie prawa. Przede wszystkim, za niegospodarność!

Duch odnowy wkroczył na te tereny. Wolaniu przeciwko życiu w rezerwacie zawtórował wkrótce głos z drugiego końca doliny. „Solidarność Wiejska" z Sułoszowej w imieniu mieszkańców wsi wystąpiła przeciwko dyrektorawi Mełgesowi, domagając się również zdecydowanie rozliczenia go z kilkunastoletnich rządów w Dolinie. Treść protestu nie zostawiała wątpliwości co do tego, że satysfakcją mogło być tylko zejście dyrektora ze sceny. Obok nazwiska dyrektora Mełgesa figurowało inne — dr Marii Łuczyńskiej-Bruzda — architekta Ojcowskiego Parku Narodowego. Dla ludzi z Doliny — architekt Parku to osoba, która nie pozwala im się budować. Każe mieszkać w spróchniałych domostwach. W proteście skierowanym przeciwko tym dwojgu osobom tkwiła tęsknota do zwyczajnego życia. W świadomości ludzi z Ojcowa i Grodziska, Pieskowej Skały i Wielmoży, Sułoszowej, Prądnika egzystencja Parku odbywa się ich kosztem, za ocalenie dla potomnych resztek wspaniałej niegdyś przyrody oni płacą cenę najwyższą: A płacić nie chcą...

„Jeśli tworzymy parki narodowe kosztem poważnych ofiar gospodarczych TO NIE PO TO, aby zrobić z nich lunaparki, dając wprawdzie rozrywkę bardziej godziwą niż szynk, ale również mało umoralniającą, LECZ aby stworzyć z nich miejsce natchnienia i wytchnienia dla zmęczonego tempem współczesnego ŻYCIA człowieka".

(Z haseł w OPN)

W styczniu 1956 roku Rada Ministrów wydała rozporządzenie, powołujące do życia Ojcowski Park Narodowy. Akt prawny przyznawał mu status obszaru szczególnie chronionego. *„Wszelka działalność na terenie Parku podporządkowana zostaje interesom ochrony przyrody"* — głosił odpowiedni paragraf. Dzień triumfu święcił profesor Władysław Szafer, który od 1924 roku zabiegał o ochronę i ocalenie bogactw natury Doliny Prądnika. Swoje zwycięstwo osiągnął tuż przedtem, nim człowiek zaczął zagrażać przyrodzie. Ale tym człowiekiem nie był rdzenny mieszkaniec Doliny. Był nim przybysz uzbrojony w hasło „Wszystko dla mas"...

Do Ojcowa przyjeżdżali ludzie od dawna. Stanisław August Poniatowski podziwiał Jaskinię Ciemną, a królewskie zachwyty szczegółowo opisał Adam Naruszewicz w *„Diariuszu z podróży Stanisława Augusta.* Byli w Ojcowie Chopin i Staszic, Karpiński i Niemcewicz. Adolf Dygasiński pisał tu swoje *Gody życia.* W XIX wieku, zwłaszcza w jego drugiej połowie, kiedy podróżowanie dla przyjemności stało się niejako miarą pozycji społecznej, Ojców był dokładnie tym samym dla elity Królestwa Polskiego, czym Zakopane dla Galicji. Tutaj można było jeździć bez paszportu. Zaczęto stawiać hotele, budowano domy w szwajcarskim stylu, a określenie Doliny Prądnika mianem polskiej Szwajcarii weszło do mowy potocz-

nej. Tego zwrotu używają jeszcze i dzisiaj starsi mieszkańcy Doliny. Dla nich jest on synonimem dawnych czasów. W czasach II Rzeczypospolitej Ojców stracił na znaczeniu jako uzdrowisko, nadal jednak pozostał popularną miejscowością wypoczynkową. W tamtych to czasach idee ochrony przyrody, głoszone przez uczonych, zdobywały coraz większe posłuchanie. Ostatnia właścicielka dóbr ojcowskich księżna Ludwika Czartoryska zamyśliwała przekształcić Dolinę Prądnika w świątynię ciszy i dumania. Wtedy powstał projekt przeniesienia Ojcowa z Doliny na Złotą Górę. Wojna przerwała te poczynania, a po latach jedni mówią, że to dobrze, a inni żałują.

Po wojnie w Ojcowie nadal było ludno. Zmieniła się tylko klientela. Przyjeżdżali już nie bryczkami i limuzynami, ale samochodami ciężarowymi, umajonymi zielenią, z propagandowymi piosenkami na ustach. „Po ciężkiej pracy należy ci się wypoczynek, używaj więc, bo to wszystko twoje" wtłaczano do głowy tysiącom ludzi z hut, kopalń, budów. W wolne od pracy dni skałki nad Doliną, leśne polany obsiadywali przybysze, a nieodłącznym atrybutem ich wizyty była harmonia i skrzynka wódki. Pozostawały po nich setki butelek, sterty śmieci i połamanych gałęzi. Nahalny tłum groził zadeptaniem i zniszczeniem wszystkiego, co w tej Dolinie było najwspanialsze. Wywołało to zdecydowany sprzeciw obrońców przyrody. Powstanie Parku Narodowego miało nadać tej ziemi właściwą rangę.

Siedzimy na przyzbie „Stanisławówki", okazałej willi, pamiętającej czasy uzdrowiska, poniżej, przed nami wije się bystry Prądnik, ciasny horyzont zamyka soczysta zieleń buków, poprzetykana bielą skał, baszta kazimierzowskiego zamczyska, choć jest dziełem ludzkiej ręki, wydaje się być naturalną

cząstką tej Doliny. Taki pejzaż przykuwa przede wszystkim oczy przybysza; oczy miejscowych szukają w krajobrazie blizn dla obcego niedostrzegalnych. Tak patrzy Stanisław Dulewicz, rocznik 1899, jeden z najstarszych mieszkańców Ojcowa.

— Popatrz pan, jaka ruina naokoło. Droga do nas to wybój na wyboju, restauracja „Nad basenem" zburzona, „Róża" rozebrana, kuźnia Langiewicza w Sąspowskiej, tam, wie pan, gdzie kosy dla powstańców kuli, zawaliła się ze starości, sklep się spalił, mury niszczeją już trzy lata i nikogo to nie obchodzi. Pewnie, niech się zwali do reszty. A wszystko po to, żeby ludziom odebrać, a potem zniszczyć — taka to gospodarka. A zajdź pan do lasu — zniża głos — w lesie śmierdzi, śmierdzi zgnilizną. Znam ja taki smród z okopów pierwszej wojny. Ale tam śmierdziały trupy, a tu drzewo gnije, kogo to w końcu obchodzi. A jakby tak pana złapali, że pan gałązkę do domu przywlókł, to zaraz straszą milicją i prokuratorem, boś pan łobuz i park narodowy niszczysz. Lepiej niech sobie leży i butwieje, niech robaki mają się czym paść. Ale zdrowe jodły to rżną aż huczy i wtedy to nikomu nie przeszkadza, że to park.

Zmęczony tyradą Dulewicz milknie, a po chwili dorzuca w zamyśleniu: jakby tak tartak w Jerzmanowicach umiał mówić, to by panu naopowiadał.

Teraźniejszość jest ponura, myśli szybko uciekają w przeszłość. Twarz Stanisława Dulewicza ożywa, w oczach zapalają się pogodne ogniki:

— Kiedyś to tu było pięknie. Pamiętam, jak byłem chłopakiem, to wieczorem przyjemnie było wyjść z domu. Skały były oświetlone. Takie wymyślne lampy ze Szwajcarii sprowadzili na specjalną naftę. Jonaszówka była oświetlona, Brama Krakowska też. Gości zjeżdżały tłumy przez okrągły rok. Do nas przyjeżdżał Staff, zawsze z pieskiem. Tu siadywali-

śmy sobie razem na tym balkonie. „Pod Berłem" mieszkał Szaniawski. Pamiętam, jak z kubkiem biegał na dół po wodę. W „Róży" kiedyś mieszkał Broniewski. Nad basenem rżnęły orkiestry, nieraz się do domu rano wracało — mruga filuternie. Turyści zachwycali się pięknem naszego Ojcowa. Przewodnicy prowadzili ich do jaskiń: do Ciemnej, do Łokietka, na Chełmową Górę. Stamtąd było widać Kraków. Mój ojciec był przewodnikiem — Mikołaj Dulewicz. Nosił krakowską sukmanę i czapkę — z piórami... Tu milknie ojcowski nestor, delektując się przywołanym wspomnieniem dawnych dobrych czasów, a mnie tu brakuje tylko pointy tej opowieści, echa piosenki z pobliskich Bronowic: *„Czapkę wicher niesie, róg huczy po lesie..."*

Dawna świetność Ojcowa obraca się w perzynę. Ustawa z 1956 roku, której widmo przewijać się będzie w różnych wcieleniach, jest swoiście interpretowana: największym zagrożeniem przyrody jest mieszkający w Dolinie człowiek. A zatem nic budować nie wolno, ponieważ to godzi w interesy ochrony przyrody, remontować dróg nie wolno, ponieważ itd. Komunikację należy ograniczyć, ponieważ itd.... gospodarowanie na roli nie wskazane i dalej refren ten sam. Opracowana w połowie lat sześćdziesiątych koncepcja przewidywała stopniowe eliminowanie działalności człowieka w Dolinie. Usługi miały się koncentrować na obrzeżach Parku: hotele, restauracje, parkingi. System dróg obwodnicowych pozwoliłby na likwidację dróg w Dolinie, ze słynnymi ojcowskimi serpentynami na czele. Ideałem byłoby pozostawienie Doliny przyrodzie. W ciągu kilkunastoletnich rządów dyrektora Mełgesa koncepcja taka była szczególnie lansowana, co więcej, wyznaczała w zasadzie główny kierunek działalności Parku. Skutków jej pierwsi doświadczyli mieszkań-

cy Czyżówek. Spod „Stanisławówki" jak na dłoni widać kilka bieda-domków przylepionych jakby do białej skały. To było jesienią w 1968 roku. Któregoś wieczoru krwawa łuna rozświetliła Dolinę. Rozświetliła i wkrótce zgasła. Zanim nadbiegli sąsiedzi z odsieczą, zanim przyjechała straż pożarna, pozostały dymiące zgliszcza. Cztery drewniane domostwa kryte słomą, żywy zabytek budownictwa podkrakowskiej wsi, spłonęły jak zapałka. I właśnie tamtej jesieni zaczął się dramat ludzi z „Abisynii", jak ojcowianie nazywają Czyżówki. Poszli po pozwolenie na odbudowę, ale w majestacie prawa powiedziano im kategorycznie: „nie". „Na starym miejscu w żadnym przypadku nie wolno wam budować. Tu musi wrócić przyroda". Zastępcze działki wyznaczono w sąsiednich Smardzowicach, ale teraz oni powiedzieli — „nie"! Teren nieuzbrojony, bez wody, bez elektryczności i w dodatku daleko. Tymczasem zima nadciągała i trzeba było się spieszyć. Jesień można jeszcze przetrwać w chlewiku czy obórce, ale nie zimę. Odprawieni z kwitkiem od wszystkich urzędowych drzwi, w ciągu kilku nocy sklecili z pustaków, blachy i papy byle jakie chałupki. Nad Doliną zaszumiało. Przyjeżdżała milicja, kazali rozwalać, posypały się mandaty, nakazy rozbiórki. Mieszkańcy Czyżówki nie dali za wygraną, zaczęli kołatać do różnych urzędowych sumień i świecąc w oczy swoim nieszczęściem osiągnęli cofnięcie nakazów. Zostawiono ich w spokoju. Z biegiem lat owe bieda-domki rozrosły się — swą karykaturalną szpetotą wdarły się w uroczy zakątek Doliny. Jeden z członków Rady Naukowej OPN ubolewał, iż to smutne, że łamiemy prawo w imię zasad humanitaryzmu. Wówczas jednak nie zdawano sobie sprawy z niebezpiecznego precedensu, jaki zostanie stworzony. A można było tego uniknąć — tak przynajmniej twier-

dzą znający sprawę ojcowianie. W tym czasie stał pusty „Kazimierz" — dawny hotel uzdrowiskowy, przysadziste gmaszysko z kilkunastoma mieszkaniami. Dyrektor Mełges w obawie, aby zdesperowani pogorzelcy nie wdarli się tam, zasadzał na noc gajowego z dubeltówką przed wejściem. Czyżowa z synem dostała się jednak do wnętrza. „Strzelajcie, strzelajcie" — krzyczała zrozpaczona — „gdzie ja mam się podziać?" Mieszka tam do dziś.

Precedens Czyżówek zyskał niebawem jakby kontrprecedens. Była nim sprawa Mosura. Jan Mosur, powszechnie szanowany mieszkaniec Doliny, przez długie lata przewodził Gromadzkiej Radzie Narodowej. Do instytucji Parku odnosił się z dużą wyrozumiałością, zasiadał w jego Radzie, próbując łagodzić coraz częściej pojawiające się konflikty między ludźmi Doliny a dyrekcją. Ale i on znalazł się w potrzebie — jego wiekowy dom wymagał naprawy. Wystąpił więc o pozwolenie na remont. Ślady tej historii odnajduję w protokołach z posiedzeń Rady Parku. A więc Rada przyjmuje do wiadomości, że obywatel Mosur Jan stara się o remont, w następnym protokole uwaga, że trzeba wystąpić do konserwatora zabytków o ekspertyzę, czy dom jest zabytkowy. Rada Parku zbiera się średnio dwa razy do roku, a podaję to nie bez kozery. W następnych pismach uwagi, że skoro zainteresowany parał się kiedyś stolarką artystyczną, można mu umożliwić zakup drewna, żeby odnowił swój dom w starym stylu. Potem znowu zasiadający w Radzie wiceprezydent Krakowa wystąpił z propozycją, że w zasadzie Jan Mosur zasłużył sobie na to, aby na stare lata otrzymać godziwe mieszkanie w Krakowie, a sam projektodawca zaofiarował się sprawę załatwić. Dalej protokoły milczą na ten temat. Finał za to dobrze pamiętają mieszkańcy Doliny. Powędrował sta-

ry Mosur Królewską Drogą do Smardzowic po raz pierwszy nielegalnie, bo stary trakt, w myśl przepisów Parku, nie istnieje. Było to już jednak Mosurowi całkiem obojętne, bo Królewską Drogą wędruje się z Ojcowa na cmentarz. Starej żonie i córce — inwalidce zostawił w spadku zmurszałą chałupę z cieknącym dachem, jakby ironiczną zapłatę za lata szacunku dla prawa, w którym żył i z którym umarł. Splot tych dwóch wydarzeń określił swoisty *modus vivendi:* chcesz budować, masz do wyboru postępować tak jak Mosur, albo jak ci z Czyżówek.

Spójrzmy jednak na sprawę z drugiego krańca Doliny. Na drugim krańcu leży Sułoszowa, jedna z najdłuższych wsi w Polsce, ciągnąca się przez kilkanaście kilometrów wzdłuż Prądnika. Życie dość osobliwe podzieliło tę długą wieś na szczęśliwców i na pechowców. Granicę szczęścia wyznacza granica Ojcowskiego Parku Narodowego. Ta pechowa część wsi zaczyna się tuż za Pieskową Skałą. Na przystanku pytam o „Solidarność Wiejską". Jakiś człowiek kieruje mnie w górę, do Sygułowej. Młoda kobieta, gdy jej wyłuszczam cel swojej wizyty, powiada po chwili namysłu: „Najlepiej będzie, jak pójdziemy do Zenka Kiszki. On ma całą sprawę w małym palcu". Znów schodzimy w Dolinę. Zabudowania wzdłuż drogi w ogromnej większości drewniane, często jeszcze pod strzechą. Niektóre chałupki całkiem jak z ballady „Dziad i baba": *jedno miała okienko i jeden był wchód do niej*". Jednakże jest rzecz, która w dobitny sposób świadczy, że mieszkańcy tych domostw mają całkiem inne aspiracje. Przy każdej niemal chałupie leżą sterty cegieł i pustaków, miejscami barykadują pobocza, droga biegnie jakby w wąwozie. Niektóre zdążyły już porządnie omszeć — leżą widać długo. Potwierdza to natychmiast moja przewodniczka:

— O, tutaj — mówi pokazując na maleńką chałupinkę — te pustaki leżą już dziesięć lat, te z prawej niewiele krócej. Ludzie składają podanie o pozwolenie na budowę, zwożą materiały i czekają w swoich spróchniałych chałupach. Są tacy, co po większym deszczu wiadrami wodę z mieszkań wynoszą. Przed zimą oklejają ściany od środka papierem, bo przecież żadnego gwoździa wbić się nie da. Gdyby pan podszedł, ot, chociażby do tej chałupki, i kopnął w ścianę, to garnki z pieca pan postrąca nogą. U takiego Goli dziury w ścianie zastawili szafami. Najpierw jedną, ale zaraz później znów się posypało, więc postawili drugą szafę. Cztery szafy miał chłop w domu, starczyło na jedną izbę, gniotą się w tej jednej i czekają.

Rzeczywiście, niektóre domostwa, tak sympatycznie z daleka wyglądające, z bliska prezentują się opłakanie. Właściwie w ściany nie trzeba kopać nogą. Wystarczyłoby mocniej nacisnąć palcem...

Nie wszyscy jednak są cierpliwi. Ryzykują. Sygułowa pokazuje mi nowy dom z pobłyskującymi szkiełkami w fasadzie.

— Ten, na przykład, sąsiad zapłacił w sądach siedemdziesiąt tysięcy. Dostał pozwolenie na remont i pod starym dachem postawił całkiem nową chałupę. Potem jeszcze dach zmienił i dom jak nowy. Wybuchła afera, sprawa trafiła do sądu, przegrał, zapłacił, ale ma sucho i ciepło.

Sułoszowa leży w zasadzie poza granicami Parku. Jej część natomiast należy do tak zwanej otuliny, strefy buforowej między obszarem chronionym, a terenami, gdzie człowiek prowadzi swoją działalność gospodarczą. W strefie otuliny obowiązuje ochrona krajobrazu i zabytków architektury, a więc w dnie Doliny Prądnika nie ma miejsca na budowę.

Tereny budowlane wyznaczone zostały na wierzchowinie.

Na wierzchowinie właśnie mieszka Zenon Kiszka. Można dostać porządnej zadyszki, zanim się dotrze do jego gospodarstwa, leżącego kilkadziesiąt metrów nad dnem Doliny. Gospodarz z zażenowaniem prosi do wnętrza, właśnie stawia piec. Chata drewniana, pod strzechą. Spośród sterty książek na stół wyjeżdżają teczki z dokumentami. Każda sprawa w osobnej teczce, pisma starannie posegregowane.

— Chcą nauczyć nas praworządności — mówi Kiszka z powagą — to niech najpierw sami prawa przestrzegają. Jak prawo, to dla wszystkich, a u nas są dalej lepsi i gorsi. Jednym wolno się stawiać, innym nie. Ja już tam nie wiem, jak to hula... Myśli pan, że na piękne oczy... Jednemu nie wolno na swoim, a drugi na drodze może budować.

Mówię, że wolno budować na wierzchowinie. Kiszka wzrusza ramionami.

— Ee, co tam. Widział pan przecież, jaka tu droga do mnie, jak chcę przywieźć węgiel czy cement, to muszę do zimy czekać. I saneczkami koń ciągnie, ja trzymam za lejce, a sąsiedzi popychają. U nas jest inaczej niż w Ojcowie. Tutaj mieszkają rolnicy, musimy mieć warunki nie tylko do mieszkania, ale i do gospodarowania, a kto i kiedy buduje nam porządne drogi na górę?

Pytam, ilu ludzi stara się o pozwolenie. — To zależy — brzmi odpowiedź — jest dwadzieścia parę takich chałup, gdzie strach wejść, choć ludzie tam mieszkają, a gdyby wolno było się budować, to i z pięćdziesięciu wzięłoby się za stawianie. Zresztą to nie jest sprawa tylko naszej wsi. W sąsiedztwie są inne, też w otulinie Parku. Żeby pan posłuchał, co gadali na zebraniu w Wielmoży...

Gadali, pewnie, że gadali i to nie tylko w Wiel-

może. Sołtys Ojcowa, Lucjan Bosak nie bardzo się kwapi do rozmowy.

— O czym tu gadać? Myśmy już wszystko powiedzieli wiele razy i co z tego? Ale władzy tu żadnej nie ma, gospodarza nie ma. Bo co to za władza, co wydaje przepisy i nie potrafi ich wykonać, co to za gospodarz, co najpierw kupuje, a potem niszczy? Nie potrafią sobie poradzić, a potem z nas się robi winnych. A nam prawa do życia nikt nie odebrał, my będziemy się bronić.

Rodzina Bosaków od lat zrośnięta jest z Doliną. Wśród rodzinnych pamiątek pieczołowicie przechowywany jest akt nadający prawo do młyna, sygnowany przez ostatniego króla polskiego Stanisława Augusta Poniatowskiego. Młyn staruszek pilnie wymaga remontu. Dyrekcja i Rada Parku dała sołtysowi w prezencie dokumentację. To dużo i bardzo niewiele zarazem. Lucjan Bosak przeżywa rozterki właściciela zabytku. Jak sprzedadzą mi drzewo, to będę remontował, powiada... a jeśli nie, to młyn pewnie się zawali. Zostanie dokumentacja.

Sprawa młyna jest mała choć charakterystyczna. Daleko ważniejsze są sprawy, którymi ojcowianie żyją, na co dzień. Od kilku lat trwa „wojna komunikacyjna", a jej powodem jest droga przez ojcowskie serpentyny. Przed piętnastu laty w imię ochrony przed spalinami rzucono pomysł zamknięcia tego traktu, najkrótszego zresztą między Krakowem i Doliną. Pomysł upadł, ponieważ nie było wówczas innego dojazdu. Kiedy jednak otwarto drogę z Jerzmanowic do Ojcowa, sprawa odżyła. W roku 1976 zamknięto szlak przez serpentyny dla ciężkich pojazdów. Ta decyzja w sumie niewiele szkodziła mieszkańcom. Samochodami osobowymi można było jeździć, autobusy PKS kursowały także. Ale wraz z zamknięciem drogi zlikwidowano dwa parkingi —

jeden przy Krakowskiej Bramie, drugi w centrum Ojcowa. Z parkingów tych korzystały przede wszystkim autokary wycieczkowe; były bardzo wygodne dla przewodników i zwiedzających. Ich zamknięcie stawiało na głowie utarty od lat schemat zwiedzania Doliny. Z parkingu na Złotej Górze do Groty Łokietka, zamiast kwadransa, trzeba było wędrować blisko godzinę. Ojcowskie lobby turystyczne zadziałało. Znak zakazu stał kilka dni i zniknął. Ustawiono następny i także zniknął bez śladu. Sprawcy, za każdym razem nieznani, skorygowali administracyjną decyzję — serpentynami znów jeździł, kto chciał.

I tak było przez parę lat. Dyrekcja i Rada Parku domagała się jednak wyegzekwowania tego prawa tak zawzięcie, że wreszcie w 1980 roku zamknięto drogę całkowicie. Miał być to rewanż za niesforność, ale odpowiedź była taka sama. Dróżnicy klęli, że co chwila muszą ustawiać nowy znak, aż wreszcie zaklęli potężnie i więcej nie stawiali.

Po wysłuchaniu tej historii rozumiem sceptycyzm sołtysa. Wiąże się on również z wizją Doliny zarośniętej pokrzywami. Nad Sąspówką, jedynym czystym potokiem w Dolinie, jest kawał ogrodzonej łąki, opatrzony tablicą: „Poletko doświadczalne PAN", a za płotem gęstwa dwumetrowych pokrzyw.. Ten napis to nie żart. Doświadczenie polega tu na obserwacji, jak przyroda gospodarzy się sama na terenach, gdzie poniechano działalności ludzkiej. A więc najpierw przez kilkanaście lat panoszą się pokrzywy, a dopiero później wypiera je powoli roślinność drzewiasta. Ojcowianie skwapliwie pokazują gąszcz pokrzyw, odpowiednio to komentując. Pokrzywy to właśnie te blizny w krajobrazie, których wypatrywał Stanisław Dulewicz. Pytanie bez odpowiedzi, które sobie stawiają brzmi: „Co to jest za

gospodarność — najpierw wyłożyć pieniądze, a później zniszczyć...?

Nazwa park narodowy wywołuje w oczach mieszkańców złe błyski. Zła fama sięga daleko poza dolinę. Kiedy na wiejskich zebraniach ogłaszano pomysł tworzenia Jurajskiego Parku Krajoznawczego, nikt nie chciał nawet słuchać, na czym to polega. Reakcja była jednoznaczna: „Najpierw zróbcie sobie porządek w Ojcowie!" Obojętnie, czy działo się to w Wielkiej Wsi, Jerzmanowicach, czy gdziekolwiek indziej. Wszystko, co złe, kojarzy się z Parkiem. Nawet nieregularnie jeżdżące autobusy i niedostatek na sklepowych półkach. „To wszystko robota Parku, żeby nam życie obrzydzić, żebyśmy sobie poszli" — taka jest obiegowa opinia.

Na ojcowskim deptaku, który deptakiem był bardzo dawno, a dzisiaj jest raczej wyboistą ścieżką, na sporej wysepce między kałużami stoją dwaj starzy ludzie. Pierwszy z nich to Stanisław Dulewicz: mój od kilku dni znajomy przedstawia mi swojego druha: „A to Edward Chmielowski, najstarszy ojcowianin, weteran trzech wojen..." Przypominam sobie ogłoszenie reklamowe z jakiegoś przedwojennego przewodnika turystycznego: *„Bazar Edwarda Chmielowskiego w Ojcowie oferuje i poleca bogaty wybór towarów kolonialnych i delikatesowych"*. Jakby uzupełnieniem mojej myśli są dalsze słowa Dulewicza: „kiedyś to on nas wszystkich woził...". „Tak, tak" — odzywa się weteran trzech wojen, były właściciel bazaru i restauracji, współudziałowiec firmy transportowej, która jeszcze dobrych kilka lat po wojnie łączyła Ojców ze światem — „mieliśmy dwanaście autobusów, jeździliśmy nie tak jak dzisiaj, ledwie do Kleparza czy do Skały. Jeździło się do Krakowa, do Zawiercia, do Wolbromia, do Olkusza i to nie tak, jak dzisiaj. Panie — rozrze-

wnia się — gdybyśmy jeździli tak, jak dzisiaj PKS, to po miesiącu z torbami przyszłoby nam pójść. Powiedz mi pan, jak to się stało, że oni jeszcze nie zbankrutowali". „Za to zbankrutowaliśmy wszyscy" — odpowiadam, ale moja odpowiedź splata się ze słowami Stanisława Dulewicza: „O Parku powiedz, Edek, o Parku".

— O Parku? — ojcowski Matuzalem macha ręką w geście rezygnacji. Niech inni mówią, ja już swoje powiedziałem, zresztą, co nam, starym do tego, nas starych nikt nie chce. Park nas nie chce, dzieci nas nie chcą, bo tylko dziel inwentarz i na cmentarz — śmieje się dźwięcznym śmiechem — Milicja też nas nie chce. Muszę panu powiedzieć, jak kiedyś trąciłem milicjanta. Tamten zaraz do mnie zaznacza: „Co ja panu zrobiłem, że mnie pan trąca". A ja na to: „Nic, jak tak sobie". „Tak sobie? Za nic?" „A za nic". „No to chodźcie, obywatelu, na posterunek. Odpowiecie za zniewagę władzy". No to poszliśmy na posterunek, a milicjant, ten co mnie przyprowadził, mówi do komendanta: „Panie komendancie, ten obywatel szturchnął mnie, tak za nic, bez dania racji". A komendant mnie wtedy zapytał, ile ja mam lat? „Dziewięćdziesiąt trzy" — odpowiedziałem. „No to idź pan do domu, a szybko, bo mi tu umrzesz na posterunku, a ja żadnej trumny nie mam". I widzi pan, nikt nas nie chce, milicja nas nie chce, kostucha też nas nie chce, bo powiada, ty sam przyjdziesz, a ja potrzebuję jakiegoś młodego wyrwać...

Powoli ruszamy w stronę Prądnika. „Odprowadzę pana do mostu, muszę jeszcze córce obiad ugotować, o mleko się postarać, chleb może mi ktoś kupił". Na wspomnienie codziennej przepychanki twarz dziewięćdziesięciotrzyletniego starca tężeje. „O co ja będę walczył! Następnym razem może już do tego mostu nie dojdę. Niech pan pamięta, że mło-

dość jest najważniejsza. Musiałem dziewięćdziesiąt trzy lat przeżyć, żeby się o tym dowiedzieć" — rzuca na pożegnanie.

Przed sklepem sążnista kolejka, za chwilę koniec sprzedaży, a chleba jeszcze nie przywieźli. Niektórzy w tej kolejce stoją od rana — to dyżurni w ramach samopomocy sąsiedzkiej: dziś ja, jutro ty. Chwila zagapienia grozi perspektywą dwóch dni bez chleba. Wreszcie nadjeżdża samochód. Kolejka pręży się, milkną sąsiedzkie pogawędki. Ile chleba mieści się w trzech koszach? Ci pierwsi zgarniają do toreb po kilka bochenków.

„Po jednym dawać, po jednym" — protestują głośno stojący za mną młodzi ludzie z plecakami. Sklepowa nie reaguje, a ktoś z miejscowych z siatką wyładowaną chlebem rzuca: „Wy pójdziecie dalej, a my zostaniemy". Przyglądając się tej scenie, zbyt późno dostrzegam, jak nurkująca pod moim ramieniem staruszka zgarnia z lady ostatni bochenek.

Czy ci ludzie rozumieją, w czym tkwi istota Parku Narodowego — czym dla nich jest idea ochrony przyrody, środowiska, krajobrazu? Odpowiedź na to pytanie jest złożona. Ludzie w Dolinie odpowiadają pytaniem: „Czy można chronić jedno, a niszczyć drugie?" Dla nich wszystko, to co jest w tej Dolinie, jest całością: lasy, łąki, potoki, domostwa i oni sami. To jest ich własna idea, której, być może, czasami nie rozumieją, ale doskonale czują.

W oczach mieszkańców Doliny dwa fakty najbardziej podważają wiarę w ideę parku narodowego: pierwszy to sprawa wyrębu drzew, drugi natomiast to wspomniany już stosunek dyrekcji do wykupywanych obiektów. Niemal co roku wybucha afera z wyrębem zdrowych drzew w Ojcowskim Parku Narodowym. Echa tych afer przewijają się poprzez

publikacje prasowe, trafiają do protokołów z posiedzeń Rady OPN. Sygnały prawie zawsze pochodzą od mieszkańców Ojcowa. To oni alarmują redakcje i członków Rady Parku. Alarmy są prawdziwe. Wielokrotnie zapytywał w Radzie Parku Jan Mosur dlaczego wycina się zdrowe drzewa, a posusz zostawia. Ostatnia głośna afera wydarzyła się kilka lat temu: w lesie na Złotej Górze pod topór poszły wiekowe jodły, jedne z najbardziej okazałych w całym OPN. Rozgłos temu wydarzeniu nadała krakowska prasa.

— To wszystko, panie, przez te dzięcioły — tłumaczył dyrektor Mełges reporterowi „Dziennika Polskiego". Tak dziobami skuły drzewa, że trzeba je było wyciąć. Finał wydarzenia zamknął się w anegdocie. Nieuświadomiony czytelnik dowiedział się, że dzięcioły niszczą drzewa, zaś w Dolinie, kiedy z lasu znów dobiegło echo siekier, mówiono sobie mrużąc oko: „Znów te dzięcioły narozrabiały".

Ale nie to ich najbardziej martwi. Niszczenie budynków boli, ale to nie ich sprawa, wycinanie drzew drażni, ale to nie ich sprawa, fatalna komunikacja denerwuje, ale do tego można się przyzwyczaić, złe zaopatrzenie doskwiera, ale temu sposobem i samopomocą sąsiedzką można jakoś zaradzić. Najgorsze jest jednak uczucie niepewności. „Co będzie z ludnością Ojcowa" — pytał wiele razy Jan Mosur na obradach Rady Parku. „Co z nami będzie? Nasze gospodarstwa podupadają, domostwa niszczeją" — pytali mieszkańcy Ojcowa na zebraniach. Pewności nie dawały eufemistyczne odpowiedzi, niepewność utwierdzało postępowanie dyrekcji. Obowiązywał niemile brzmiący termin: rugowanie człowieka z Doliny Prądnika. Dopiero niedawno ktoś zwrócił uwagę w Radzie Parku na nie-

chlubny rodowód tego pojęcia, więc zmieniono je na „przesiedlenie".

Czy można uciec z Doliny? Dokąd? Z czym? Exodus z Doliny jest zbyt dużym ryzykiem. Nie ma działek zastępczych. Nikt nie gwarantuje przydziału materiałów budowlanych. Sprzedać dobytek? Ile można dostać pieniędzy za stare zabudowania i spłechetki ziemi? Cena za jeden metr wynosi cztery albo sześć złotych. Zwyczajna stawka, nie ma dodatku za atrakcyjność. Zostawiając półtora hektara i stare domostwo można zainkasować sto pięćdziesiąt — dwieście tysięcy. Czy jest to zaliczka na rozpoczynanie od nowa? Natrafiłem na kopię listu mieszkańców Pieskowej Skały do prezydenta Krakowa z praktyczną kalkulacją. Sprzedając ziemię za państwową cenę, nową muszą kupić po cenie prywatnej, która jest dziesięciokrotnie wyższa. A gdzie reszta? *„Nie chcemy umierać w nędzy, w przekonaniu o wyrządzonej nam krzywdzie"* — kończy się to dramatyczne wołanie bez odpowiedzi.

W pamięci ludzi, którym na grzbiet spadła starość wraz z nieprzewidzianymi kłopotami, księżna Ludwika Czartoryska — podręcznikowy przykład wroga klasowego — jawi się jako dobra pani. Ostatnia właścicielka Ojcowa, kiedy chciała wyprowadzić ludzi z Doliny, dawała trzy morgi za mórg, drewno na odbudowę i pięć tysięcy złotych! Nawet po latach ta suma zapiera dech!

Często słyszy się opinię, upowszechnianą przez Dyrekcję i Radę Parku, że ludzie, głównie w Ojcowie, nie myślą się wyprowadzać, bo robią kokosy na turystyce. Opinia ta wymaga pewnej korekty. Kiedyś, kiedy kwaterami włodarzyło PTTK, było w Ojcowie pięćset miejsc noclegowych, przyjmowano turystów w każdym niemal domu. Kiedy jednak w 1977 roku gospodarzem kwater został krakowski

„Wawel—Tourist", podniesiono standard i opłacalne stały się tylko kwatery komfortowe, liczba ich zmalała do stu pięćdziesięciu, zaś ilość kwaterodawców spadła do kilkunastu. Chętnych do odejścia z Doliny przybyło, ale polityka wykupu załamała się z powodu braku pieniędzy. Ludzie zaczęli się rozmyślać i wycofywać podania. Rolnicy nie chcą zostawiać swojej ziemi, ci zaś, którzy jej nie mają, chcą dożyć swoich dni tu, gdzie się urodzili. Lepsza niepewność na starych śmieciach niż gdziekolwiek indziej. Bo w Dolinie zasiedzieli się tylko starzy. Młodzi nie wiążą z nią swojej przyszłości.

Odmienny ton w tej kwestii wniosła moja rozmowa z dyrektorem administracyjnym Oddziału PAN w Krakowie, przewodniczącym Rady Parku Januszem Wiltowskim. Kiedyś występowaliśmy solidarnie na łamach „Gazety Krakowskiej" i „Życia Literackiego" przeciw koncepcji budowy schroniska-giganta nad Morskim Okiem z pomyślnym zresztą skutkiem. Choć nie zetknęliśmy się wcześniej osobiście, sprawa sprzed lat pozwala nam łatwo znaleźć wspólny język. Dyrektor Wiltowski reprezentuje bardzo realny punkt widzenia.

— Gdybyśmy — mówi — potraktowali w stu procentach serio memoriał wystosowany przez ludność Ojcowa i Sułoszowej, to istnienie Ojcowskiego Parku Narodowego przestaje mieć sens. Z drugiej strony nikt nam nie da tyle pieniędzy, żeby w możliwie krótkim czasie uporządkować wszystkie zaległe sprawy (według planów, na właściwe zagospodarowanie OPN potrzeba siedmiuset siedemdziesięciu milionów złotych w cenach w 1976 roku). Nie możemy więc wykupić gruntów, nie możemy zapewnić mieszkań ani działek budowlanych. Pozostaje tylko kompromis. Ci, którzy żyją w Dolinie, mogą być spokojni o swoją przyszłość. Oni i ich

dzieci, które tam mieszkają. Nikt ich nie będzie wypędzał, będą mogli remontować swoje domy. Nie będzie to jednak sprawa prosta. Są ludzie, którzy już wyemigrowali z Doliny, urządzili się w mieście, a teraz chcą na ojcowiźnie stawiać dacze. Dla nich nie ma już miejsca nad Prądnikiem. Takim powrotom będziemy się przeciwstawiać. Zdaję sobie sprawę, że spraw do uporządkowania jest wiele. W tej chwili pozostaje tylko rozsądny kompromis. Taka jest przyszłość Parku.

— Tylko — powątpiewam — czy uda się ludzi przekonać? Czy nosząc w sobie tyle zadr uwierzą? Park ma wszystkich przeciw sobie. Administrację gminną też.

— Trudny problem, bardzo trudny, liczymy jednak na pomoc ze strony światlejszych mieszkańców. Trzeba podjąć z nimi dialog...

Te prądy jeszcze w Dolinę nie dotarły. Ludzie nadal myślą po dawnemu. Żona Stanisława Dulewicza również żyje przeszłością Ojcowa. Zbiera pamiątki, fotografie, dokumenty, a w wolnych chwilach pisze rymowane dzieje Doliny. Strofy pisane starannym kaligraficznym pismem, którego nauczyła się w gimnazjum ojcowskim (było takie jeszcze po wojnie) zapełniają karty albumów.

Czytam na jednej z nich:

„Ale Dulewicz setny,
z prawdziwie polską duszą,
więc i podatki żadne też,
na pewno go nie skruszą.
On mówi, prawda, ten mój grunt
jałowy, każdy przyzna,
Ależ to zawsze Polska jest
Kochana Ma Ojczyzna".

„Walka klas doprowadziła do zwycięstwa rewolucji socjalistycznej
— walka człowieka z przyrodą skończy się zagładą ludzkości".

(Z haseł w OPN)

„Proszę państwa, jesteśmy w Ojcowie. Nad nami wznosi się baszta zamku kazimierzowskiego" — Władysław Filipowski rozpoczyna swoją przewodnicką liturgię. Pan Władysław jest najstarszym ojcowskim przewodnikiem. Prowadzi wycieczki od pięćdziesięciu dwu lat. Mało powiedzieć o nim „przewodnik" — to wędrująca po szlakach encyklopedia Doliny w zielonym mundurze. Spośród przewodników ojcowskich mundur nosi on jeden. Ma do tego prawo, przez wiele lat był gajowym, podobnie jak wcześniej jego ojciec. Siadamy do autobusu.

— Mamy trzy godziny na zwiedzanie — mówi kierownik grupy.

— Trochę mało — kręci głową Filipowski.

— Na więcej nie ma czasu. Mamy zarezerwowany obiad na Złotej Górze. Jak wypadniemy z kolejki, to z pustymi żołądkami pojedziemy dalej. A droga jeszcze przed nami długa. Chcemy jak najwięcej zobaczyć...

— Pojedziemy więc do Pieskowej Skały, zobaczymy zamek i Maczugę Herkulesa, a potem wrócimy do Ojcowa i pójdziemy sobie do Groty Łokietka — proponuje najstarszy ojcowski przewodnik. Ruszamy. Autokar nie jest zradiofonizowany.

— Nie lubię takich — powiada do mnie pan Władysław. Niewiele można powiedzieć. Szum silnika zagłusza słowa. Ja się wysilam, a wycieczka niewiele z tego rozumie. Patrzą przez okna i nie wiedzą, na co.

— Ile czasu pan potrzebuje, żeby pokazać lu-

dziom przynajmniej rzeczy najbardziej warte obejrzenia.

— Sześć do siedmiu godzin — pada odpowiedź i dalej jakby w uzupełnieniu — ale takich wycieczek jest mało. Bardzo mało.

Jedziemy w kierunku Pieskowej Skały. Droga wije się dnem Doliny, raz po raz przecinając Prądnik. Uczestnicy wycieczki wpatrują się w krajobraz w niemym zachwycie.

— Tu, na prawo mamy młyn Boronia. Drewniany. Jest obiektem zabytkowym. Kiedyś takich młynów było w Dolinie sześćdziesiąt cztery. Dziś zostało ich kilka — rzuca Władysław Filipowski w stronę wycieczki. A po chwili do mnie — Tu, gdzie teraz jedziemy, prowadziłem wycieczki przed wojną. Szło się na pół dnia, na cały dzień. Pieszo. Opowiadałem im o okolicy.

Przychodzi refleksja: co unoszą z tej Doliny ludzie, zdążający do niej ze wszystkich stron?

— Tutaj, na prawo mijamy Grodzisko z pustelnią błogosławionej Salomei, siostry Bolesława Wstydliwego — odzywa się przewodnik do wycieczki. Ludzie zadzierają głowy, ale z autokaru widać tylko strome skały, zwieńczone gęstwiną drzew i krzewów.

— Nie ma czasu — zwraca się do mnie Władysław Filipowski tonem jakby usprawiedliwienia. — Trzeba by się zatrzymać, wyjść na górę, wszystko im pokazać, opowiedzieć. Barokowy kościółek, pustelnię z kamiennym łożem błogosławionej Salomei i taki ciekawy obelisk, który stoi na grzbiecie słonia. Kiedyś z jego trąby tryskała fontanna. Tutaj w Grodzisku jest też rezerwat wisienki stepowej. Ale z autobusu niewiele widać...

Jeszcze parę minut i autokar zatrzymuje się pod Maczugą Herkulesa. Uszy wycieczkowiczów łowią

opowieść Filipowskiego o krzyżu na szczycie skały.

— To przez dziewczynę ten krzyż tam stoi. Pamiętam, byłem wtedy młodym człowiekiem i przyjeżdżali do nas taternicy, i próbowali się dostać na sam szczyt Maczugi. Wiejskich chłopaków bardzo to interesowało, nosili liny, haki, sami próbowali się wspinać, ale że nie bardzo umieli, to i odpadali ze skały, a dziewczyny strasznie się z nich śmiały. Najbardziej wyśmiewała się Kazia. Znałem ją, ładna była dziewczyna, a przy tym majętna, bo ojciec jej był młynarzem. Kazia młynarzówna powiedziała, że wyjdzie za mąż za tego, kto pierwszy wdrapie się na szczyt i krzyż na nim postawi. Więc chłopaki się starali, bo partia była dobra, ale długo nie udawało się żadnemu tam wdrapać. A Kazia tylko się śmiała. Wreszcie jednemu się udało. Zaczął rano, parę godzin się wspinał. Jak stanął na górze, spuścił linę, wyciągnął na niej krzyż i ustawił go tam, gdzie go widać. Ale z Kazią nie rozmawiał. Wyjechał, a ona została starą panną. Za karę, za te prześmiewki...

Historyjka się podobała, ale szmer komentarzy jeszcze nie przebrzmiał, a już autobus wtoczył się na parking u stóp zamku w Pieskowej Skale. Że to parking można poznać jedynie po opłatach skrzętnie egzekwowanych przez PTTK. Jest to niewielki placyk wysypany żużlem i kamieniami, pełen wybojów. Mieści się na nim z biedą kilka autokarów. Jeśli jest większy ruch, pojazdy oblegają drogę. Kiosk zamknięty, za to restauracja „Pod Maczugą" (kategoria IV — gospodarz GS Sułoszowa) kusi otwartymi drzwiami. Kilku wycieczkowiczów szybko jednak wychodzi z rozczarowaniem w oczach. Piwa nie ma, wódki nie ma, do jedzenia niewiele. Znak czasu AD 1981. Kiedyś, w lepszych czasach można było tu zjeść, a przede wszystkim wypić.

To ostatnie było przywilejem miejscowych, jako że w kawiarni „Zamkowej" nie ma „czystej". Poza tym *„ludzi o włościańskim wyglądzie do kawiarni nie wpuszczano"* przypominam sobie cytat z interwencji prasowej. Interwencji takich było dość sporo, a wzburzenie chwytających za pióra łatwo wytłumaczyć. Dla nich po prostu bar IV kategorii, ze sławojką na zapleczu nie powinien uzupełniać pejzażu u stóp zamczyska, dokąd ściągają tłumy turystów. Skutki interwencji były mizerne, gdyż GS musi wykonywać plany, a przybysz ma prawo coś zjeść. Dla elity jest więc kawiarnia „Zamkowa" z cenami klasy „Holidaya", masówka musi nasycić się „Pod Maczugą". Poza tym ta knajpa to jedna czwarta miejsc konsumpcyjnych na terenie OPN. Postawiono tylko parę haseł, jak powinien zachowywać się człowiek kulturalny...

Wycieczka „zaliczyła" już Pieskową Skałę. Bierzemy kurs na Grotę Łokietka. Kierownik grupy z niepokojem patrzy na zegarek. Nie ma czasu na zatrzymywanie się po drodze. Autokar szybko przemyka Doliną. Postój przy Krakowskiej Bramie. Ławeczki ciosane z grubych bali oddzielają szosę od terenu, który kiedyś był parkingiem. Wojna o zlikwidowanie tego parkingu trwała pięć lat, a problem rozstrzygnął ostatecznie jeden człowiek z siekierą w ciągu paru dni. Na placu przed Bramą przekupień z pamiątkami porozkładał na ziemi swój towar. Rynek pamiątkarski szybko reaguje na zmiany gustów klienteli. Znikły obrazki z jeleniem wyparte przez wizerunek Jana Pawła II i Matki Boskiej Częstochowskiej. Zastanawiam się przez moment, czy to porównanie nie uwłacza Jego Świątobliwości, ale taka jest prawda.

— Pan z PTTK?

— Bynajmniej. Ja tak na własną rękę. Szwagro-

wi pomagam. Szwagier robi pamiątki dla PTTK, a ja mu sprzedaję. Może pan coś kupi? Do każdego obrazka dodaję paczkę sportów, a jak z dzieckiem to cukierki. Dzisiaj, panie, za tym trzeba stać, a u mnie bez kolejki za jedyne sześć złotych, a cukierki za darmo... Wierny hasłu „Pamiątki bierz do serca, a nie do kieszeni" odchodzę.

Wchodzimy w Bramę Krakowską.

— Tędy — mówi Władysław Filipowski — prowadziłem wycieczki przed wojną. Szło się stąd do Sfinksa, do Groty, na Chełmową Górę. Czasami dalej. Do Jaskini Wierzchowskiej, do Doliny Bolechowickiej. To były wyprawy na cały dzień. Zapuszczaliśmy się daleko, a kiedy przyszło wracać, okazywało się, że za skałą stoją drabiniaste wozy. Spytajcie, może podwiozą — doradzałem. Oczywiście, że podwiozą. To już moja głowa w tym była, żeby oni tam stali — mruga porozumiewawczo.

Szlak wiedzie wąwozem Ciasne Skałki. Stromo tutaj, wycieczka rozciąga się w długi korowód. Władysław Filipowski, mimo swoich siedemdziesięciu sześciu lat, forsuje tempo zbyt ostre dla niewprawnych. Czekając na maruderów, mój cicerone znów wraca do wspomnień.

— Przed wojną najwięcej chodziłem z Ludwikiem Sempolińskim. Lubił mnie widać. Prowadziłem też Solskiego. Mam nawet zdjęcie z nim. Było w IKC-u na pierwszej stronie. Tutaj stoi Solski, a ja tak trochę z boku — wyciąga z kieszeni pożółkły wycinek gazety. — A ilu innych ludzi oprowadzałem. Ministrów, ministrowe, nazwisk już nie pamiętam. Wtedy wycieczki zachowywały się godnie. Nikt nie schodził ze szlaku, nikt nie łamał gałęzi, słowa przewodnika były święte.

Ilu ludzi przyjeżdża rocznie w Dolinę, tego nikt nie wie. Systematycznych badań ruchu turystycz-

nego nikt nie prowadzi. Są tylko obserwacje wyrywkowe, które mają jedną, niewątpliwą zaletę: można nimi udokumentować każdą teorię. W dyrekcji Parku nie ma człowieka, który zajmowałby się sprawami turystyki, choć postulowano to od lat. Wiadomo tylko, że przyjeżdża ich coraz mniej. Są kłopoty z noclegami, z wyżywieniem. Zlikwidowano całkowicie małą gastronomię, zajazd na Złotej Górze przekształcił się w drogą restaurację i pijalnię piwa zarazem. Widziałem jak od drzwi odeszła głodna wycieczka. Najtańszy obiad kosztował sto złotych, a oni mieli stawkę czterdzieści złotych.

Osiągamy wreszcie Grotę Łokietka, niewątpliwie najbardziej atrakcyjne dla przybyszów miejsce Doliny. Odwiedza ją dziewięćdziesiąt procent ludzi przyjeżdżających do Ojcowa.

Korytarze Groty Łokietka są okopcone sadzą, bo zwiedza się je ze świeczką. Dla niektórych te czarne wnętrza dodają uroku Grocie. Turysta po wyjściu jest doskonale zorientowany, gdzie Łokietek jadł gdzie spał. Przewodnicy rozwodzą się nad tym szeroko. Tymczasem nie ma historycznych dowodów, że polski władca — wygnaniec, tutaj właśnie się ukrywał.

Wycieczka znika w ciasnym korytarzyku, ja zaś ruszam w dół czarnym, najbardziej uczęszczanym szlakiem. Przemierza go rocznie sto pięćdziesiąt tysięcy osób. To oni tworzą to straszliwe zagęszczenie, stawiając Ojcowski Park Narodowy, ponoć, na pierwszym miejscu na świecie pod względem pogłowia turystów na hektar. Tak, takie przeliczenia też się prowadzi. Według obliczeń z 1975 roku na hektar przypadało tu dwieście czterdzieści głów, a w Yellowstone było tylko pięć i jedna dziesiąta osoby. Wyprzedziliśmy Amerykanów trzynaście razy!

Przeliczenie bardzo efektowne, ale ja, z wiadomych już powodów, mam trochę wątpliwości, czy to znowu nie mit. Wystarczy zejść z czarnego szlaku, a można wędrować cały dzień, nie spotykając żywej duszy.

— Chwała Bogu, panie, że nie łażą — powie mi później dyrektor Melges. — Dla ludzi nie ma świętości. Rezerwat, nie rezerwat, idzie, nie patrzy. Jak wygląda rezerwat ścisły koło Groty Łokietka?

Istotnie, mimo tablic z surowym napisem „Wstęp wzbroniony", teren rezerwatu wygląda jak klepisko. Wycieczki oczekujące na wejście do Groty, skracają sobie tu czas harcami. W innych rezerwatach przechadzają się krowy. Ochrona przyrody kompromisów nie może uznawać.

Ale problem jest dużo poważniejszy. Największym skarbem Doliny jest przyroda. Co o niej wie przybysz, co wie o idei jej ochrony? Najczęściej tyle, co wyczyta w hasłach, a więc, że przyroda jest wspaniała, niepowtarzalna, unikatowa itd. Z takim przekonaniem wyjeżdża. Przewodnicy o przyrodzie mówią niewiele. Przyrodę ojcowską najlepiej można poznać w muzeum ojcowskim. To muzeum jest niewątpliwie największym osiągnięciem Parku za rządów dyrektora Melgesa. Pieczołowity dobór eksponatów, staranna ekspozycja pod względem poznawczym. Pociągnięcie bez pudła, a jednak jakby chybione. W papierach wyłowiłem, że maksymalnie odwiedziło muzeum trzy i pół tysiąca osób, minimalnie zaś dwie w ciągu miesiąca. Muzeum jest więc zarzewiem kolejnej wojny między dyrekcją i PTTK. Przewodnicy bowiem go unikają. Przewodnikami są ojcowianie, a muzeum to przecież Park, to dyrektor Melges, a honorem każdego mieszkańca Doliny jest bojkotować wszystko, co wiąże się z instytucją Parku. Poza tym na zwiedze-

nie muzeum trzeba trochę czasu, a przewodnicy zarabiają „od wycieczki". Trzeba się spieszyć, bo obrót większy. Trzeba się spieszyć, bo przewodnik na zimę musi zarobić latem.

Rada Parku mówi, że jeśli do Ojcowa przyjeżdża się przede wszystkim po to, by zwiedzać park narodowy, to wędrówkę trzeba zaczynać od muzeum. Później powinna następować selekcja na grupy: kogo interesuje flora, kogo geologia, kogo historia, a kogo knajpa. Tak, właśnie knajpa, gdyż, jak twierdzi Janusz Wiltowski, z takiego uszczęśliwiania na siłę, jest zwykle więcej szkody niż pożytku i przyjemności. Do tego potrzebni są odpowiednio wykwalifikowani przewodnicy, których powinien zatrudniać Park. W opinii przewodniczącego Rady Parku PTTK jako kontrahent się nie sprawdza.

Oddział PTTK w Ojcowie jest jakby oddziałem samoobrony mieszkańców. Złośliwi twierdzą, że przy obsadzaniu stanowiska prezesa obowiązuje nomenklatura: prezesem może zostać tylko ktoś, kto nazywa się Bosak, Kopciński lub Zawisz. W PTTK zrzeszeni są wszyscy, którzy robią jakieś interesy na turystyce. Dla nich polityka dyrekcji, zmierzająca do ograniczenia ruchu turystycznego, oznacza zmniejszenie dochodów. Początkowo obie instytucje żyły we względnej zgodzie, a nawet współpracowały. Tak było w przypadku remontu baszty zamkowej, gdzie zamierzano zrobić punkt widokowy, z czego zresztą nic nie wyszło. Ruch w interesie zrobił księgowy Alojzy Czakon. Kiedy przychodził w 1960 roku, roczne obroty wynosiły pięćset tysięcy złotych, kiedy odchodził po czternastu latach, suma ta doszła do czterech milionów. Apetyt rósł, ale dyrekcja zaczęła stopować te zapędy. Odmówiono Towarzystwu „Łokietka" uzdrowiskowego budynku na urządzenie hotelu. Wzajemne stosunki rozjątrzyła spra-

wa „Róży". „Róża" to okazała willa, którą PTTK zamierzało przekształcić w dom noclegowy. Załatwiwszy w dyrekcji „na gębę" sprawę pozwolenia, rozpoczęto remont. Równocześnie złożono oficjalne pismo. Pismo leżało, czas płynął, a kiedy minął rok i w „Różę" wpakowano już siedemset tysięcy, wybuchła awantura. Dyrekcja nagle zmieniła zdanie i obu stronom dostarczyło to zajęcia na siedem lat. Jedni mówią, że z powodu parkingu, inni, że z powodu... gówna. Opinia eksperta głosiła bowiem, że ze względu na ochronę wód Prądnika ścieki powinno przepompowywać się na wierzchowinę i tam, jak to określano eufemistycznie, rozpraszać. Ponieważ dla PTTK koszta rozpraszania fekaliów przekreślały ekonomiczny sens przedsięwzięcia, zaś stanowisko dyrekcji było nieugięte, obie strony zaczęły pobrzękiwać szabelką. Kiedy sprawa doszła do szczebla ministra budownictwa, działacze Towarzystwa odwołali się do Gierka, a teraz przyznają, że był to wygłup. Gierek bowiem całą sprawę scedował na gminę i w tym momencie sprawa została przesądzona. Na nic zdały się argumenty, że to zabytek, że włożono sporo pieniędzy. Wyrok na „Różę" stał się prawomocny, z tym że motywacją nie tyle były względy ochrony środowiska, co kara za nielegalne budownictwo. Po tej klęsce w łonie PTTK zaczął się ferment. Obiektem ataków stał się Alojzy Czakon, któremu zarzucano ślamazarność. Ale Czakon nie dał się zjeść w kaszy i na zebraniu odpalił: „Sam miałem to wszystko zrobić? Wam się nie chce palcem kiwnąć. Jesteście tu tylko od zgarniania pieniędzy, a ja od roboty! Chcecie, to wam przeczytam, ile kto zarabia". Było to ostatnie wystąpienie Czakona. Był z zewnątrz, więc odszedł. A w Ojcowie między Dyrekcją Parku a PTTK trwa osobliwy dialog:

— Park torpeduje działalność turystyczną,

— PTTK patrzy tylko na zyski;
— Park korzysta z działalności PTTK, bo sześćdziesiąt procent naszych zysków przekazujemy dyrekcji;
— Park nic z tego nie ma, bo pieniądze idą do skarbu państwa;
— PTTK powinno konserwować szlaki i urządzenia turystyczne, a nie robi tego:
— Dyrekcja powinna zakończyć sprawę oświetlenia Groty Łokietka. Dziesięć lat to wystarczająco dużo czasu;
— PTTK przygląda się obojętnie niszczeniu Parku przez ludność;
— Jak ludność może niszczyć Park, skoro z niego żyje?

Kto niszczy: ludność, turyści, spaliny? Rozwiązanie tej szarady wydaje się błahe wobec innego zagrożenia. Działa ono cicho, powoli, ale z bezwzględną konsekwencją. Ta cicha groźba to zanieczyszczenia przemysłowe...

Wypisy z wydanej przez „Ossolineum" monografii Józefa Partyki „Ojcowski Park Narodowy":

„Ojcowski Park Narodowy leży w sąsiedztwie wielkich aglomeracji przemysłowych i miejskich, w bezpośrednim zasięgu szkodliwego oddziaływania przemysłu. Od strony południowo-zachodniej w odległości około 20 km znajduje się rejon przemysłowy Olkusz-Bolesław, od strony zachodniej w odległości ok. dwudziestu pięciu km Trzebinia-Siersza, a dalej Jaworzno i GOP, od południowego wschodu natomiast w odległości osiemnastu km leży Kraków i Nowa Huta. Przeważająca ilość wiatrów ze strony zachodniej powoduje napływ pyłów i gazów, głównie SO_2 w stronę Ojcowskiego Parku Narodowego, co pociąga za sobą stały wzrost zanieczyszczenia powietrza. Skutkiem tego dochodzi do porażenia apa-

ratu asymilacyjnego drzew zwłaszcza szpilkowych, a następnie do przerzedzeń i deformacji koron drzew i w konsekwencji do ich zamierania oraz zaniku specyficznych, szczególnie cennych dla nauki drzewostanów ojcowskich (...) Przemysłowe zanieczyszczenie powietrza wywiera również niszczący wpływ na zbiorowiska roślinności nieleśnej i faunę Parku. Dalszy postęp w emisji gazów i pyłów przemysłowych może doprowadzić do całkowitego zaniku jodły i pozostałych gatunków iglastych oraz do poważnej degeneracji zbiorowisk roślinnych Parku...

Zagrożone są też wody Parku. Tradycyjni dostawcy ścieków do Prądnika to mleczarnia i ścieki komunalne ze Skały, lokale gastronomiczne w Pieskowej Skale oraz gospodarstwa chłopskie. Wprawdzie długoletni i wytrwały bój dyrekcji o czystość wód przyniósł pewne skutki — dość dawno nie widziano już śniętych pstrągów w Prądniku, ale potencjalne zagrożenie istnieje nadal.

Czy można skutecznie przeciwstawiać się tym wielkim groźbom? Możliwości niech zilustruje jeden drobny przykład. Jakiś niesforny włościanin, budując sobie nielegalną drogę w Sąspowie, zasypał źródełko. Tu fragmenty sprawozdania z działalności Dyrekcji OPN *„(...) o zakresie z tym związanych prac mogą świadczyć kolejne poniżej podane pozycje toku postępowania:*

— *narada koordynacyjna,*
— *ekspertyza,*
— *wizja lokalna,*
— *narada i wizja lokalna,*
— *uzgodnienie decyzji.*

Dyrekcja Parku ze swej strony uczyniła wszystko co do jej obowiązków należało. Sprawa w załatwieniu trwała 6 miesięcy. Powstałych strat nie można naprawić".

„Bogactwo idei ochrony przyrody polega na tym, że potrąca ona o przeróżne i najczulsze struny duszy ludzkiej, że dotyczy najrozmaitszych stron działalności człowieka"

(Z haseł w OPN)

Miłośników piękna Doliny jest mnóstwo. Są wśród nich wybitni znawcy i zwykli ludzie, dla których przyjazd do Doliny jest niezmiennie przeżyciem. Znana krakowska malarka Danuta Leszczyńska-Kluza, która każdego lata rozstawia sztalugi przed „Maciejówką", powiedziała, że dziwi się swoim kolegom, szukającym gdzieś natchnienia, skoro niewiele jest tak wspaniałych pejzaży, jak tutaj właśnie, w Dolinie, dwadzieścia km od Sukiennic. Kiedyś proponowano utworzenie Klubu Miłośników Ojcowskiego Parku Narodowego. W Warszawie jednak wyperswadowano, że jak zrobić klub, to od razu miłośników wszystkich parków narodowych. Idealiści załamali ręce, zaś sceptycy orzekli, że nic wielkiego się nie stało, gdyż znów spierano by się o zasady. Choć bowiem cel jest jeden, drogi doń prowadzą różne. Inaczej rzecz widzi dyrektor Marcelin Mełges, inaczej Maria Łuczyńska, inaczej Józef Partyka, inaczej Janusz Wiltowski, inaczej profesor Małecki. Zamiast więc deklaracji i memoriałów, których jest dość, trzeba by wreszcie coś zrobić...

Profesor Jerzy Małecki jest paleontologiem i wielkim miłośnikiem Doliny, od lat zasiadającym w Radzie Parku. Wyróżnia go dewiza: „Zróbmy coś!" Profesor zagiął parol na bramy wjazdowe. Te bramy, nazywane czasem drzwiami do lasu, po raz pierwszy pojawiły się w protokołach Rady Parku w 1957 roku. Co jakiś czas postanawiano zgodnie,

że takie bramy trzeba koniecznie postawić, żeby było wiadomo, że wjeżdża się do sanktuarium przyrody, a nie do lunaparku.

Profesora wreszcie zmierziła trwająca 20 lat dyskusja i sam nakreślił projekt bram wjazdowych. Kiedy przedstawił swoje propozycje na forum Rady, rozległy się uwagi: dlaczego takie, a nie inne, dlaczego nie robił tego architekt, tylko geolog?. Ponieważ nikt nie powiedział ani tak, ani nie, profesor na mocy uchwały sprzed lat przystąpił do dzieła. W swoim zakładzie wyszukał zbędne skamieliny i przewiózł do Ojcowa, sam własnoręcznie wycinał szablony liter, zaprzyjaźnieni hutnicy z Huty im. Lenina przysposobili je w metalu, aż wreszcie z grupą żołnierzy i zapaleńców ustawił dwie bramy. W postumencie z amonitów tkwią wysokie żerdzie, wyobrażające palisadę, na nich napis: „Ojcowski Park Narodowy" i sylwetka orła w koronie. Teraz, kiedy bramy już stoją, wyzwoliła się seria komentarzy: dlaczego bramy takie „niestylowe"? Czy był sens stawiania bram, skoro, tak naprawdę, nie ma w Ojcowie parku narodowego? Zróbmy więc najpierw park, a potem stawiajmy bramy, szkoda było pieniędzy. Niektórzy z adwersarzy profesora pocieszają się: „Leją, panie, pod te bramy, za parę lat to zgnije i runie..."

Sprawy Ojcowskiego Parku Narodowego dzielą się na wielkie i małe. Batalia rozgrywa się z reguły wokół spraw wielkich, gdzie, niestety, stopień trudności jest również wielki. Na sprawy mniejsze, po prostu fizycznie, nie starcza czasu. *„Jeśli przyroda ojcowska zginie, bo zniszczy ją przemysł, my zaś, dla nieskutecznego jej ratowania, poświęcimy zabytki — wtedy do klęski dodamy zawinione marnotrawstwo"* — czytam w jednej z licznych tyrad prasowych w obronie Ojcowa. W kwestii zabytków

najwięcej do powiedzenia ma, oczywiście, dr Maria Łuczyńska-Bruzda, pracownik naukowy Politechniki Krakowskiej, pełniąca społecznie funkcję architekta OPN od chwili jego powstania. Postać wielce kontrowersyjna: dla jednych wzorzec bezinteresownej pasji, dla innych osoba o podejrzanych wręcz intencjach. Wysłuchuję wyczerpującego wykładu na temat ochrony krajobrazu w Dolinie. Problem jest poważny. Człowiek gospodarzył tu od tysiącleci. W ojcowskich jaskiniach są najstarsze ślady bytowania ludzkiego w Polsce — to prehistoria. Z czasów historycznych zachowały się grodziska i zamki, wody Prądnika dostarczały energii licznym tu kiedyś młynom, foluszom, były hamernie, prochownie. Resztki tego dziedzictwa trzeba uchronić dla potomnych.

Zabytki to jednak część problemu. Ludzie w Dolinie chcą żyć na miarę XX wieku. Nie przemawia do nich idea ochrony krajobrazu. Dolinę gnębi plaga dzikiego budownictwa.

— Moi studenci w czasie praktyki — opowiada dr Łuczyńska — przeprowadzali inwentaryzację nowego budownictwa w dwóch wsiach leżących na terenie Parku. W każdej z nich powstało po kilkadziesiąt nowych obiektów, z których średnio kilkanaście za zezwoleniem i dokładnie po jednym zgodnie z zatwierdzonym projektem... A przecież to obszar szczególnie chroniony. Do ludzi nie przemawia fakt konieczności zachowania dawnej bryły. Chcą mieć przestrzeń, wygody. Nagminne są przypadki, że po otrzymaniu pozwolenia na remont, stawia się nowy budynek. Zaczynają się korowody, sądy, kolegia. Prawo mówi, że nielegalnie wzniesione budowle stają się własnością dyrekcji. Ale dyrekcja tego nie chce, bo co będzie z nimi robić? Kończy się na grzywnach.

Prób kompleksowego rozwiązania problemu było

wiele. Jedna upadła z powodu reformy administracyjnej, inna z powodu ludzkich słabostek: w Skale wyznaczono działki budowlane dla mieszkańców Doliny, były naczelnik je przefrymarczył i cóż z tego, że dostał trzy i pół roku, skoro sprawa znów się odwlekła. Bardzo trudno w okolicy o wolne działki. Teren jest atrakcyjny, blisko wielkich aglomeracji przemysłowych. Dr Łuczyńska podjęła inicjatywę wyszukiwania wolnych parceli w okolicznych wsiach. Są i owszem. „Gdyby miał kto się tym dalej zająć. W dyrekcji powinien być człowiek, który by się tym zajmował. Ja wszystkiemu nie podołam. Oprócz tego pracuję przecież zawodowo, mam dom, rodzinę".

Powoli wyłaniają się dwie strony medalu: Z jednej ogrom pasji i wkładu pracy społecznej, pokaźny dorobek teoretyczny, z drugiej zaś niekończące się pretensje o wstrzymywanie budów tym, którzy nie mają gdzie się podziać, i liberalizm w kwestii domków ujęty lapidarnie: „Jedni stawiają dacze, a innym nie wolno nawet krokwi w dachu wymienić".

— To pretensje na wyrost — mówi dr Łuczyńska — z domkami letniskowymi nie mam nic wspólnego. To wszystko jest nielegalne. Musi pan wiedzieć, że ja nie mam prawa zabraniać ludziom budować. Ja tylko wydaję opinię z ramienia Dyrekcji Parku. Prawda, że często są one negatywne, ale decyzje podejmuje administracja. Są przypadki, gdy z uwagi na ludzkie sprawy odstępujemy od zasad. Od mojej opinii można się odwołać do naczelnika gminy, do prezydenta miasta Krakowa. Decyzje zapadają tam.

— Mimo to mieszkańcy Doliny bez osłonek wyrażają swoją podejrzliwość wobec pani intencji. Nawet w jednej z publikacji przypisano pani słowa: „Kto ma ciotkę w Ameryce, ten może budować".

— To kłamstwo! Zwyczajne, ordynarne kłamstwo! — rzuca zdecydowanie dr Łuczyńska. — Tylko raz zdarzyło się, że jeden człowiek wsunął mi na przystanku kopertę. Wiedziałam kto, zostawiłam kopertę z jego nazwiskiem w gminie. Sprawa nabrała rozgłosu i od tej pory nie mam takich przypadków. Zresztą nie dorobiłam się na tym. Nie mam willi, nie mam samochodu. Mieszkam w pokoju z kuchnią. A Dolina jest po prostu moim warsztatem pracy. Znakomitym warsztatem. Trzeba uchronić to, co w niej najwartościowsze i nikt nas od takiego obowiązku nie zwolni. Nie może zwolnić!

Z dyrektorem Melgesem pierwszy raz spotkałem się przypadkowo w Oddziale PAN w Krakowie. Ucieszył się bardzo, kiedy powiedziałem mu o swoich zainteresowaniach. „Znakomity temat, ma pan przed sobą wielkie pole do popisu. Jakby się panu udało opracować model funkcjonowania parków narodowych, z pewnością przeszedłby pan do historii, inżynierze". Nie frapuje mnie ta propozycja. Cóż ja, dyletant, mógłbym tu zwojować, skoro sztab potężnych autorytetów i specjalistów niewiele potrafi. Nawet jeśli jakiś błysk natchnienia oświeciłby mnie nadzwyczajnym konceptem, zostałbym zakrakany, że odbieram chleb owym specjalistom. W rewanżu strzelam wprost: „Panie dyrektorze, gdyby czas cofnąć o kilkanaście lat, do momentu pańskiego przyjścia do Ojcowa, czy byłby pan takim samym reżyserem wydarzeń w Dolinie, jakim pan był?"

Trudno w paru słowach zamknąć kawał burzliwego życia. Dyrektor wielokrotnie rozmawiał z dziennikarzami na temat Ojcowa, ale ten wist go zaskoczył. Chwilę szuka w pamięci...

— Odwiedziłem kiedyś profesora Szafera. Było to niedługo przed jego śmiercią. Nikogo, w zasadzie, nie przyjmował, ale gdy usłyszał mój głos w przed-

pokoju, zrobił wyjątek. Powiedział mi wtedy: „Czeka pana trudna droga. Przyroda już zbyt wiele od człowieka wycierpiała, żaden kompromis nie wchodzi już w grę. Czeka pana trudne zadanie, może się panu uda, tylko niech pan pamięta, nie wolno pójść tam, gdzie owies rzucają..." Profesor umarł wkrótce. Zostałem sam z jego ideą, której zresztą byłem entuzjastą. Osoba profesora była dla mnie ogromną podporą. Często przyjeżdżał do Ojcowa. Szkoda, że nie miałem wtedy magnetofonu — ileż słyszałem wspaniałych myśli. Kiedyś profesor powiedział: „Nam wszystkim potrzeba miłości. Miłości do środowiska, do ziemi, do kamieni, do ludzi, rodziny. Kto nie zazna miłości, musi ślepy przejść przez życie". Czyż nie wspaniała sentencja... Zostałem sam z jego ideą, nikt mi nie powiedział, nikt mnie nie uczył, jak ją zrealizować. A to trudna sprawa. Ma się do czynienia z ludźmi, którzy tego wcale nie rozumieją, a niestety, często tacy właśnie podejmują decyzje. Zresztą, kto dzisiaj liczy się z parkami narodowymi, kto traktuje poważnie dyrektora z pensją cztery i pół tysiąca. Jeszcze ze dwa razy do roku straszą mnie, że mnie zdejmą, jak można pracować w takich warunkach?

Mam do czynienia z człowiekiem, który u schyłku zawodowej kariery coraz głębiej wpada w przeświadczenie, że przegrał. Wcale tego nie ukrywa, wręcz przeciwnie, manifestująco wyrzuca z siebie gorycz porażki.

Druga część naszej rozmowy toczy się już w gabinecie dyrektora OPN. Dyrektor Mełges zaczyna od stwierdzenia, że chyba ma prawo mówić, że jego działalność zapobiegła przekształceniu Doliny w lunapark, choć były takie zakusy. Wylicza budowle, do których powstania nie dopuścił. Chcieli budować knajpy, hotele, dacze. Wszyscy chcą budować tutaj.

Każdy ma tysiące powodów. W tym momencie do gabinetu wchodzi dr Łuczyńska.

— Inżynierko — mówi dyrektor — znowu mamy podanie o budowę. Facet całkiem nie związany, ale twierdzi, że ma powody. Niech no pani inżynierka szybko to rozpatrzy, bo nam znów się zrobią zaległości.

Sytuacja mimowolnie potwierdziła słowa dyrektora. Znów wracamy do przerwanego wątku. Opowiada z zapałem, jak to przed kilkoma laty rozprawił się z zakusami na Koziarnię. Koziarnia to niewątpliwie najokazalszy obiekt z czasów budownictwa uzdrowiskowego od lat nie zamieszkany.

— Kilka lat temu zgłosił się do mnie człowiek z propozycją, że wyremontuje tę willę pod warunkiem, że będzie mu wolno mieszkać do końca życia, a potem przekaże ją Parkowi. Nie zgodziłem się. Tam będzie obserwatorium sejsmiczne PAN. Już jest wszystko omówione.

— Ależ, panie dyrektorze — przerywam — byłem tam niedawno. Wydaje mi się, że za późno. Koziarnia lada dzień runie.

Dyrektor milknie i innym tonem odpowiada: niech pan spyta profesora Mazura, tego geofizyka.

Koziarnia mimowolnie narzuca temat rozmowy. Przecież czeka ją los innych budowli, z których, choć zachwycano się ich architekturą, została kupa próchna i kamieni.

— Jest piękna idea — mówi dyrektor — utworzenia skansenu w Pieskowej Skale, tuż koło zamku. Jakby to wspaniale wyglądało — rozmarza się — tu dziedzictwo magnackie, a obok dziedzictwa chłopskie...

— Ale, póki co — wchodzę w słowo — kuźnia Langiewicza zwaliła się, chałupa Filipowskiego

spróchniała, spichlerzyk w Sułoszowej zgnił, Orczykówkę rozszabrowali, a to przecież tylko kilka pozycji z listy.

— Wszystko przez to, że nie ma skansenu — słyszę w odpowiedzi — gdyby był, to taki obiekt przenosi się i spokój, a tak trzeba rozbierać, magazynować, strasznie dużo z tym kłopotu... Zresztą niech pan porozmawia o tym z dr Łuczyńską, albo lepiej z profesorem Szablowskim...

W rozmowę wplata się wątek parkowej codzienności. Brakuje ludzi do pracy. W czasach dyrektora Marcelina Mełdesa przewinęło się przez Ojców tyle osób, że można by z nich skompletować dwie załogi. Odchodzą: jedni z powodu niskich zarobków, inni dlatego, że nie widzą tu możliwości dla realizacji własnych ambicji. Są też tacy, którzy zostają, ale trzymają się jakby na uboczu. Mówi dyrektor z pretensją w głosie: „Weźmy takiego magistra Partykę. Toż to najmądrzejszy człowiek w Parku, a ja niewiele mam z niego wyręki".

Młody naukowiec Józef Partyka przyszedł tu zaraz po studiach w 1970 roku i początkowo z zapałem zabrał się do pracy. Zgromadził pokaźny księgozbiór, całą masę ojcowskich archiwaliów wyszperanych po antykwariatach. Od pewnego jednak czasu zamknął się w swojej pracowni, sporo publikuje. Powoli zaczynam rozumieć, dlaczego tak się dzieje: metoda małych kroków różni się przecież od dreptania w miejscu...

Zapytuję jeszcze o te dzięcioły, które upodobały sobie wiekowe jodły.

— Ja nie chodzę do lasu — słyszę w odpowiedzi — mam od tego gajowych. Niech ich pan spyta. Po tym, co panu powiedziałem, może się wydawać, że ja nic tu nie robię. A ja tu w dzień wycieram klamki

w różnych gabinetach, a nocą w tym gabinecie pracuję. Piszę pisma, programy. Park jest instytucją biedną, z konieczności jedynym moim orężem staje się pismo. Gdyby pana interesowało, czym się zajmuję, proszę.

Biorę kartkę i czytam:

1. *Ochrona żywych zasobów przyrody*
2. *Zintegrowanie działań na rzecz ochrony żywych zasobów przyrody z ekonomiką kraju*
3. *Zintegrowanie ochrony przyrody z rozwojem gospodarczym*
4. *Ochrona w służbie trwałego rozwoju*
5. *Utrzymanie procesów ekologicznych*
6. *Zapewnienie trwałości występowania wszystkich gatunków i ekosystemów, w tym dziko żyjącej fauny wodnej, leśnej, polnej itd.*

Szafy i skrzynie w gabinecie dyrektora Mełgesa wypełnione są pękatymi skoroszytami. Tkwią tam wszystkie pisma, programy, memoriały, apele, polemiki pisane od piętnastu lat. Do ministra i komendanta posterunku, do profesorów i urzędników, do redaktorów naczelnych i prezesów GS-ów.

Za to doktoratów nie dają, kończy dyrektor jakby usprawiedliwiająco. A mogłem też się zająć własną pracą naukową. Mam w końcu dwa fakultety. Jedyna moja satysfakcja to listy i kartki z różnych stron, od ludzi, których już często nie pamiętam, ale oni mnie pamiętają za to, że kiedyś otworzyłem im oczy na ideę ochrony przyrody. Tutejsi mnie nienawidzą, ale za co? Co ja im takiego zrobiłem?...

Siedzę w zacisznym gabinecie Józka Partyki nad opasłą pracą magisterską pt. „Koncepcja zagospodarowania Ojcowskiego Parku Narodowego". Pięć studentek geografii z Uniwersytetu Jagiellońskiego kreśli wizję ideału.

Za oknem przesuwają się zmoknięci ludzie. Znowu autobus nie jechał. Chleba jeszcze nie dowieźli. Trzeba uciekać ze swymi zmoczonymi strapieniami pod dach. I znów marzenia o ideale i marzenia o bochenku chleba. Cisną się słowa kupca Steina z *Lorda Jima*, który poucza jak żyć: *„Iść za marzeniem i znów iść za marzeniem, i tak usque ad finem"*. Czy ten sposób na życie można zaproponować ludziom z Doliny? Nic nowego. Tutaj przecież każdy idzie za swoim marzeniem i sęk tylko w tym, że różnymi drogami.

Ojcowski Park Narodowy — osobliwe doprawdy dziedzictwo. W środku szarogęsi się spółdzielnia produkcyjna i wyrąbuje się najlepsze drzewa, ludzie mieszkają pod parasolami, a obok rosną okazałe domostwa, władze wydają memoriały o potrzebie szczególnej ochrony tego zakątka i obojętnie przyglądają się, jak ścieki zatruwają Prądnik, profesor paleontologii stawia bramy wjazdowe, a ministerstwo zwraca uwagę dyrektorowi, żeby pisał na dwóch stronach kartki, bo nadwyręża limit papieru.

*

Wiosna i lato 1982 były dla Doliny takie same i inne zarazem. Takie same, bo przyroda znów eksplodowała w całej swej okazałości, inne, bo odszedł na emeryturę dyrektor Mełges.

Nowym dyrektorem Parku został inż. Andrzej Szczecarz. A wydarzeniem wiosny stały się wielkie porządki w Dolinie, pierwsze od dziesięciu lat. Znikały sterty śmieci, także i te, które ongi przywieziono, żeby stworzyć odpowiednią scenerię do telewizyjnego reportażu o zaśmiecaniu Ojcowa. Przy wjeździe do Parku pojawiła się budka ze strażnikiem, wygląda więc na to, że skończyła się wojna siedmioletnia o przejazd serpentynami. Nowy dy-

rektor zgodził się na przesunięcie znaku zakazu o kilkadziesiąt metrów, zachował parking w centrum Ojcowa, który miał być zaorany, zaś droga otwarta jest dla mieszkańców Doliny, a zamiast przepustki wystarcza dowód osobisty. Ten mały kompromis wyzwolił z klinczu, w którym obie strony trzymały się przez lata, a srogi zakaz okazał się tylko papierowym straszydłem. Zaczął się remont alejek w parku, w miejscach tradycyjnych odpoczynków wycieczek pojawiły się nowe ławki, wstęga Prądnika nie chowa się już przed zwiedzającymi w chaszczach i pokrzywach. Na zamkowej baszcie cieśle układają nowy dach, a spór między konserwatorami, czy można utrzymywać zabytek w rezerwacie, zszedł na drugi plan.

Mniej metafizyki, więcej życia. Mieszkańcy Doliny przypatrują się poczynaniom inż. Szczocarza z rezerwą, bo pokłady nieufności dzielące ludzi od Parku są zbyt rozległe. Natomiast stracił aktualność ulubiony ich argument, że Dolinie potrzebny jest dobry gospodarz. Stanisław Dulewicz nie doczekał tej wiosny, która miała być osiemdziesiąta trzecia w jego życiu. Odszedł Królewską Drogą na smardzowicki cmentarz w mroźny styczniowy poranek wraz ze swoją wizją blizn w krajobrazie, z poczuciem niezawinionej krzywdy. Sołtys Lucjan Bosak z rozmachem wziął się za remont młyna. Władysław Filipowski znów przemierza szlaki Doliny, PTTK natomiast zasklepiło się w swoich interesach, bo rok jest dla turystyki chudy, a wydatki duże. Wszyscy zaś dalej się martwią, czy wystarczy chleba i mleka w sklepie dla każdego. Tylko kierowcy PKS nie robią już plebiscytów wśród podróżnych, czy ostatni autobus do Skały ma jechać przez Ojców, czy przez Zielonki, po prostu dlatego, że kurs zlikwidowano.

To, co się dzieje w Dolinie po latach stagnacji, przyjmowane jest nieledwie jak rewolucja, ale dyrektor Szczocarz twierdzi, że to tylko kosmetyka, rola parku narodowego leży przecież w czym innym. Na dziś potrzeba przynajmniej dwóch rzeczy, żeby Dolina nie przestała być parkiem narodowym. Te dwie rzeczy to działki budowlane oraz dokończenie feralnej drogi z Bukowa do Sąspowa. Pierwsza z nich pozwoli porządkować zabagnione od lat kwestie budowlane, druga zaś zamknie system obwodnic wokół Doliny, da ciszę godną przybytku natury. W przeciwnym razie, wyznaje dyrektor Szczocarz, możemy przestać się oszukiwać i skończyć z fikcją parku narodowego w Dolinie. To wyznanie brzmi szokująco tym bardziej, że jego autor chwilę wcześniej określił sam siebie jako fanatycznego „ochraniacza". Niewiele to i dużo zarazem, jak na czas kryzysu. Inż. Szczocarz wszakże uważa, że sprawa pieniędzy jest tutaj drugorzędna. Budżet Parku pozostał taki sam, to, co zrobiono do tej pory, było wynikiem przede wszystkim dobrej organizacji. Tylko że dotąd była to sprawa wewnętrzna dyrekcji Parku, teraz trzeba będzie wyjść poza obręb Doliny, znaleźć wspólny język z władzami administracyjnymi. Trudna będzie to rzecz. W urzędach okolicznych gmin sprawy ochrony przyrody w Dolinie spotykają się z obojętnością lub zwykłą niechęcią. To także stary nawyk. Naczelników gmin rozliczano z kontraktacji, budowy dróg, skupu ziemiopłodów i jeszcze wielu innych rzeczy, wśród których sprawy Parku były nie liczącym się dodatkiem. Podobnie rzecz się ma w Urzędzie miasta Krakowa — deklaracje zawsze przytłaczały faktyczną pomoc.

Credo Andrzeja Szczocarza zawiera się w kilku słowach — zapewnić ludziom w Dolinie prawo do normalnego życia, bo jeszcze długo nie będzie pie-

nięcia, żeby odtworzyć im dotychczasowe warunki bytowania w innym miejscu. Tym zaś, którzy do Doliny przyjeżdżają, dać szansę relaksu, niepowtarzalnego odprężenia, jakie daje spacer w ciszy wśród lasów i łąk. Ilu znajdzie zwolenników swojej idei — trudne pytanie w czasach, kiedy marzeniem dnia codziennego staje się koszula i para butów.

Andrzej W. Małachowski

ZNIKNĄĆ W ŚRODKU MIASTA

Mieszkanie na ostatnim piętrze kamienicy przy ulicy Mokotowskiej w Warszawie. W środku mężczyzna około trzydziestoletni i równie młoda kobieta. Pomieszczenie jest niewielkie; mieści się stół, fotel i wersalka. Wchodzi się bezpośrednio ze wspólnego dla kilku innych mieszkań korytarza.

Mężczyzna siedzi twarzą do drzwi i w drzwi te patrzy. Jest napięty i jakby w każdej chwili gotowy do skoku. Znajduje się zresztą w sytuacji ściganego przez myśliwych zwierzęcia; osaczanego i wymykającego się pogoni, ale stale słyszącego granie sfory. To kolejny dzień ucieczki...

Nagle drzwi drgnęły. Otwierają się powoli. W lustrze zawieszonym na ścianie po prawej stronie mężczyzna widzi, kto pojawia się w szparze.

Rzut ciała w prawo. Jedną ręką przygarnia stojącą kobietę. Drugą sięga po leżący na stole pistolet: dwururkę własnej konstrukcji.

Lufa wędruje w kierunku intruza i gdy szczelina, muszka i głowa wchodzącego znajdują się na jednej linii, pada strzał.

Kula z górnej lufy wystrzelona z odległości dwóch, trzech metrów trafia przybysza. Ale nie robi mu krzywdy. Bo człowiek, który stoi w drzwiach, ma na sobie kuloodporną kamizelkę i kask, a twarz zasłania specjalną, trzymaną w ręce, przezroczystą

tarczą. Kula trafia w tę tarczę, deformuje się i rykoszetem idzie w ścianę.

W tym samym momencie, bo wszystko dzieje się w ułamkach sekund, nad ramieniem wchodzącego do pokoju pojawia się lufa pistoletu trzymanego przez drugiego z przybyłych.

Strzał! Nabój wystrzelony z „Ceskiej Zbrojowki" o kalibrze 7,62 trafia z szybkością 430 metrów na sekundę w głowę człowieka w pokoju; wchodzi dwa centymetry nad lewym okiem, przeoruje mózg i wyrywając kości czaszki, wychodzi tyłem głowy.

Siła pocisku przekręca ciało mężczyzny i zwala go na lewy bok. Jednak w momencie gdy kula dosięgała celu, mężczyzna raz jeszcze naciska spust swojego pistoletu. Kolejny strzał, z drugiej lufy dwururki, pada, gdy ciało jego wali się w lewą stronę; wystrzelony pocisk idzie w bok, trafia w deski podłogi i nie robi nikomu krzywdy.

Mężczyzna zwala się na podłogę i nieruchomieje. Jego ręka jak gdyby sięga pod stojącą obok wersalkę. Palce niemal dotykają leżących tam granatów.

Człowiek żyje jeszcze, ale jest nieprzytomny. Umiera w siedem godzin później na łóżku szpitalnym...

Tak zakończył życie Andrzej Klepcarz, jeden ze stu osiemdziesięciu ośmiu uciekinierów z aresztu śledczego w Bydgoszczy...

*

Kiedy w styczniu 1982 r. w Warszawie umierał Klepcarz, na innym łóżku szpitalnym, w Bydgoszczy, w szpitalu na osiedlu Kapuściska mijał kolejny dzień innego bohatera bydgoskich wydarzeń — Jacka Cieślewicza, ciężko rannego podczas próby ucieczki, teraz kaleki do końca życia, sparaliżowanego od pasa w dół.

W tym samym czasie ze stu osiemdziesięciu ośmiu uciekinierów z aresztu bydgoskiego nie ujętych było tylko dwóch. W kilka tygodni później jeden z zatrzymanych wcześniej na granicy polsko-czechosłowackiej, niezwykle groźny przestępca Władysław Klimczyk wykorzystał wypadek drogowy w czasie konwojowania i znowu uciekł, ale tylko na kilka dni. Inni — ci, którzy zostali ujęci lub sami się zgłosili, trafili do aresztów i więzień, by kontynuować odbywanie kary. Wielu z nich, mających na swoim koncie drobniejsze przewinienia, wyszło w krótkim czasie na wolność legalnie, po odbyciu części kary lub dzięki uchyleniu aresztów przez prokuratorów.

Wielka ucieczka

Miejsce akcji: Bydgoszcz, areszt śledczy przy ul. Wały Jagiellońskie.

Czas: wolna sobota — piąty września 1981 roku, godzina piętnasta.

Dobiega końca spacer grupki więźniów. Na niewielkim, ogrodzonym spacerniku kończą swój marsz w kółko między innymi niespełna osiemnastoletni Jacek Cieślewicz i Andrzej Klepcarz. Spacer tego drugiego to każdorazowo w areszcie śledczym w Bydgoszczy pełna mobilizacja strażników i specjalne środki ostrożności.

Klepcarz może chodzić tylko w małej grupie; zwykle są to jego współtowarzysze z celi. I musi mieć na rękach kajdanki. Co prawda, wszyscy wiedzą, że kajdanki to dla niego żadna przeszkoda, potrafi je zdjąć w ciągu kilku sekund, ale te kilka sekund w razie niespodziewanych wydarzeń dałyby strażnikom lekką przewagę.

Klepcarz uchodzi za człowieka niezrównoważone-

go. Jest silny, niezwykle sprawny fizycznie i nie ukrywa, że chce uciec. Kilka dni wcześniej znaleziono u niego w celi... dwa pistolety.

Oglądam je w wiele miesięcy później. Chociaż przeszły przez dziesiątki rąk, a czas i ludzka ciekawość nadwerężyły ich pierwotny kształt, na pierwszy rzut oka trudno poznać, że wykonane zostały z... chleba i poczernione sadzą ze spalonych gazet. Taki pistolet, pokazany niespodziewanie strażnikowi, może w pewnych warunkach otworzyć nawet ciężkie drzwi kryminału.

— Byłem zdecydowany na ucieczkę — powie mi w lutym 1982 roku w bydgoskim szpitalu Jacek Cieślewicz — ale gdy wyszliśmy na spacernik i gdy spacer dobiegał końca, wystraszyłem się. Robiłem krok w kierunku muru i cofałem się. Tym bardziej że wcześniej uzgodniliśmy z Klepcarzem, iż będziemy uciekać razem. Jednak w pewnym momencie dał mi znać, że nie może zdjąć kajdanek i kiwnął mi, żebym wiał sam. Zdecydowałem się...

Tego dnia Polska Agencja Prasowa nadała następującą wiadomość: *„5 września w Bydgoszczy podczas próby ucieczki z aresztu śledczego został postrzelony przez funkcjonariusza służby więziennej niespełna osiemnastoletni Jacek Cieślewicz, tymczasowo aresztowany pod zarzutem udziału w zbiorowym włamaniu do kościoła i kradzieży przedmiotów liturgicznych. Mimo wezwania i strzałów ostrzegawczych, uciekający nie zatrzymał się.*

W wyniku odniesionych ran, w stanie poważnym przewieziony został do szpitala. Jego życiu nie zagraża bezpośrednie niebezpieczeństwo, natomiast następstwa odniesionych ran określane są przez lekarzy jako ciężkie.

Wydarzenia na terenie aresztu śledczego wywołały żywiołowy protest więźniów — tumult słyszany

na zewnątrz budynku, wywieszenie flag i transparentów. Spowodowało to zgromadzenie się przed obiektem kilkusetosobowego tłumu zachowującego się agresywnie (...) Więźniowie opuścili cele, zabarykadowali się przed służbą więzienną, zdemolowali pomieszczenia, część z nich podjęła próbę ucieczki. Wśród aresztantów, którym udało się zbiec, co najmniej dziesięć osób stanowią niebezpieczni przestępcy (...)

Podjęte niezwłocznie przez władze miasta i województwa oraz przedstawicieli Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność" pertraktacje doprowadziły po kilkunastu godzinach do uspokojenia i rozejścia się tłumu.

Po rozładowaniu napięcia na zewnątrz gmachu, rozpoczęły się rozmowy specjalnej komisji Ministerstwa Sprawiedliwości pod przewodnictwem dyrektora departamentu spraw karnych — Józefa Makosa z komitetem protestacyjnym aresztu śledczego w obecności przedstawicieli „Solidarności" (...)".

Bunt więźniów

Bunt w areszcie bydgoskim nastąpił niemal bezpośrednio po ostatniej serii strzałów oddanych za uciekającym Cieślewiczem. Więźniowie dosyć szybko opanowali prawie cały areszt, a około godziny dziewiętnastej rozpoczęła się pierwsza ucieczka, czy raczej pierwszy etap masowej ucieczki. Późnym wieczorem wiedziano już, że na wolności jest znacznie ponad setka osadzonych. I był to problem, z którym w dotychczasowej praktyce nie spotkały się jeszcze organa ścigania.

Jak uczy doświadczenie, zbiegły więzień, kluczący i unikający zatrzymania, jest szczególnie podatny na

dalszą degradację społeczną. Według dr hab. Karola Sławika — długoletniego zastępcy dyrektora Biura Kryminalnego KG MO „Aktualne uwarunkowania przestępczości" — wrześniowo-grudniowy numer „Problemów kryminalistyki" z 1980 roku „*...w ciągu ostatnich pięciu lat* (1975—1980 przyp. A.W.M.) *zbiegło z zakładów karnych i aresztów — 4568 osób, z ośrodków przystosowania społecznego — 1896, z zakładów poprawczych i schronisk dla nieletnich — 6758 osób. Łącznie zbiegły 13 222 osoby. (...) poza drobnymi przestępstwami osoby te dopuściły się 5 zabójstw, 45 wyjątkowo zuchwałych i poważnych rozbojów, 472 włamań do obiektów gospodarki uspołecznionej i na szkodę osób prywatnych. Nieletni uciekinierzy dokonali 4447 przestępstw, co stanowi 79 proc. ogółu przestępstw popełnionych przez zbiegłych z miejsc prawnej izolacji (...). W 25 przypadkach uciekinierzy podjęli próbę przekroczenia granicy polskiej*".

W pewnej sprzeczności z tymi danymi pozostaje informacja Centralnego Zarządu Zakładów Karnych zamieszczona w 38 numerze „Prawa i Życia" z 1981 roku, z której wynika, że liczba udanych ucieczek z zakładów karnych i aresztów śledczych nie przekracza dwudziestu rocznie (z danych dr hab. Karola Sławika wynikałoby, że ucieczek tylko z aresztów i zakładów karnych było średnio 913). Rozbieżność taka jest niezrozumiała, ale mniejsza z tym.

Pozostaje faktem, że jednorazowa ucieczka w takich rozmiarach, jaka zdarzyła się piątego września 1981 roku w Bydgoszczy, nie miała precedensu w przeszłości. Z samej zaś ucieczki wynikać zaczęło znaczne zagrożenie dla spokoju społecznego. Uciekinierzy z aresztu bydgoskiego dopuścili się w czasie chwilowego przebywania na wolności kilku zgwałceń, napadów rozbójniczych, kradzieży i często tego

rodzaju przestępcze działania o włos tylko nie kończyły się śmiercią ofiary.

Pamiętać też trzeba o sytuacji — jak to się ładnie określa — społeczno-politycznej, która istniała w tamtym czasie w całym kraju, a w Bydgoszczy była szczególnie napięta.

Wszystko to razem spowodowało, że zdarzenia w areszcie bydgoskim oraz ucieczka więźniów, nabrały znaczenia szczególnego i oceniając poczynania ludzi, pamiętać należy o tej ekstraordynarnej sytuacji, która poczynania takie determinowała.

Kto został w areszcie, a kto nie?

— Z chwilą gdy nastąpiła ucieczka — mówi ppłk Alfred Śniechowski, naczelnik Wydziału Kryminalnego KW MO w Bydgoszczy — ogłoszony został alarm. Jednocześnie nawiązaliśmy kontakt z Komendą Główną, ale te pierwsze godziny to było działanie po omacku. Po prostu nie wiedzieli, kto uciekł, kogo szukać, kogo zatrzymywać. Nastąpiła, oczywiście, blokada dworców, dróg wylotowych, w miasto wyszły wzmocnione patrole. To dało pewne efekty, ale też wielu uciekinierów przeszło przez te oka sieci i pojechało w Polskę.

— Jednak w tym pierwszym okresie wielu uciekinierów trafiło z powrotem do aresztu.

— Tak. Wynikało to z kilku powodów. Rzecz pierwsza to fakt, że wielu uciekinierów wróciło samych. Byli i tacy, którzy bezpośrednio po wydostaniu się z aresztu zgłaszali się np. do radiowozu. Później mówili, że do ucieczki zmuszeni zostali przez współwięźniów. Po drugie, kilku wpadło w ręce naszych wywiadowców, ponieważ byli to nasi stali klienci i po prostu funkcjonariusze dobrze ich znali. Po

trzecie wreszcie, zarówno w tych pierwszych godzinach, a szczególnie w kilka dni później, wielu uciekinierów doprowadzonych zostało przez rodziny.

— Wynika z tego, że sprawą, w tych pierwszych godzinach najważniejszą, było sporządzenie spisu uciekinierów.

— Tak, oczywiście. Ale proszę pamiętać o tym, że w areszcie cały czas trwał bunt, władze więzienne — poza naczelnikiem aresztu ppłk. Jasieckim — nie miały wstępu na teren aresztu, wiele akt zostało zniszczonych. Ustalenie więc liczby uciekinierów oraz sprawdzenie, kto jest w areszcie, a kto poza nim, było praktycznie niemożliwe.

Poza tym sytuacja, jaka wtedy panowała w Bydgoszczy, nie sprzyjała jakiejkolwiek akcji milicyjnej, a akcji pościgu za więźniami szczególnie. Łączyło się to przecież z legitymowaniem, zatrzymywaniem, co natychmiast wywoływało zbiegowisko nieprzychylnie nastawionego tłumu. Przykro o tym mówić, ale uciekający więźniowie korzystali z pomocy ludzi postronnych, bynajmniej nie swoich kamratów z marginesu. Taka jakaś psychoza zapanowała w mieście, że w dobrym tonie było przeciwstawianie się władzy w ogóle, a milicji szczególnie. Powiem panu, że tłum stojący pod aresztem zachowywał się agresywnie nawet w stosunku do porządkowych z „Solidarności". Więcej, gdy przybył biskup Michalski, też posypały się pod jego adresem epitety i mniej czy bardziej wulgarne docinki.

Nieco później ci sami ludzie, którzy w pierwszym odruchu pomagali uciekającym, zmienili diametralnie zdanie, gdy zdali sobie sprawę, że ponad stu szwendających się po mieście i okolicy przestępców stanowi realne i poważne zagrożenie. Mówię to bez żadnej satysfakcji. Próbuję przekazać nastrój, jaki wtedy panował. W miarę upływu godzin i dni sy-

tuacja coraz bardziej się poprawiała. Zaczęliśmy otrzymywać bardzo wiele sygnałów od obywateli i dzięki temu mogliśmy wyłapywać coraz większą liczbę uciekinierów. Poza tym otrzymaliśmy pierwsze listy zbiegów. Później były one uzupełniane kolejnymi nazwiskami, ale też nazwisk, w miarę wyłapywania zbiegłych, ubywało.

Kilka dni wcześniej przed zacytowaną wyżej rozmową, na ten sam temat mówił mi płk Zbigniew Kozłowski — zastępca dyrektora Biura Kryminalnego KG MO.

— Dla nas — mówił płk Kozłowski — akcja zaczęła się w momencie ucieczki więźniów. A działania, które podjęliśmy, można podzielić w tej wstępnej fazie na kilka etapów. Przede wszystkim musieliśmy ustalić, kto uciekł; nazwiska, rysopisy itd. Ustalanie tego przez służbę więzienną trwało kilka dni. Jednocześnie, w przypadku tych osób, o których wiedzieliśmy już na pewno, że uciekły, ustalaliśmy ich miejsce zamieszkania, kontakty towarzyskie i rodzinne i tam docierali nasi funkcjonariusze. To wszystko działo się w pierwszych godzinach ucieczki. W kilka dni później, gdy część więźniów sama wróciła, część doprowadzona została przez rodziny, wykrystalizowała się nam grupa ponad stu osób, o których wiadomo było, że dobrowolnie nie wrócą.

Pyta pan, jacy to byli ludzie? Czy bardzo groźni przestępcy? Większość to raczej drobni złodzieje, włamywacze, wielu małoletnich. Ale w tej grupie mieliśmy i kilku bardzo groźnych. By wymienić Klepcarza, o którym wiadomo było, że jest zdeterminowany, że posiada broń, że broni tej używa; Klimczyka — skazanego za usiłowanie zabójstwa i rozboje z bronią w ręku; Trzcińskiego — zabójcę rodziców. Poza tym kilkunastu innych, recydywi-

stów skazanych za rozboje, napady itp. A więc, jak pan widzi, mieliśmy i takich, którzy już kiedyś kogoś zabili lub usiłowali zabić i o których wiadomo było, że w momencie jakiegoś zagrożenia lub nieprzychylnej reakcji mogą zabić, i takich, których nazywamy, co prawda, drobnymi przestępcami, ale którzy w sytuacji dużego zagrożenia — powoduje ją już sam fakt ucieczki i pościgu — mogą się stać bardzo niebezpieczni. Zresztą praktyka kryminalistyczna wskazuje, że każdy więzień po ucieczce z miejsca odosobnienia staje się niezwykle groźny dla otoczenia. Wynika to z jego sytuacji psychicznej, ze stresów, ze strachu...

Czy ucieczka zdarzyła się przypadkiem?

Wybiegliśmy w naszej relacji trochę do przodu. Cofnijmy się więc do momentu, od którego się to wszystko zaczęło.

Tylko pytanie, kiedy się to zaczęło? Czy piątego września 1981 roku, a więc wtedy, kiedy Jacek Cieślewicz skoczył na mur, czy znacznie wcześniej?

Naczelnik aresztu ppłk Bogdan Jasiecki mówił mi w lutym 1982 roku, a więc w kilka miesięcy po wydarzeniach, że pierwsze nieporozumienia w areszcie zaczęły się na początku maja 1981 roku. Nie jest wykluczone, że powstały one na fali serii buntów w więzieniach, bo chociaż kryminał jest miejscem odgrodzonym od świata zewnętrznego, to jednak przepływ informacji istnieje i jest nawet dosyć szybki. Poza tym więźniowie z Bydgoszczy mieli wiele powodów do niezadowolenia. Panowały tu, nawet jak na więzienne, bardzo złe warunki bytowe. Niektórzy mówią, że dzięki buntowi i pełnemu zdemolowaniu aresztu, przeprowadzono tu długo

oczekiwany remont, o który bezskutecznie prosiło wcześniej kierownictwo tej placówki.

Nie wdając się w głębokie dywagacje, można przyjąć, że psychiczna baza do buntu istniała. Nie daje to jednak odpowiedzi, czy ucieczka, która zdarzyła się piątego września, była przygotowywana wcześniej, czy też powstała spontanicznie.

Ppłk Jasiecki twierdzi, że ucieczka nie była wcześniej przygotowywana. Opiera swoje twierdzenie m. in. na przeprowadzonych już po całym zdarzeniu rozmowach z przywódcami buntu.

Również Jacek Cieślewicz, kiedy rozmawiałem z nim w bydgoskim szpitalu w pierwszych miesiącach 1982 roku, nie mówił nic o przygotowaniach na większą skalę.

— Chciałem uciec — mówił mi Cieślewicz — bo miałem dosyć. Nie wytrzymywałem już. W jednakowym stopniu dawali mi „popalić" i strażnicy, i współwięźniowie. Trochę spokoju było, kiedy przeniesiono mnie do celi, w której siedział również Klepcarz. Wie pan, on był kulturystą, więc trochę razem ćwiczyliśmy, nieraz poczęstował papierosem.

O ucieczce mówiliśmy wiele razy, zresztą wcześniej próbowałem uciec ze szpitala więziennego, do którego trafiłem po próbie samospalenia się. Pewnego dnia w sienniku w celi znalazłem brzeszczot do metalu i pilnik.

— Brzeszczot, czyli piłkę do metalu, i pilnik? W sienniku?...

— Tak, w sienniku, ale nie wiem, jak one się tam znalazły. Ktoś musiał wcześniej je ukryć, potem być może przeniesiono faceta do innej celi i tak zostały. W każdym razie znalazłem je. Próbowaliśmy przeciąć kraty, ale to się nie udało...

— I wtedy powstał pomysł ucieczki ze spacernika?

— Tak. Z naszego okna widać było spacerniak i spory fragment drogi, którą należało przebyć, żeby uciec. Oczywiście, wiadomo było, że ta droga znajduje się w polu widzenia strażnika siedzącego „na kogucie", ale byliśmy przekonani, że nie będzie on strzelał. Uzgodniliśmy, że w momencie, kiedy zacznę uciekać, Klepcarz też skoczy. Mówił mi, że w ten sposób odwróci uwagę strażników ode mnie.

— Jednak Klepcarz ucieczki nie podjął?

— Dał mi znak, że nie może zdjąć kajdanek. To było pod koniec spaceru. Wtedy Szyjka — to przezwisko strażnika — z mojego doświadczenia człowiek wyjątkowo brutalny, rzucił we mnie kamieniem.

— Dlaczego?

— Jego niech pan zapyta. Po prostu rzucił. Dostałem dosyć mocno w głowę i to był ten moment, który zadecydował. Pobiegłem w kierunku siatki, przeszedłem przez nią i wdrapałem się na mur. Wtedy Szyjka jeszcze raz rzucił kamieniem, ale nie pamiętam już, czy mnie trafił. W pewnym momencie usłyszałem serię strzałów. Po murze biegłem w kierunku wartownika. Po pierwsze dlatego, że wskutek pochyłości terenu mur stawał się coraz niższy, dwa, że biegło za mną dwóch chyba strażników i ten z „koguta" nie mógł do mnie strzelać, bo trafiłby w tych biegnących za mną. Później skoczyłem z muru i gdy opadłem na ręce i nogi, poczułem silne uderzenie w plecy i rękę. Na krótki czas straciłem przytomność.

Tę opowieść Jacka Cieślewicza przerwijmy na chwilę. Mamy bowiem do wyjaśnienia postawioną kwestię: czy ucieczka była przygotowywana wcześniej.

Z oświadczenia ppłk. Jasieckiego i opowieści Cie-

ślewicza wynikałoby, że masowa ucieczka z aresztu była wynikiem spontanicznej reakcji więźniów.

W sprzeczności z takim wnioskiem stają jednak zeznania złożone przez różne osoby przed prokuratorem.

Na przykład, zeznanie Marka H. przebywającego w areszcie od dwudziestego szóstego maja 1981 roku:

„(...) Klepcarz, którego zwykle spotykałem w łaźni, mówił mi, że niedługo będą wszyscy na wolności. Nie podawał jednak nic bliższego. Jak się dowiedziałem od aresztowanych, ucieczka taka była planowana na 1 września 1981 roku. Wówczas jeden z osadzonych zaczął uciekać ze spacernika, ale został zatrzymany (...).

Ryszard K. — funkcjonariusz służby więziennej z Bydgoszczy: *„(...) sądzę, że była to ucieczka zaplanowana. Uważam tak, ponieważ prowadziłem spacery i sam Klepcarz w czasie jednego z nich powiedział do mnie »panie, lepiej żebyś się pan zwolnił«".*

Jan W. — kierownik działu ochrony aresztu w Bydgoszczy: *„(...) były pewne sygnały wskazujące na to, że organizowana jest jakaś akcja na terenie aresztu śledczego, a może całej Polski. 25 sierpnia pod bramę naszego aresztu przybył były osadzony* (niejaki S. — przyp. A.W.M.) *i żądał widzenia się z osadzonymi. Po odmowie zaczął odgrażać się, że »niedługo już wszyscy funkcjonariusze zawisną na szubienicach«".*

Z owym S. rozmawiał również Bronisław K. — funkcjonariusz aresztu śledczego, który zeznając na tę okoliczność powiedział m. in.: *„(...) dwa tygodnie przed ucieczką rozmawiałem z byłym osadzonym S., obecnie przebywającym na wolności, który oświadczył* »wy, skurwysyny, powywieszamy was 1 września jak szczury«. *Wiem także, że za pomocą*

rąk komunikował się z osadzonymi, a od bramowego N. słyszałem, że prawdopodobnie 1 września wszyscy osadzeni zostaną uwolnieni".

Wśród tych różnych zeznań zalazłem również informację, z której wynika, że jeden z osadzonych przekazał swojej matce informację, że będzie w domu piątego września 1981 roku o godzinie dwudziestej. I rzeczywiście o tej godzinie był w domu.

Jednakże podane wyżej fragmenty zeznań nie mogą być dowodem na to, że ucieczka była zaplanowana. Cytowany już np. Jan W. — kierownik działu ochrony, w tym samym zeznaniu, kilka wierszy dalej twierdzi, że *„(...) wcześniej miał miejsce przypadek próby ucieczki przez skazanego N., kiedy również była używana broń w celu przestraszenia i zatrzymania. Po oddaniu serii strzałów w górę i wezwaniu do zatrzymania N. zaniechał ucieczki, a inni osadzeni w ogóle nie zareagowali, mimo że widzieli dokładnie cały przypadek. Na tej podstawie przypuszczam, że bunt nie był zorganizowany i miał charakter żywiołowy. Również takie wrażenie odnoszę co do ucieczki z 5 września 1981 roku".*

W sprawie zarówno ucieczki więźniów, jak i działalności administracji zakładu karnego śledztwo prowadzi prokuratura rejonowa w Bydgoszczy. Nie jest więc wykluczone, że wszelkie niejasności zostaną ostatecznie wyjaśnione.

Nie wyprzedzając tych ustaleń, a jedynie opierając się na rozmowach ze służbą więzienną, milicją, przedstawicielami prokuratury i wreszcie z samym Cieślewiczem, odnoszę wrażenie, że bunt w areszcie powstał spontanicznie. Nie wykluczone jednak, że Cieślewicz był w mniejszym czy większym stopniu nakłaniany do podjęcia próby ucieczki, by swoim działaniem wywołać zamieszanie. Z tego zamieszania chciał prawdopodobnie skorzystać przede wszys-

tzw. Klepcarz, o którym wiedziano wcześniej, że pragnie zniknąć z bydgoskiego kryminału.

Wróćmy jednak do zdarzeń, które rozegrały się piątego września około godziny piętnastej. Jest to już moment, gdy Cieślewicz wdrapał się na mur i biegł w kierunku strażnika siedzącego „na kogucie".

Fragment zeznania Mariana L. — funkcjonariusza, który oddał strzały do Cieślewicza: „*(...) około godziny 15 podczas ucieczki osadzonego, po uprzednim wezwaniu do zatrzymania się, a następnie po oddaniu serii strzałów ostrzegawczych, osadzony biegł dalej w kierunku muru zachodniego, który znajduje się przy ogrodzie sądu wojewódzkiego. Trzykrotnie wzywałem uciekającego do zatrzymania się, jak również oddałem trzykrotnie serię w górę. Kiedy osadzony znajdował się na murze i zeskoczył z niego na jego zewnętrzną stronę, a następnie poderwał się, wymierzyłem w nogi i dałem krótką serię. Raniłem go w biodro*".

Marian L. nie ranił Cieślewicza w biodro. Pierwszy pocisk trafił w kręgosłup na wysokości pasa, drugi wszedł nieco z boku kręgosłupa, wyszedł z przodu poniżej obojczyka i trafił dodatkowo w rękę. Ten pierwszy spowodował to, że Cieślewicz do końca życia nie odzyska władzy od pasa w dół... Mając osiemnaście lat został kaleką.

Ucieczka Cieślewicza i moment postrzelenia widziany był przez niektórych więźniów.

Marek H. zeznał: „*(...) około 15 odbywał się spacer na powietrzu, na podwórzu przyległym do budynku aresztu, tzw. czerwoniaku. Ponieważ okna celi wychodziły na podwórze widziałem, że na spacerze byli m. in. Andrzej Klepcarz i Jacek Cieślewicz. Z początku, gdy odbywał się spacer, patrzyłem przez okno na spacernik, później jednak odsze-*

dłem od okna. Po około 15 minutach usłyszeliśmy serię strzałów z broni maszynowej. Podeszliśmy do okna. Zobaczyłem, jak Cieślewicz szedł i krzyczał, by wartownik strzelał, szedł w kierunku muru ograniczającego teren zakładu karnego. Rozległy się ponowne strzały. Cieślewicz nie zatrzymał się, szedł dalej. Dalszej drogi jego ucieczki nie widziałem, gdyż był już poza polem widzenia z okna. Gdy rozpoczęła się druga seria strzałów, w całym zakładzie karnym wybuchła panika, krzyczano do strażnika siedzącego na strażnicy, czy on ma dzieci, jak może strzelać do Polaka oraz używano pod jego adresem słów wulgarnych. Krzyczano, że zastrzelił Cieślewicza (...)".

Oczywiście, Marek H. nie widział, co stało się z Cieślewiczem, widzieli to jednak inni więźniowie.

Jeden z moich bydgoskich rozmówców, prosząc jednocześnie o anonimowość, wyraził następującą opinię.

— Jestem głęboko przekonany — powiedział — że do buntu by nie doszło, gdyby Cieślewicz... uciekł. Oczywiście strażnik siedzący „na kogucie" był w bardzo głupiej sytuacji. Gdyby nie zareagował tak, jak zareagował, byłby ukarany. No, ale mógł nie trafić. Odnoszę zresztą wrażenie, że trafił zupełnie przypadkowo, strzelał do Cieślewicza wtedy, gdy ten skakał z muru, a rozrzut z tej broni jest znaczny. Nie jest więc wykluczone, że ten postrzał zdarzył się nie tyle z precyzyjnego celowania, co raczej ze wspomnianej wyżej właściwości pistoletu maszynowego. Sprawa dla służby więziennej skomplikowała się jeszcze dlatego, że w tym czasie, gdy Cieślewicz został raniony, pojawiła się karetka pogotowia. Przyjechała ona do szpitala więziennego a zbieg w czasie był zupełnie przypadkowy. Jednakże wysuwano później zarzut, że pojawienie się ka-

retki było celowo zgrane z wydarzeniami, a dalej twierdzono, że ucieczka Cieślewicza została przez władze więzienne zaaranżowana.

Gdy Cieślewiczowi udzielano pierwszej pomocy, gdy wieziono go na skomplikowaną operację do szpitala, w więzieniu zaczął się bunt. Oddajmy głos znowu Markowi H., który widział te zdarzenia od środka:

„(...) wrzawa i panika stawała się coraz głośniejsza, zaczęto wybijać blindy w oknach (dodajmy tutaj, że ze względu na trudne warunki bytowe, ciasnotę itd. większość blind została zdjęta znacznie wcześniej, z polecenia ppłk. Jasieckiego — przyp. A.W.M.), *widziałem, jak przez okna wyrzucano z cel różne przedmioty: słoiki, miski, talerze i całe okna. Cała ta wrzawa trwała mniej więcej godzinę. Około siedemnastej usłyszałem na naszym korytarzu silne uderzenie do drzwi cel. Wydaje mi się, że pochodziły one z celi 84, gdzie przebywał Andrzej Klepcarz. Później słyszałem podobne odgłosy z innych cel, a następnie słychać było odgłosy kroków aresztowanych na korytarzu".*

Celę, w której siedział Marek H., otwarto od zewnątrz. Po prostu uwolnieni wcześniej więźniowie rozbili drzwi.

„Na korytarzu — zeznał dalej Marek H. — *panował ogólny bałagan, porozbijane były już wszystkie drzwi do cel, rozbita była dyżurka oddziałowego, otwarta krata, oddzielająca korytarz od schodów. Na korytarzu widziałem prawie wszystkich aresztowanych. (...) Będąc na korytarzu, widziałem jak z innych oddziałów przychodzili więźniowie. Któryś ze starszych powiedział mi, że w ścianie szczytowej od strony sądu jest wybite okno i wyważona krata. (...) Z I piętra przechodziło się przez łaźnię do budynku administracyjnego. Krata była wyrwa-*

na w magazynie, gdzie znajdowała się odzież. Przez to okno na wysokości I piętra po związanych prześcieradłach zeskakiwaliśmy na dziedziniec przyległy do sądu. Dalej wchodziło się po cegłach na garaż i z garażu skakaliśmy na teren ogrodu przyległego do sądu. Z terenu ogrodu wyszedłem na ul. Wały Jagiellońskie, skąd udałem się na dworzec PKP i około godziny 22 — nie posiadając żadnych dokumentów i biletu pojechałem do Gdańska".

Uzupełnijmy tę opowieść tym, że w Gdańsku Marek H. pracował w porcie przy wyładunku węgla. Czternastego grudnia 1981 roku około godziny trzynastej zgłosił się dobrowolnie do Prokuratury Rejonowej w Bydgoszczy.

Bunt w areszcie w Bydgoszczy trwał do poniedziałku, siódmego września 1981 roku do godziny dziewiętnastej. Nie będę tu opisywał poszczególnych faz wydarzeń w areszcie i wokół niego, negocjacji itd., ponieważ zostało to bardzo dokładnie przedstawione w tamtym okresie. Dziennikarze byli wtedy dociekliwi, więc nic tu nie można już dodać.

Gdyby więc kogoś te wydarzenia szczególnie interesowały, radzę zajrzeć do zszywek dzienników i tygodników z września 1981 roku.

Pościg

Uciekinierów z aresztu bydgoskiego można podzielić na trzy grupy. Tych, którzy bardzo chcieli uciec, tych, którzy po prostu skorzystali z okazji, i tych, którym ucieczka się zwyczajnie nie kalkulowała. Pierwsza grupa starała się jak najszybciej zniknąć, zmienić wygląd zewnętrzny, skorzystać z początkowego zamieszania i ukryć się przed pościgiem jak najlepiej. Druga — nie bardzo wiedzia-

ła co z sobą zrobić. Niektórzy poszli po prostu do domu, przebrali się i dopiero później ukryli. Część z nich zgłosiła się do regionu „Solidarności" — na przykład jeden z nich, niejaki Tadeusz P., pseudonim „Krzyżak" — jak sam później powiedział — był w regionie, a nawet udzielał wywiadu zagranicznym dziennikarzom. Inna część tej grupy pojechała do Gdańska. Jak później niektórzy z nich mówili, chcieli dotrzeć do Wałęsy lub Rulewskiego (przypomnijmy, odbywał się wtedy zjazd „Solidarności"), a dotrzeć do nich chcieli, by zapytać się, co robić dalej.

Takiej treści zeznania złożyli, na przykład, dwaj uciekinierzy Jerzy M. i Krzysztof S. zatrzymani siódmego września 1981 roku przed kinem „Polonia" w Gdańsku. Zeznali oni, że do Gdańska przyjechało kilka grupek dwu-, trzyosobowych z zamiarem dotarcia do szefów „Solidarności".

Wydaje się jednak, że żadnej z tych grupek nie udało się dotrzeć ani do Wałęsy, ani do Rulewskiego. Ci uciekinierzy, którzy kręcili się zbyt blisko zjazdu, wpadli niemal natychmiast. Milicja roztoczyła dosyć dokładną ochronę wokół obiektu „Oliwii", m. in. z obawy przed zamachem na Rulewskiego. Podejrzewano bowiem, że plan taki ma Andrzej Klepcarz.

Z akt operacyjnych Wydziału Kryminalnego KW MO w Bydgoszczy wynika, że istniały uzasadnione domniemania (później się one potwierdziły), że Klepcarz ma gdzieś ukrytą broń palną. Z informacji napływających do wydziału wyczytać można, że Klepcarz planował zabójstwo żony, funkcjonariusza MO, który uczestniczył w jego zatrzymaniu, oraz „rozliczenie" się ze wspólnikiem winnym mu około sześćdziesięciu tysięcy złotych.

Siódmego września 1981 roku zgłosiła się do mi-

licji Jadwiga N. i zeznała m. in., że tego dnia „(...) *o godzinie 13.30 na skwerze przy ul. Sułkowskiego i Czerkaskiej zostałam zaczepiona przez nieznanego osobnika. Zaczął on grzecznie ze mną rozmawiać i mówił, że mnie zna, bo wiózł mnie w 1977 roku taksówką. Podał nawet, jak wtedy byłam ubrana. Nieznajomy powiedział, że jest zbiegłym więźniem, a odbywał karę za usiłowanie zabójstwa i opisał dokładnie swoje przestępstwa. Rozmawiałam z nim dosyć długo, bo się po prostu bałam, nie chciałam go zdenerwować i wywołać jakiejś gwałtownej reakcji. Osobnik powiedział, że czuje potrzebę zwierzenia się komuś, a następnie powiedział, że wywoła taką awanturę, że będzie głośno w całym kraju. Spytałam, co zrobi. Odpowiedział, że zabije Rulewskiego*".

Jadwiga N. rozpoznała na zdjęciu owego osobnika jako Andrzeja Klepcarza.

W całym opowiadaniu Jadwigi N. jest wiele rzeczy niespójnych, mało logicznych, ale też nie można było bagatelizować zawartej w nim informacji...

Wróćmy jednak do naszej klasyfikacji uciekinierów. Grupa trzecia to ci, którym ucieczka nie kalkulowała się lub którzy już po znalezieniu się na wolności doszli do wniosku, że ukrywanie się nie opłaca. Zresztą w wielu przypadkach decyzję o powrocie do aresztu podjęli za nich najbliżsi.

W sumie, dobrowolnie zgłosiło się sześćdziesięciu uciekinierów. Niektórzy zrobili to natychmiast po wyjściu z aresztu, inni w kilka dni później, a jeszcze inni — tak jak cytowany już tutaj Marek H. — po kilku tygodniach lub miesiącach.

W aktach Wydziału Kryminalnego KW MO w Bydgoszczy są krótkie notatki:

„*6 września uciekinier Tadeusz G. z Inowrocławia przybył do swego miejsca zamieszkania i tego sa-*

mego dnia został przez siostrę i szwagra przekazany do miejscowego aresztu śledczego".

„7 września uciekinier Andrzej K. zaprowadzony został przez swojego brata do zakładu karnego w Inowrocławiu".

„8 września do Komendy Miejskiej MO w Grudziądzu zgłosili się dwaj uciekinierzy — Mirosław A. i Piotr F.".

Do rodzin wszystkich uciekinierów władze skierowały pismo następującej treści:

„Zawiadamia się, że ob. (tu następowało imię i nazwisko) *jest podejrzany o czyn z artykułu 256 § 2 kk, tj. o ucieczkę zbiorową z aresztu śledczego w Bydgoszczy.*

Apelujemy o nakłonienie poszukiwanego do dobrowolnego zgłoszenia się do aresztu śledczego w Bydgoszczy albo do najbliższej jednostki MO bądź prokuratury.

Dobrowolne zgłoszenie się poszukiwanego sąd względnia z mocy prawa przy wymierzaniu kary.

Ukrywanie się poszukiwanego grozi mu dalszą degradacją społeczną i popadaniem w konflikt z prawem".

Trudno powiedzieć, na ile te pisma pomogły. W każdym razie w kilkunastu przypadkach na pewno. Rodziny mówiły: „Zgłoś się, będziesz się ukrywał, to cię jeszcze zastrzelą".

Ci, którzy zgłosili się dobrowolnie, skorzystali na tym. Prokuratorzy umarzali postępowanie za czyn z art. 256 § 2, czyli za zbiorową ucieczkę, a w bardzo wielu przypadkach uchylali areszt za wcześniejsze przestępstwo. Tak więc wielu z tych ludzi znalazło się znowu na wolności, tym razem jednak legalnie.

Za pozostałymi zaczął się pościg. Pełen mniej lub bardziej dramatycznych zdarzeń, strzałów, obław,

zasadzek. Trwał do szesnastego czerwca 1982 roku, kiedy ujęto ostatniego z uciekinierów.

Anatomia pogoni

W bydgoskich aktach Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej MO i takiego samego wydziału Komendy Miejskiej MO jest szereg notatek, które mówią o poszczególnych akcjach, o poszukiwaniach, zatrzymaniach itd. W większości są to suche, kilkuzdaniowe informacje, do których dopięte są kopie postanowień o zaniechaniu poszukiwań konkretnej osoby. Co kilka stron w tych aktach robiony jest krótki bilans: do siódmego września zatrzymano dwadzieścia dwie osoby; czternastego września — do zatrzymania pozostało trzydzieści dziewięć osób; dwudziestego drugiego października — do zatrzymania dwadzieścia osiem osób. I tak co kilka kartek, aż do lutego 1982 roku, gdy na wolności pozostawało jeszcze dwóch uciekinierów i do szesnastego czerwca, gdy sprawa została zakończona.

Przewijają się też przez te akta inne informacje i notatki służbowe, chociażby jak ta, sporządzona przez młodszego chorążego Wenerskiego, który pisze, że *„(...) w dniu 7 września w godzinach od 17 do 20 wspólnie z sierżantem Jesionowskim i sierżantem Janukiem dokonałem penetracji wyznaczonych lokali gastronomicznych w celu ewentualnego zatrzymania uciekinierów z aresztu śledczego. Pozytywnych rezultatów brak.*

Nadmieniam, że lokal „Ul" jest aktualnie nieczynny z powodu remontu, „Smakosz" jest zamknięty do odwołania, a w „Sielance" ok. godziny 17.30 lokal zamknięto z uwagi na brak towarów konsumpcyjnych".

Notatka ta, oczywiście, nic do sprawy pościgu nie wnosi, ale daje obraz bydgoskiej gastronomii we wrześniu 1981 roku.

*

Właściwie nie ma dnia, by milicja kogoś nie poszukiwała. Poza osobami, które zaginęły, ściga się dziesiątki ludzi za mniejsze lub większe przewinienia. Ale pościg pościgowi nierówny. Oczywiście inne jest zaangażowanie, gdy poszukiwanym jest drobny złodziejaszek, inne, gdy chodzi o niebezpiecznego bandytę.

W większości przypadków pościg za ukrywającym się przestępcą to w pierwszym rzędzie mozolna praca operacyjna, często przypominająca zwykłą pracę biurową. To gromadzenie drobnych informacji, ustalanie kontaktów, czyli znajomości poszukiwanego, przesłuchiwanie dziesiątków osób. I dopiero na podstawie tego wszystkiego tworzy się domniemaną trasę ucieczki i w którymś jej miejscu szykuje pułapkę.

Znaczna część poszukiwanych wyłapywana jest u znajomych, w melinach lub po prostu w trakcie rutynowych patroli, podczas legitymowania.

W pragmatyce milicyjnej istnieją dwa rodzaje poszukiwań: zwyczajne i nadzwyczajne. Te pierwsze dotyczą wszelkiej przestępczej drobnicy, te drugie osób szczególnie groźnych, najczęściej przestępców posługujących się bronią palną.

O każdym poszukiwaniu powiadamiane są wszystkie jednostki milicji, dlatego też bardzo często bywa, że na przykład drobny złodziej lub uciekinier z zakładu karnego, szukany przez milicję na północy kraju, łapany jest przez inną jednostkę milicyjną na drugim krańcu Polski. Zasadą w tzw. poszukiwaniach zwyczajnych jest to, że sprawę prowadzi

jednostka właściwa dla miejsca ucieczki lub zamieszkania poszukiwanego. Ona to ustala wszelkie jego kontakty, sprawdza miejsca, gdzie poszukiwany może przebywać itd. Jest to praktyka już sprawdzona, bo niemal wszyscy podobni przestępcy działają zwykle w pobliżu swojego starego środowiska. Gdzie indziej po prostu tracą oparcie.

O poszukiwaniach nadzwyczajnych decyduje Komenda Główna MO. Opracowany jest plan poszukiwania w całym kraju, a każda jednostka milicji obowiązana jest do traktowania takiego poszukiwania jako priorytetowego; założenia osobnej teczki z dokumentami, penetracji środowisk przestępczych pod kątem tego konkretnego poszukiwania itd. I w przypadku takich właśnie poszukiwań zdarza się, że do akcji włączane są bardzo duże siły.

Na tropie...

Ten ogólny zarys zasad pościgów za przestępcami odpowiada również temu, co działo się po ucieczce więźniów z aresztu bydgoskiego. Gdy ustalono ich personalia i adresy, poszczególne komisariaty, właściwe dla miejsca zamieszkania konkretnych osób, otrzymały polecenie podjęcia poszukiwań. Organizowano również na terenie województwa bydgoskiego i pobliskich akcje „Poszukiwany", polegające na jednoczesnym, przy użyciu większych sił, penetrowaniu środowisk przestępczych, melin, kontroli dworców, ulic, dróg itd. Te wszystkie działania przyniosły konkretne rezultaty, bo w ich wyniku zatrzymano niemal wszystkich uciekinierów.

Ogłoszono również, w sześciu przypadkach, poszukiwania nadzwyczajne. Wśród nich trzech najgroźniejszych: Klepcarza, Klimczyka i Trzcińskiego.

Do komend, wojewódzkich i miejskich, od pierwszych godzin pościgu napływać zaczęły dziesiątki informacji o ukrywających się uciekinierach.

— Różnego rodzaju sygnałów czy bardziej konkretnych informacji — mówi ppłk Alfred Sniechowski — mieliśmy w pierwszym okresie bardzo wiele. Ogłaszane były w miejscowej prasie listy gończe, poza tym sprawa była w Bydgoszczy i okolicy, zresztą i w całym kraju, bardzo znana. Ludzie zaczęli się bać. Zanotowaliśmy kilka przypadków rozbojów, kradzieży itp. dokonywanych przez uciekinierów. To tworzyło psychozę.

Z jednej strony było to dla nas korzystne, bo zwiększało napływ informacji, z drugiej jednak przyczyniało się do powstawania szeregu fałszywych sygnałów. Bywało, że w każdym obcym ludzie widzieli uciekiniera. Powodowało to, że musieliśmy uruchamiać zespoły ludzi, pędzić do odległych często miejscowości, robić obławy i straszyć Bogu ducha winnych ludzi. Pamiętam taką akcję robioną we wrześniu, w której sam zresztą brałem udział. Otrzymaliśmy wtedy sygnał, że Klepcarz znajduje się w okolicy Białych Błot pod Bydgoszczą, w gospodarstwie rolnym, położonym poza wsią w lesie. Sygnał przyszedł późnym wieczorem. Teren ten otoczyliśmy w nocy, a nad ranem, gdy zrobiło się jasno, weszliśmy do gospodarstwa.

Może określenie „weszliśmy" jest niezupełnie właściwe, po prostu na teren obejścia wpadła drużyna specjalna, odpowiednio zabezpieczona kamizelkami kuloodpornymi, hełmami itd. i natychmiast zrobiła dokładne przeszukanie wszystkich pomieszczeń.

Gospodarz był w tym czasie na podwórku i coś robił. Kiedy to wszystko zobaczył: milicję, nadjeżdżające wozy, całe to dosyć przecież dramatyczne zamieszanie, to zwyczajnie oniemiał.

Klepcarza nie znaleźliśmy, nawet śladu po nim, gospodarza przeprosiliśmy, a był — przyznaję — nieźle na nas wnerwiony. No, ale to jest zawsze dodatkowy koszt tego typu operacji, oczywiście, poza niepotrzebnie wypaloną benzyną, zmęczeniem ludzi itd.

Takich informacji i takich akcji było kilka. Kilka razy przeszukiwaliśmy bezskutecznie pobliskie poligony, opuszczone zabudowania, kompleksy leśne. Niektóre przynosiły efekty, w wielu innych przypadkach znajdowaliśmy ślady pozostawione przez ściganych, ale oni sami umykali.

*

Komenda Wojewódzka MO w Bydgoszczy wysłała piątego września 1981 roku, a więc w dniu, gdy ucieczka nastąpiła, telex do wszystkich podległych sobie jednostek z informacją, że uciekło od stu do stu pięćdziesięciu więźniów z aresztu śledczego (w momencie wysyłania telexu liczba zbiegłych oraz personalia wszystkich uciekinierów nie były jeszcze znane), poza tym załączono dyspozycję określonego działania. Polecono:

— przeprowadzenie systematycznych kontroli miejsc grupowania się elementu przestępczego;

— kontrolowanie dworców, pojazdów w ruchu, hoteli, pól namiotowych;

— wzmożenie legitymowania osób w miejscach publicznych;

— zwiększenie kontroli obiektów narażonych na włamania.

W przypadku zatrzymania uciekinierów jednostki miały niezwłocznie zawiadamiać o tym wojewódzkie stanowisko kierowania KW MO w Bydgoszczy.

W dwa dni później zastępca Komendanta Wojewódzkiego MO W Bydgoszczy — płk Edmund Kap-

czyński zarządził na terenie województwa przeprowadzenie pierwszej operacji pod kryptonimem „Poszukiwany".

Milicja miała już wtedy niemal kompletny spis poszukiwanych osób, więc też operacja nie była przeprowadzana po omacku. Rozpoczęto ją siódmego września 1981 roku o godzinie osiemnastej. Trwała ponad dobę. Później przeprowadzono jeszcze trzy takie same akcje.

Plan operacji „Poszukiwany" przewidywał ustalenie i sprawdzenie kontaktów osób poszukiwanych, zwiększenie kontroli osób podejrzanych, przebywających w miejscach publicznych, dokonanie kontroli ośrodków wczasowych, dróg itd.

W poszczególnych komisariatach konkretni funkcjonariusze stali się odpowiedzialni za wykonanie określonych czynności. Trafiali do rodzin zbiegów, prowadzili obserwację i organizowali zasadzki.

Ta akcja przyniosła rezultaty. Jak wynika z meldunków np. Komisariat nr 3 w Bydgoszczy zatrzymał dziewięciu zbiegów. Komisariat nr 4 zameldował o zatrzymaniu dwóch zbiegów. W sumie zatrzymano kilkanaście osób.

Ludzie zaczęli się bać

Z różnych rejonów województwa bydgoskiego i województw pobliskich zaczęły tymczasem napływać meldunki o działalności uciekinierów. Tu ich widziano, gdzieś indziej okradli kogoś lub mocno wystraszyli.

Czternastego września — informował Komendę Wojewódzką Komisariat MO w Pelplinie — zgłosił się Kazimierz K., który tego samego dnia jadąc rowerem polną drogą zatrzymany został około godzi-

ny osiemnastej przez trzech nieznanych mu osobników.

Ludzie ci przeszukali mu kieszenie, zabrali dwa papierosy Popularne i scyzoryk. Poszkodowany zauważył — meldował dalej posterunek z Peplina — że jednemu z tej trójki wypadł na drogę przedmiot zbliżony kształtem do pistoletu. To znaczy poszkodowany sądził, że to pistolet, chociaż stuprocentowej pewności nie miał.

Osobnicy przestrzegli Kazimierza L. przed zawiadomieniem milicji i poszli do pobliskiej sterty prasowanej słomy.

Nim to zdarzenie wywołało reakcję, minęło sporo czasu. Przeszukanie sterty słomy, użycie psów tropiących nie dało więc rezultatu.

Następnego dnia, czyli piętnastego września, do Komendy Miejskiej MO w Tczewie w odległości kilkunastu kilometrów od Pelpina zgłosił się Aleksander C. mieszkający w domu położonym w odległości pięciuset metrów od wsi w gminie Tczew.

Opowiedział on, że poprzedniego dnia wieczorem, około godziny dwudziestej trzydzieści do jego domu wtargnęło trzech osobników (ich rysopisy były zbieżne z wyglądem trzech ludzi, którzy wcześniej zaczepili Kazimierza K.). Przeszukali dom, z marynarki wiszącej na drzwiach zabrali tysiąc sto złotych. Kazali sobie podać jedzenie i przybory do golenia.

Po umyciu się i ogoleniu wyjęli przyniesione ze sobą cztery butelki wina domowego. Wypili wspólnie z poszkodowanym jedną butelkę i wypalili kilka papierosów. Następnie zabrali pozostałe butelki oraz przedmioty, których dotykali i odeszli w kierunku drogi E16 (Gdańsk — Tczew).

Również czternastego września zameldowano, że w miejscowościach Rudno i Dębina w gminie Pel-

plin widziano tego dnia trzech osobników, którzy od przygodnie spotkanych mężczyzn żądali wydania papierosów i dokonali przeszukania kieszeni.

W wyniku tych meldunków w okolicach Tczewa i Pelplina przeprowadzono dosyć znaczną obławę. Podejrzewano, że w tej trójce znajduje się również Andrzej Klepcarz. Wiedziano już o jego groźbach zabicia Jana Rulewskiego, a ta trójka wyraźnie znajdowała się w drodze do Gdańska, gdzie Rulewski był na zjeździe „Solidarności".

Obława jednak nic nie dała, nie dało również wzmożenie czujności przez terenowe posterunki milicji w tym rejonie, kontrole dróg itd. Trzej uciekinierzy rozpłynęli się.

Podobne zdarzenia, jak te opisane wyżej, rozegrały się w dwa tygodnie później — dokładnie w nocy z trzydziestego września na pierwszego października 1981 roku w budce dróżnika na trasie kolejowej Toruń — Bydgoszcz.

Budka ta znajduje się w odległości czterech kilometrów od stacji Cierpice w pobliżu leśnictwa. Tej nocy przyszło tu dwóch mężczyzn. Powiedzieli do dróżnika: „Dawaj, co masz do jedzenia i palenia, nie zapalaj światła i nie głoś na milicję, bo ci gardło poderżniemy".

Dróżnik nikomu początkowo nic nie powiedział, jednak, gdy podobną przygodę przeżyła w kilka dni później zmienniczka dróżnika (z tym że mężczyzn — jej zdaniem — było trzech), zwierzył się, że i u niego podejrzani osobnicy byli również. Informacja o tych zdarzeniach dotarła do milicji dopiero dziesiątego października. Prowadzenie bezpośredniego pościgu nie miało sensu, wypytano jedynie o rysopisy. Niewiele jednak tego było. Napadnięci kolejarze określili osobników jako młodych dziewiętnastodwudziestoletnich, a wśród pokazanych zdjęć wska-

zali fotografię Trzcińskiego. Czy to jednak na pewno był on, trudno powiedzieć.

Na początku października do Komendy Wojewódzkiej MO w Poznaniu dotarła informacja, że planowane jest uprowadzenie samolotu do Berlina Zachodniego. Według tej informacji w lasach w okolicach Krzyża, w województwie pilskim ukrywa się siedmiu zbiegów, którzy kontaktują się z dwiema osobami mieszkającymi w Poznaniu. Uprowadzenie samolotu planowane było dwudziestego szóstego października z lotniska w Bydgoszczy. Przed porwaniem grupa ta miała podobno zaplanowany jakiś poważniejszy skok w celu zdobycia pieniędzy.

Ta informacja nie sprawdziła się. W lasach koło Krzyża nie znaleziono ukrywających się więźniów, a porwanie samolotu z Bydgoszczy nie było możliwe. Po prostu lotnisko w tym mieście było — prawdopodobnie z powodu remontu — zamknięte, a loty pasażerskie zawieszone. Nie dotarło również potwierdzenie o dokonanym większym skoku.

Uciekający więźniowie w większości nie mieli dokumentów. To oczywiście ułatwiało zatrzymanie. Zdarzyło się jednak, że niektórzy z nich, ci cwańsi, potrafili się zaopatrzyć w różne papiery. Na przykład, niejaki Piotr Z. zatrzymany został w kilka dni po ucieczce, gdy spokojnie w restauracji „Ludowej" w Bydgoszczy grał w karty. Jego spokój był o tyle uzasadniony, że posiadał dowód osobisty wypożyczony od Zdzisława M. z Kielc. Jednak Piotr Z. znany był zatrzymującym go milicjantom i numer z dowodem osobistym nic mu nie dał.

Dosyć niezwykłą historię opowiedział mi jeden z bydgoskich milicjantów. Wśród zbiegów znajdował się Jacek M., który w areszcie bydgoskim oczekiwał na rozprawę za włamanie do kiosku. Właśnie w trakcie tego włamania został zatrzymany. Jacka M.

milicjanci rozpoznali w jednej z bydgoskich kawiarni. Gdy go legitymowano, pokazał dokumenty na nazwisko W. Sprawdzono, dokument był jak najbardziej autentyczny, dokładniejsze sprawdzenie potwierdziło również, że rozpoznawany przez milicjantów jako Jacek M., jest jednak osobnikiem noszącym nazwisko na W., wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie mającym nic wspólnego z ucieczką z aresztu bydgoskiego.

— Ta sprawa — mówił mi ów bydgoski milicjant — bardzo nas zaczęła intrygować. Byliśmy pewni, że wcześniej zetknęliśmy się z tym W., ale jako Jackiem M. Poza tym W. nie potrafił sensownie opowiedzieć, co przez ostatnie miesiące robił, gdzie był.

Oczywiście, natychmiast dotarliśmy do miejsca zamieszkania Jacka M. Okazało się, że człowiek taki istnieje, nie ukrywa się i w ogóle nie ma żadnego związku z ucieczką z aresztu bydgoskiego. Jak nam powiedział, mniej więcej rok wcześniej stracił dowód osobisty; może zgubił go sam, może mu go ukradziono. Tego nie pamiętał.

I co się w efekcie okazało. Dowód Jacka M. trafił do W. i gdy ten został po włamaniu zatrzymany, wylegitymował się tym dokumentem. I jako Jacek M. trafił do aresztu. Nie jest wykluczone, że również jako Jacek M. zostałby skazany.

A żeby jeszcze było śmieszniej, to W. ze względu na swój wiek nie powinien trafić do aresztu śledczego, ale w najlepszym razie do schroniska dla nieletnich. Przy pomocy dowodu osobistego Jacka M. postarzał się o jakiś rok...

*

Siódmego września 1981 roku dotarła do milicji w Bydgoszczy informacja z Komendy Głównej MO,

że w nocy z szóstego na siódmy września 1981 roku nieznani sprawcy włamali się do Urzędu Gminy w Zgierzu, skąd zabrali blankiety dowodów osobistych o numerach od 1 810 696 do 1 810 800 oraz pieczątki.

Istniało niebezpieczeństwo, że włamanie to ma związek z ucieczką z aresztu bydgoskiego, a niektórzy z uciekinierów zaopatrzą się w skradzione dokumenty. Tak więc, gdy legitymowano w tym czasie w całym kraju różne osoby, sprawdzano również numery ich dowodów osobistych. Jednak w ostatecznym rozrachunku ustalono, że włamanie w Zgierzu nie miało związku z bydgoskimi więźniami. Te dowody potrzebne były nie dla nich.

Historie różne, w tym i romantyczna

Wróćmy jednak do Komendy Wojewódzkiej i Miejskiej MO w Bydgoszczy i ponownie zajrzyjmy do zgromadzonych tam akt zatytułowanych: „Sprawa poszukiwawcza za zbiegłymi w dniu 5 września 1981 roku z aresztu śledczego". Można tam znaleźć szereg meldunków, notatek służbowych i innych informacji, z których powstaje obraz pościgu. Jednak każdy z tych dokumentów to nie jest kolejna kartka większej opowieści, to opowieść sama w sobie, dotycząca konkretnych osób i konkretnych zdarzeń. Często są one bez zakończenia, nie wiadomo, czy wpięta do akt notatka służbowa o zasłyszanej gdzieś informacji przyniosła w dalszym rozpracowaniu jakieś efekty. Czy na przykład wiadomość, że w polu kukurydzy, w pobliżu miejscowości Wojnów przebywa czterech zbiegów, którzy zaczepiają różne osoby, potwierdziła się. W aktach na ten temat nie ma śladu.

Nie ma też śladu, czy ci trzej, wcześniej już opisani, którzy działali w okolicach Pelplina, lub ci widziani w budce dróżnika, zostali ostatecznie zidentyfikowani. Zapewne tak, ale nie ma tego w tych aktach, bo to już była praca dla innych komórek i dla prokuratorów. Po złapaniu odtwarzano dosyć dokładnie drogę uciekiniera, sprawdzano, czy popełnił, a jeżeli tak, to jakie przestępstwa. Ale była to praca wykonana już później. W okresie, którego dotyczy ta opowieść, najważniejsze było ujęcie wszystkich zbiegów.

Podaję to wyjaśnienie jako swego rodzaju usprawiedliwienie, że nie wszystkie z zaczętych w tej opowieści wątków znajdą zakończenie i ostateczne wyjaśnienie. Jednak sprawa ucieczki więźniów z aresztu bydgoskiego jest tak rozbudowana, że opisanie jej ze szczegółami i do końca, jest praktycznie niemożliwe...

Sięgnijmy zatem do tych fragmentarycznych notatek i opisów. Telefonogram z posterunku MO w Sicieńku:

„7 września o godzinie 22.50 na trasie Zielonczyn — Strzelewo w kierunku Nakła zatrzymany został Paweł Ł. Przewieziono go do zakładu karnego w Inowrocławiu".

„W Chrostowie, gmina Rogowo, województwo włocławskie na cmentarzu ukrywa się trójka zbiegów". I dopisek: *„Podjęte działania nie potwierdziły tej informacji".*

„7 września w trakcie kontroli pojazdów na punkcie zaporowym na trasie E83 w Świeciu zatrzymano Leszka G. i Ryszarda G. Jechali „na łebka" ciężarówką PKS".

„11 września 1981 roku funkcjonariusze MO ubrani po cywilnemu usiłowali wylegitymować w kawiarni „Jedyna" w Bydgoszczy osobnika, którego

rozpoznali jako uciekiniera K. Rzucił się do ucieczki, ale po krótkim pościgu został zatrzymany".

„1 października 1981 roku w ramach akcji „Poszukiwany" po anonimowym telefonie grupa milicjantów udała się na ulicę Skromną 6 w Bydgoszczy, gdzie ukrywać się miał — zdaniem anonimowego informatora — Włodzimierz G. Przeszukanie domu nie dało rezultatów. W kilka godzin później milicjanci powrócili pod ten adres i znowu przeszukali mieszkanie".

— I za drugim razem — mówił mi jeden z milicjantów biorących udział w tej akcji — znowu przekonaliśmy się, że Włodzimierza G. nie ma w mieszkaniu. Jak się nam wydawało, przeszukaliśmy wszystkie zakamarki w domu, gdzie ukryć się mógł wysoki (186 cm wzrostu) mężczyzna. I nie pamiętam, jak to się stało, że jeden z nas zajrzał do szafki pod zlewozmywakiem. Takiej typowej szafki, a więc niezbyt przecież dużej, wypełnionej poza tym armaturą zlewozmywaka. I niech pan sobie wyobrazi — mówił dalej milicjant — w tej szafce, okręcony wokół armatury siedział Włodzimierz G. Nie wiem, jak się on tam zmieścił. Pamiętam tylko, że były poważne kłopoty z wyjęciem człowieka, a gdy już wylazł z tej szafki, to przez długi czas nie mógł się rozprostować.

„Z dokumentami (świadectwo szkoły podstawowej i metryka) na nazwisko Władysław K. zatrzymany został uciekinier Marian O. Ustalono, że wcześniej dzięki tym dokumentom uniknął zatrzymania na dworcu kolejowym. Legitymujący go patrol był mało dociekliwy i uwierzył w pokazywane przez Mariana O. papiery".

„W dwa dni po ucieczce jadący samochodem funkcjonariusze MO zauważyli jednego z uciekinierów. Poznali go, bo był to ich stały klient".

— Szedł zupełnie swobodnie — mówi mi jeden z milicjantów — tak jakby nikt go nie szukał. Próbowaliśmy go zatrzymać, rzucił się do ucieczki. Usiłował wskoczyć do autobusu na placu Poznańskim, ale poruszał się niemrawo, toteż bez większych kłopotów złapaliśmy go. Tą krótką ucieczką był tak zmęczony, że musieliśmy zawieźć go natychmiast na pogotowie. Jego brak kondycji wziął się z kilku tzw. wbitek, czyli samookaleczeń, które zrobił sobie jeszcze przed ucieczką z aresztu.

Bardziej dramatyczny przebieg miało zatrzymanie trzydziestopięcioletniego Zenona C. starego recydywisty, agresywnego, odbywającego przed ucieczką karę za napady i włamania. Ustalono, że ów C. bywa dosyć regularnie u swojej przyjaciółki na ulicy Poznańskiej. I gdy był u niej, zjawiło się dwóch milicjantów. C. nie zamierzał jednak poddać się dobrowolnie. Gdy zobaczył przeciwników, chwycił toporek i rzucił się na nich. Zranił lekko jednego. Nie użyto broni, pozwolono mu uciec, ale prowadzono za nim pościg.

W okolicach sklepu Centralnej Składnicy Harcerskiej na ulicy Jagiellońskiej dopadł go chorąży Mrówczyński. Rozpoczęła się szamotanina, przy okazji wygnieciona została w sklepie CSH szyba, Zenon C. krzyczał do otaczającego ich i gestniejącego tłumu: „Ratujcie, glina mnie morduje".

I trudno powiedzieć, czy tłum nie uwolniłby C. z rąk chorążego Mrówczyńskiego, bo przecież podobne historie w tamtym okresie się zdarzały. Tak się jednak złożyło, że w trakcie szamotaniny Zenonowi C. wypadł zza paska od spodni wspomniany już wyżej toporek.

Może właśnie dlatego tłum nie przeszkadzał Mrówczyńskiemu, ale — dodajmy — też i nie pomagał.

Gonitwą po lesie z udziałem około trzydziestu mi-

licjantów zakończyło się zatrzymywanie Wacława P. Wiedziano o nim, że ukrywa się w okolicach Nowej Wsi, w terenie leśnym. Otrzymano też informację, że przychodzi na miejsce pracy swojej żony, do leśnej szkółki i tam zorganizowano zasadzkę.

Zobaczył jednak milicjantów, rzucił się do ucieczki, wpadł w zagajnik, ale nie miał szans. Teren był otoczony.

Romantyczna jest historia zatrzymania Tadeusza P. Początkowo ukrywał się w lasach pod Fordonem oraz na mełinie w Fordonie. I pewnego dnia poznał dziewczynę — pracownicę szpitala. Po kilku dniach znajomości przeniósł się do niej.

Ta dziewczyna, mówili mi milicjanci z Bydgoszczy, to nie była osoba ze środowiska Tadeusza P., kilkakrotnie karanego kryminalisty. To kobieta spokojna i porządna. Nie miała zresztą zielonego pojęcia, że człowiek, w którym się zakochała, jest poszukiwanym przestępcą.

Idylla tej pary nie trwała jednak długo. Dosyć szybko odkryto, gdzie przebywa Tadeusz P., i w mieszkaniu jego przyjaciółki ekipa milicjantów złożyła wizytę. P. próbował najpierw uciec, gdy okazało się to niemożliwe, chwycił żyletkę i zagroził, że poszatkuje się na kawałki.

I wtedy między dziewczyną a Tadeuszem P. odbył się mniej więcej taki dialog:

— Nie rób głupstw — powiedziała dziewczyna. — Idź z nimi.

— A co ja będę z tego miał? — zapytał trochę retorycznie Tadeusz P., bo przecież musiał wiedzieć, że najbliższa perspektywa to dokończenie odsiadki w więzieniu.

— Nie wiem — odrzekła dziewczyna — jak długo będziesz siedział. Ale na pewno będę na ciebie czekała.

Tadeusz P. odłożył żyletkę, pozwolił założyć sobie kajdanki i spokojnie odszedł z milicjantami. A dziewczyna stała w drzwiach i płakała.

Nie koniec to jednak całej historii. Prokurator — być może wzruszony tym, co rozegrało się w trakcie zatrzymania zbiega — umorzył dochodzenie w sprawie ucieczki i uchylił areszt zastosowany wcześniej wobec Tadeusza P. w związku z dochodzeniem za poprzednie przestępstwa. P. znalazł się ponownie na wolności, tym jednak razem legalnie.

Dziewczyna czekała na niego.

Nie jest więc wykluczone, że P. zerwie z dotychczasowym trybem życia i stanie się przykładnym obywatelem.

Wielce dramatyczna i nie do końca wyjaśniona jest historia związana z Przedszkolem nr 21 przy ul. Płockiej 11. W kilka dni po ucieczce więźniów odbyła się tu dosyć trudna i bardzo niebezpieczna (przede wszystkim ze względu na obecność dzieci) akcja.

Płocka to cicha uliczka w willowej części Bydgoszczy, położona nieopodal budynków Komendy Wojewódzkiej i Komendy Miejskiej.

Przedszkole ulokowane jest w piętrowej, sporej willi, zwieńczonej stromym dachem. Dach ów przykrywa duży strych, wykorzystywany przez personel przedszkola jako skład starych mebli i innych rupieci.

Gdy byłem w przedszkolu w lutym 1982 roku, nie udało mi się trafić na osoby, które brały bezpośredni udział w zdarzeniu. Dlatego też w relacji tej oprzeć się muszę na dokumentach milicyjnych oraz uzupełniającym je opowiadaniu ppłk. Śniechowskiego.

Dyżurny oficer Komendy Miejskiej w Bydgoszczy otrzymał telefoniczną informację, że pracownica

przedszkola zobaczyła na strychu trzech ukrywających się mężczyzn. Natychmiast wysłano patrol. Milicjanci zablokowali wszystkie wyjścia z przedszkola, a po pewnym czasie przybyła specjalna grupa oraz dodatkowe oddziały milicji do otoczenia budynku.

— Musieliśmy — mówi płk Sniechowski — działać tak dyskretnie, by przebywający na strychu uciekinierzy nie zorientowali się zbyt szybko i nie wzięli, na przykład, zakładników. Poza tym chodziło przede wszystkim o to, by dzieciom nie stała się żadna krzywda. Ewakuowano więc je, a na strych weszła drużyna komandosów.

Ale na strychu nikogo nie było. Przeszukano go bardzo dokładnie, przestawiono meble, sprawdzono całe przedszkole, nie trafiono na żaden najmniejszy nawet ślad, że ktokolwiek tu przebywał.

— Ta pani — powiedziano mi w Komendzie Miejskiej — do dzisiaj twierdzi, że widziała na strychu jakichś mężczyzn. Mówi, że zobaczyła ich odbicie w wiszącym lustrze. Oczywiście, nie przyglądała się zbyt dokładnie, bo się bała.

— Więc jak — pytam — był ktoś na tym strychu, czy nie?

— Niemal na sto procent jesteśmy pewni, że nikogo tam nie było, że cała historia wzięła się z przewidzenia powstałego w wyniku psychozy, która dotknęła zresztą wielu ludzi.

✲

Nie kończąc jeszcze opowieści o pościgu za zbiegłymi z aresztu śledczego więźniami, zamknijmy ten jej rozdział, który mówił oderwanymi obrazkami o pościgu za drobnymi przestępcami. Jest czerwiec 1982 roku. Na wolności przebywa jeszcze dwóch zbiegów.

Trzynastego czerwca 1982 roku ujęty zostaje Jan J. Jego zatrzymanie nie ma właściwie żadnej historii, zdarzyło się w trakcie rutynowej kontroli meliny pijackiej przy ul. Cichej w Bydgoszczy, przeprowadzanej przez funkcjonariuszy Komisariatu nr 1 .Wśród przebywających tam osób był również Jan J.

Szesnastego czerwca tego samego roku w Poznaniu zatrzymano Edwarda P. narodowości cygańskiej. Ujęto go w trakcie zebrania czy też zjazdu Cyganów. On jeden nie posiadał dokumentów.

I tak zakończył się po blisko dziewięciu i pół miesiacach rozpoczęty piątego września 1981 roku pościg stulecia. Wydarzenie, które przejdzie zapewne do historii polskiej kryminalistyki jako nie mające dotychczas precedensu.

Trzej zbiegowie

Wypada nam cofnąć się znowu w czasie i opowiedzieć o historii trzech ludzi, których szukano najbardziej intensywnie, których uważano za najbardziej niebezpiecznych. W pościgu za nimi użyto sporych sił, nie obyło się bez strzelaniny, a dla jednego z nich, dla Andrzeja Klepcarza ten pościg zakończył się śmiertelnym zranieniem. Dwaj pozostali to Marek Trzciński i Władysław Klimczyk.

— Właściwie który z tych trzech ludzi — pytam ppłk. Śniechowskiego — był najniebezpieczniejszy?

— Wszyscy trzej byli równie niebezpieczni, chociaż każdy z innych powodów. Zacznę zatem od ich krótkiej charakterystyki. Klepcarz to typ niezrównoważony, człowiek, który nie potrafił znaleźć sobie miejsca w życiu. Jego ciągle gdzieś gnało. Ale nie był to typ klasycznego przestępcy.

Trzciński również nie jest zawodowym przestępcą. To dwudziestosiedmioletni rozwydrzony młodzieniec, który na tle różnych rodzinnych nieporozumień zamordował rodziców. Właściwie z całej trójki jedynie Klimczyk jest kryminalistą doświadczonym, przebiegłym i bezwzględnym.

— Jak pan więc widzi — mówił dalej ppłk Śniechowski — każdy z tej trójki był inny. Pozostawanie tych ludzi na wolności było ogromnym zagrożeniem dla bezpieczeństwa wielu osób. Wiedzieliśmy, że żaden z nich nie cofnie się przed użyciem broni, że w momencie zagrożenia — może zabić. Liczyliśmy się z tym, że mogą się oni mścić na swoich osobistych wrogach, a o Klepcarzu wiedzieliśmy, że nie tylko pragnie „rozliczyć się" z żoną i funkcjonariuszem milicji, ale postanowił zabić Rulewskiego. I mówię panu, że to nie były tylko plotki czy mało konkretne informacje. Klepcarz naprawdę, z powodów osobistych, a nie politycznych, chciał zastrzelić Rulewskiego. Przy jego zdeterminowaniu i przebiegłości, mógł to wykonać. I dlatego z taką intensywnością deptaliśmy mu po piętach, idąc jego śladem i dlatego też tam na ulicy Mokotowskiej w Warszawie w styczniu 1982 roku nie mogliśmy sobie pozwolić na to, by umknął. Sam wywołał tę strzelaninę i w konsekwencji zginął.

Opis pościgu za tą trójką zacznijmy od Marka Trzcińskiego ,dwudziestosiedmioletniego mężczyzny, podejrzanego o zabójstwo rodziców.

Tragedia w Kraczkach

Kraczki to taka niewielka wioska niedaleko Nakła. Tu mieli gospodarstwo — około siedemnastu hektarów — Trzcińscy. Zaliczani byli do zamożnych rolników.

Między Markiem Trzcińskim a jego ojcem dochodziło dosyć często do nieporozumień. Ich tłem było prawdopodobnie przede wszystkim to, że młody miał gest, chciał korzystać z życia. Bywało, że potrafił w knajpie w pobliskich Sadkach postawić wódkę wszystkim biesiadnikom.

Do dramatu doszło w kwietniu 1980 roku. Tego dnia w pobliskiej wiosce odbywała się zabawa. Młody Trzciński był na tej zabawie, ale wieczorem zjawił się w domu. Doszło do sprzeczki z ojcem. Chwycił siekierę i uderzył. W chwilę później do domu weszła matka. Może dlatego, że widziała zabitego męża, zginęła również.

Trzciński przeniósł ciała rodziców do stodoły i ukrył je w słomie. Sam zaś pojechał z powrotem na zabawę.

Rano zgłosił się na posterunek milicji i powiedział, że po przyjściu z zabawy do domu natknął się na zwłoki matki. Przyjechała ekipa dochodzeniowo-śledcza, która niemal od razu natknęła się na drugie zwłoki.

W kręgu podejrzanych o podwójne zabójstwo znalazł się Marek Trzciński. Przeciwko niemu przemawiało coraz więcej, oskarżała go o to zabójstwo również najbliższa rodzina. Pewnego dnia przyznał się i opisał przebieg całego zdarzenia. Później te wyjaśnienia odwołał, ale istnieje szereg dowodów na to, by mówić o Trzcińskim jako najbardziej podejrzanym, jako o prawdopodobnym sprawcy zabójstwa.

Gdy Trzciński wraz z innymi więźniami zbiegł z aresztu śledczego, zadecydowano, by szukać go w trybie nadzwyczajnym. Do milicji dochodziły również pogłoski, że szykuje się on do ucieczki za granicę. Ale zaczęły też nadchodzić sygnały, że póki co ukrywa się w rodzinnych stronach.

Mówi por. Zbigniew Krall z Wydziału Kryminal-

nego KW MO w Bydgoszczy: „W listopadzie 1981 roku otrzymaliśmy sygnał, że Trzciński widziany był w Kraczkach. Podobno jechał z kimś traktorem. Później nadeszła jeszcze druga informacja, że w towarzystwie Mirosława B. i Gábrieli G. pojawił się na weselu w miejscowości. To w pobliżu Kraczek.

Obawialiśmy się, że Trzciński może być uzbrojony. To przekonanie opieraliśmy na pewnym zdarzeniu sprzed półtora roku. Otóż zginął wtedy, a właściwie ukradziony został z samochodu pewnego myśliwego sztucer. Co prawda, tego sztucera do dzisiaj nie znaleźliśmy, ale podejrzewamy, że jest on gdzieś w tamtej okolicy. Wtedy, gdy szukaliśmy Trzcińskiego, mogliśmy przypuszczać, że wszedł w posiadanie tej broni. Miał on bowiem towarzyskie powiązania z miejscowym elementem przestępczym, więc przy założeniu, że broń ukradli miejscowi, a tak prawdopodobnie było, nie miałby większych trudności w zdobyciu tego sztucera. To założenie determinowało nasze postępowanie, a szczególnie sposób zatrzymywania Trzcińskiego. Chodziło przede wszystkim o to, by nie doszło do strzelaniny. Wiadomo przecież, że gdy wybucha ona w gęsto zabudowanej wsi bardzo łatwo o przypadkowe ofiary.

W czasie ucieczki Trzciński związał się z kilkoma osobami, które zresztą znał wcześniej. I pewnej nocy grupa ta wraz z nim dokonała włamania do sklepu, wcześniej zaś ukradła syrenę R-20. Udało się nam śledzić ten samochód. Ustaliliśmy zabudowania, w których Trzciński się schronił. Była to posesja Gabrieli G., a więc tej kobiety, z którą Trzciński widziany był wcześniej na weselu.

Dwudziestego trzeciego listopada 1981 roku rano otoczyliśmy zabudowania. Nie było to łatwe, bo wieś ma zabudowę zwartą, ulicową, a poza tym w posesji, w której ukrywał się Trzciński, mieszkała je-

szcze jedna rodzina, która nic z nim wspólnego nie miała.

Siły mieliśmy niezbyt wielkie: czterech milicjantów z Sadek, przewodników po tym terenie, dziesięciu komandosów i nas trzech z Wydziału Kryminalnego oraz trzy psy.

Rozważaliśmy dwa warianty podejścia do zabudowań. Albo dyskretnie, tak by nie zwrócić niczyjej uwagi, lub pełnym gazem, działając z zaskoczenia, wpaść w te zabudowania i do pomieszczeń.

Wybraliśmy ten pierwszy wariant. Podeszliśmy pod dom, okazało się, że jest zamknięty. Na pukanie nikt nie reagował. Zauważyliśmy jednak, że od wewnątrz tkwi klucz w zamku.

Dwóch komandosów z psem weszło na strych budynku, by stamtąd sforsować wejście do mieszkania. Gdy Gabriela G. zorientowała się, że milicjanci są na strychu zaczęła wołać: „Panowie, zaraz otworzę, tylko nic mu nie róbcie i nie strzelajcie". Kiedy weszliśmy do środka, Trzciński stał na środku pokoju do połowy ubrany i trzymał podniesione ręce. Widać, nie chciał ryzykować.

Przy okazji znaleźliśmy łup z włamania do sklepu.

Western w Żninie

Mniej więcej trzy lata temu zanotowano w okolicach Żnina serię włamań do sklepów. Sądząc po sposobie działania sprawców można było przyjąć, że włamań dokonywała ta sama grupa. Robiono zasadzki, penetrowano środowisko przestępcze, ale bez rezultatów. Sprawcy włamań byli nieuchwytni.

Pewnego dnia, było to w maju, około godziny trzeciej w nocy palacz w restauracji „Pod czaplą"

w Żninie usłyszał w środku jakiś hałas. Domyślił się, że ktoś jest w środku i że prawdopodobnie to włamywacz. Pobiegł więc na posterunek milicji i po kilku minutach na miejscu było dwóch funkcjonariuszy. Po pewnym czasie przyprowadzono również kierowniczkę lokalu, która przyniosła klucze.

Dalej wydarzenia potoczyły się szybko. Dwaj milicjanci weszli do lokalu przez zaplecze. Gdy wchodzili na salę restauracyjną, padł strzał. Na pierwszym z wchodzących nie zrobiło to większego wrażenia. Był przekonany, że strzelający posługuje się straszakiem lub czymś podobnym. Ostatecznie raczej rzadko złodziej czy włamywacz bierze na robotę broń. To się zwyczajnie nie kalkuluje. Za pistolet idzie się na długie lata do więzienia, za włamanie można wykręcić się znacznie mniejszym wyrokiem.

— Ty bandyto, będziesz mnie, starego milicjanta straszył! — zawołał do niewidocznego przeciwnika.

Drugi z wchodzących zorientował się, że to żaden straszak tylko najprawdziwsza broń. Pocisk bowiem trafił w szybę i przewiercił ją na wylot.

— Władek! — zawołał — padnij!

Obaj wskoczyli za ladę bufetu. Strzelano do nich z dwóch pistoletów i to strzelano gęsto. Odpowiedzieli ogniem. Wtedy jeden z włamywaczy wycofał się w kierunku drzwi, rozbił je i zaczął uciekać w stronę jeziora. Odwracał się i ostrzeliwał. Przymierzali się dokładniej i ze środka lokalu strzelili do uciekającego. Jeden ze strzałów trafił go w nogę. Osobnik upadł i odrzucił broń. Poddał się. Drugi jednak siedział nadal w środku i gęsto się ostrzeliwał.

Obaj milicjanci wycofali się na zewnątrz. Poczekali na posiłki. Przyjechał spory oddział i zaczęło się regularne oblężenie. Ten ze środka nie odpo-

wiadał na wezwania do poddania się. Nadal się ostrzeliwał.

Wrzucono do środka gazy łzawiące, a następnie do lokalu wskoczyła specjalna grupa. Obezwładniono strzelającego włamywacza i wyciągnięto na zewnątrz. I to był właśnie Władysław Klimczyk.

— To wyjątkowo przebiegły osobnik — mówi ppłk Śniechowski — gdy obezwładniono go, zdążył jeszcze schować pistolet. Włożył go tak dosyć zmyślnie pod ladę. Dopiero po kilku godzinach szukania udało się broń znaleźć.

Po tej strzelaninie jak z westernu restaurację „Pod czaplą" w Żninie trzeba było remontować. Klimczykowi zaś udowodniono szesnaście włamań do różnych obiektów na terenie województwa, których dokonał wraz ze wspólnikami. Okazało się, że jeden ze wspólników miał warsztat naprawy samochodów. Na włamania jeździli samochodami klientów. To pozwalało im na dużą ruchliwość, a jednocześnie umożliwiało za każdym razem korzystanie z innego pojazdu.

W toku dalszego śledztwa udowodniono Klimczykowi usiłowanie zabójstwa. W Toruniu chciał ukraść taksówkę. Zaskoczył go jednak właściciel. Wtedy Klimczyk strzelił. Przestrzelił temu człowiekowi płuco.

Za te wszystkie przestępstwa sąd skazał Klimczyka na piętnaście lat więzienia. Karę odsiadywał właśnie w areszcie śledczym w Bydgoszczy i wszystko wskazywało na to, że w kryminale posiedzi do siedemnastego maja 1994 roku. Teraz to się chyba trochę przedłuży...

Odtworzono dosyć dokładnie drogę Klimczyka po ucieczce z aresztu śledczego w Bydgoszczy. Kpt. Lipko z Komendy Głównej MO powiedział, że Klimczyk najpierw odwiedził rodzinę, przebrał się i wziął

pieniądze. Dalej powędrował do Chełmży, do kolegi. Przefarbował tu włosy i, ażeby mieć pieniądze na dalszą drogę, włamał się do kiosku „Ruchu". Pojechał następnie do Gniezna. Włamał się tu do sklepu spożywczego, a po sprzedaniu ukradzionego towaru powędrował do Wałbrzycha. Tu również był kiosk „Ruchu". Dwudziestego drugiego września 1981 roku został zatrzymany przy próbie nielegalnego przekroczenia granicy polsko-czechosłowackiej w okolicach Lubania. W planach miał dalszą wyprawę do Austrii.

Przy Klimczyku wopiści znaleźli dwa kompasy, mapy, komplety kluczy i pilników oraz naładowany pistolet. Nie było natomiast żadnych dokumentów.

Klimczyk podał się najpierw za Jana Gilewicza zamieszkałego w Wałbrzychu. Później zmienił zdanie i oświadczył, że jest Edwardem Grodziskim zamieszkałym w okolicach Bydgoszczy, a swoją obecność na granicy tłumaczył... chęcią napicia się po stronie czechosłowackiej soku pomarańczowego, o który w Polsce bardzo trudno. Od samego początku zaczął symulować obłęd. Badania psychiatryczne wykluczyły chorobę.

W trzeciej wersji Klimczyk powiedział, że jest Janem Kowalskim. Ale wtedy porównano jego odciski palców z odciskami znajdującymi się w centralnej kartotece i wiedziano, że to Klimczyk.

— Z WOP — mówiono mi w Wydziale Kryminalnym Komendy Miejskiej MO w Bydgoszczy — otrzymaliśmy zdjęcia Klimczyka po zatrzymaniu na granicy. Potrafił zmienić swój wygląd. Trudno się nawet dziwić, że wopiści nie mogli go rozpoznać na posiadanych listach gończych.

Kłopoty z Klimczykiem jednak się na tym nie skończyły. Dwudziestego trzeciego stycznia przewożono go wraz z czterema innymi aresztantami nyską

do Jeleniej Góry. Było ślisko, samochód wpadł w poślizg i uderzył w stojącego na poboczu stara. Klimczyk wykorzystał zamieszanie i zbiegł. Ponownie ujęto go dwudziestego szóstego stycznia 1982 roku w Ciechocinku.

Samochód Jamesa Bonda

Próbowałem, w trakcie zbierania materiałów do tego reportażu, zrozumieć, jaki był Andrzej Klepcarz. Zetknąłem się z wieloma ludźmi, którzy mieli z nim do czynienia i słyszałem różne opinie. Charakter tego człowieka wymyka się spod konwencjonalnych uogólnień. Jednym imponował, innych drażnił, jeszcze innych rozśmieszał, ale było wielu takich, którzy się go zwyczajnie bali.

Został po nim, wpięty w akta śledcze Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej, pamiętnik, zmięty brulion, w którym niewiele pozostało kartek, zapisany skrótowo, ale zawierający też kilka brudnopisów listów do rodziców oraz żony i wiersze. Wiersze-listy do żony i córki. Może te wiersze są napuszone, momentami pretensjonalne w swojej manierze, może pisane częstochowskim rymem, ale jedna rzecz z nich bije: wrażliwość. Ten człowiek był na pewno romantykiem, chociaż i egocentrykiem mocno zapatrzonym w siebie, szukającym przyczyny wszystkich niepowodzeń raczej w otoczeniu, a nie we własnym postępowaniu.

Wiersz *Zranione serce* — z dopiskiem: *„Wiersz, który wysłałem do żony w drugim liście"*. I jeszcze uwaga: *„Sam ułożyłem!"*.

„Wśród wielu więziennych nocy, wciąż marzę o Tobie i śnię,

Choć serce zranione krwią broczy, a usta wołają nie,
Ja w wierność Twoją wierzyłem, że miłość nasza wciąż trwa,
Sądziłem, że szczęście zburzyłem, lecz winnaś jest TY nie JA "(...)

A cała tragedia zaczęła się od zazdrości. Najpierw próbował zastrzelić żonę, później strzelił do mężczyzny, którego uważał za jej przyjaciela. Strzelał do niego przez wizjer w drzwiach. Tamten się jednak odsunął i wyszedł bez szwanku. Zresztą i broń, z której strzelał Klepcarz, tzw. samodział, czyli pistolet własnej konstrukcji nie był doskonały i te strzały okazały się nie takie znów groźne.

Ukrywającego się po tym incydencie Klepcarza dopadli milicjanci na placu Wolności w Bydgoszczy, gdy wsiadał do taksówki. W trakcie szamotaniny zdołał oddać strzał. Kula zawadziła o palec jednego z milicjantów i przebiła dach samochodu.

Klepcarz trafił do aresztu.

Andrzej Klepcarz to była barwna postać. Swego czasu mistrz Polski juniorów w kulturystyce, później przez pewien czas był taksówkarzem, występował w nocnych lokalach ze striptizerką, wreszcie hodował na fermie pod Bydgoszczą świnie.

— Klepcarz — mówi ppłk Alfred Śniechowski, naczelnik Wydziału Kryminalnego KW MO w Bydgoszczy — to przestępca przypadkowy. Ot, kiedyś poniosły go nerwy i zaczęło się. Ten brak umiejętności analizy własnego postępowania, zastanowienia się, zaczął go prowadzić do eskalacji czynów i w końcu stał się człowiekiem niezwykle niebezpiecznym dla otoczenia. Był chyba najbardziej intensywnie szukanym zbiegiem z aresztu śledczego. Każdego dnia oczekiwaliśmy z niepokojem meldunku, że spełnił swoje groźby.

— Czy wcześniej — pytam — nim dał o sobie znać strzelaniną, znajdował się w sferze waszego zainteresowania?

— W zasadzie nie. Po prostu nie mieliśmy żadnego meldunku, by popełnił jakiekolwiek przestępstwo. Ale o tym, że istnieje, wiedzieliśmy. Podejrzewaliśmy, że bardzo interesuje się bronią palną, że ma broń, że sam sobie robi różne samopały. Były to jednak mało skonkretyzowane podejrzenia, dopiero teraz wiemy, że były słuszne.

— Spełnienia jakich gróźb obawialiście się?

— Dotarły do nas sygnały, że groził śmiercią żonie oraz zapowiadał zastrzelenie naszego funkcjonariusza. Później doszły informacje, że planuje zabójstwo Rulewskiego. Te ostatnie bardzo drobiazgowo sprawdziliśmy i na podstawie tego sprawdzania doszliśmy do wniosku, że nie są to przechwałki. Nie muszę panu tłumaczyć, jakie następstwa polityczne miałby tego rodzaju zamach, nawet zamach nieudany...

Ustalenie wszystkich kontaktów Andrzeja Klepcarza: kontaktów rodzinnych i towarzyskich — mówił mi kpt. Rupiński z KG MO — było niezwykle trudne ze względu na ich rozległość. Wtedy gdy uciekł z innymi z aresztu śledczego w Bydgoszczy, mógł być w Gdańsku, Warszawie, na południu lub północy kraju. Wiedzieliśmy, że to człowiek inteligentny i zdeterminowany. Robiliśmy jednoczesne operacje poszukiwawcze na terenie kilku województw. Otrzymywać zaczęliśmy różne informacje o miejscu jego pobytu. Często trafialiśmy w takie miejsca, ale zwykle o kilka dni za późno. Dopiero ślad w Warszawie okazał się ciepły...

W areszcie śledczym w Bydgoszczy Klepcarz cieszył się dużym mirem wśród więźniów. Ktoś mi nawet powiedział, że cały areszt, i osadzeni i strażni-

cy, mieli kompleks Klepcarza. A mówiąc inaczej, po prostu się go bali.

To fakt, bo przecież Klepcarzowi zakładano na spacery kajdanki. I mógł chodzić tylko w małej grupie. A w areszcie nie ukrywał, że chce uciec. Ale dlaczego? Czy nie liczył się z tym, że zostanie ponownie złapany? Czy wierzył, że resztę życia potrafi spędzić na niekończącej się ucieczce?

Zapytałem o to dr Bogusława Sygita z prokuratury w Bydgoszczy.

— Dlaczego, panie prokuratorze?

— Odnoszę wrażenie, że Klepcarz był przekonany, że czeka go wysoki wyrok, być może myślał nawet, że kara śmierci. Tak mu w areszcie, chyba, wmawiano. I może ten strach przed wieloma latami więzienia, które miał — jak myślał pewnie — w perspektywie, powodował, że chciał uciec.

— A jak pan sądzi, prokuratorze, jaka kara groziła Klepcarzowi?

— Nie jest wykluczone, że całe jego postępowanie zakwalifikowane byłoby przez sąd jako działanie w afekcie. W sumie — w takich warunkach — kara to jakieś dwa, trzy lata więzienia.

I prokurator Sygit ma chyba rację, że Klepcarz bał się lat więzienia. W jego pamiętniku znalazłem brudnopis listu do rodziców. A oto fragment:

„I tak upłynęło 215 dni. Wydaje mi się, że to upłynęły już długie lata, a to dopiero 5164 godziny. Tak, prowadzę tu małą buchalterię, każdego dnia dopisuję upływające godziny. Przede mną jeszcze ich długie tysiące. Myślę, że kara będzie gdzieś w wysokości 87 600 godzin, tak, że sami widzicie, że długa to jeszcze droga (..)".

I rzeczywiście długa droga te 87 600 godzin, które spodziewał się spędzić w kryminale. To 3650 dni, czyli 10 lat...

Może więc dlatego wybrał ucieczkę, a może dlatego, że — jak powiedział mi ktoś inny — był po prostu typem psychopatycznym i nie bardzo kontrolował swoje postępowanie.

*

Opisane na wstępie tego reportażu wydarzenia rozegrały się w poniedziałek czwartego stycznia 1982 roku o godzinie dziesiątej trzydzieści pięć.

— Mieliśmy pewność — mówi mjr Witosławski z Wydziału Kryminalnego Komendy Stołecznej MO — że Klepcarz przebywa na ulicy Mokotowskiej, w mieszkaniu nieobecnej w kraju siostry. Wiedzieliśmy również, że ściągnął do tego mieszkania swoją żonę. Musieliśmy go zatrzymać, bo w każdej chwili mógł pojechać gdzieś dalej. Wiedzieliśmy, że posiada broń i granaty, ale liczyliśmy, że działając z zaskoczenia uda się go obezwładnić bez strzelaniny. Dlatego też tak dobraliśmy komandosów wchodzących do mieszkania, by mieli oni zdecydowaną przewagę nad niezwykle sprawnym fizycznie Klepcarzem. Pierwszy wchodzący to były zapaśnik. I chociaż wszyscy milicjanci z oddziałów specjalnych mają wszechstronne wyszkolenie, liczyliśmy, że człowiek trenujący kiedyś zapasy będzie miał znacznie większe szanse na przebycie tych kilku metrów pokoju, by obezwładnić Klepcarza.

Stało się inaczej. Klepcarz cały czas miał pod ręką swój samopał. Poza tym błyskawicznie zasłonił się żoną tak, że jedyny widoczny dla komandosów fragment jego postaci to było kilka centymetrów głowy wystającej nad ramieniem żony. I w ten niewielki fragment, nie mając żadnego wyboru, i też na zasadzie pewnego odruchu, trafił drugi z wchodzących komandosów.

Nieco później, zupełnie przypadkowo, usłyszałem,

że milicja znalazła samochód Andrzeja Klepcarza — fiata mirafiori. Ale nie był to zwykły samochód. Z tyłu pod światłami miał wmontowaną dubeltówkę dużego kalibru. Tę dubeltówkę można było odpalać ze środka. Na przykład, w czasie jazdy. A więc taki samochód Jamesa Bonda.

Chciałem bardzo to auto obejrzeć lub chociaż przeczytać oficjalny protokół oględzin. Ale nie udało się. Wszyscy ci, którzy nieoficjalnie fakt istnienia tego samochodu potwierdzali, nie chcieli lub nie mogli zrobić tego oficjalnie. Nie wiem w końcu, czy samochód ten naprawdę istniał...

*

Andrzej Klepcarz przewidział własną śmierć. W wierszu do żony, pisanym jeszcze w areszcie, są takie słowa:

„Może kiedyś w „czarnym salonie" Ty mnie ujrzysz wśród kwiatów i róż,
Wyciągniesz do mnie delikatne swe dłonie, a ja na zawsze pożegnam Cię już".

*

I na koniec banalna refleksja: wydarzenia, które rozegrały się w sobotę piątego września 1981 roku za murami aresztu bydgoskiego pociągnęły za sobą ciąg następstw plączących ludzkie losy. Jak w magicznej kostce Węgra Rubika jeden ruch wywołuje nieoczekiwaną wędrówkę kamieni, prowadzącą miast do uporządkowania, do splątania kolorów, tak tutaj skok siedemnastoletniego Jacka Cieślewicza na mur aresztu i celna seria z pistoletu maszynowego strażnika wyzwoliły serię następstw i zdarzeń, których nikt nie mógł oczekiwać i przewidzieć, że odbiją się piętnem na życiu wielu ludzi. W tych wydarzeniach, które udało mi się tylko fragmentarycznie opisać,

komizm przeplata się z tragedią, a śmierć idzie tropem wielu, chociaż dogoniła tylko jednego.

Te wszystkie wypadki, które rozegrały się między piątym września 1981 roku a szesnastym czerwca 1982 roku będą zapewne przez długie lata dramatycznym wspomnieniem ich uczestników.

Chociaż kto wie? Może przewrotny los spowoduje, że po wszystkim pozostanie tylko lakoniczny zapis w historii polskiego więziennictwa, sparaliżowany na szpitalnym łóżku Jacek Cieślewicz i mogiła Andrzeja Klepcarza...

Dziedzictwo

ZYGMUNT KRAWCZYK

LAS jest dookoła. Rozmawiamy, patrzymy na las.

— Pana ojciec zginął przy wywożeniu z lasu czy, jak to pan sformułował, „zrywce" pni drzewnych, przygnieciony przez jeden z nich. Stało się to niemal na pana oczach. Czy wtedy, albo później, przypominając sobie to tragiczne zdarzenie — bo mówił pan, że obraz śmierci ojca czasem do pana powraca, również we śnie — nie nachodziła myśl, żeby rzucić tę ciężką pracę, wziąć się za coś lżejszego, coś co pozwalałoby pędzić spokojne, uregulowane, zasiedziałe życie?

— Nie.

Zaprzeczenie brzmi krótko. Zdecydowanie. Pasując jak ulał do mężczyzny rozmawiającego ze mną i do tła naszej rozmowy.

Zygmunt Krawczyk — niewielkiego wzrostu, żylasty, przysadzisty, ubrany w wojskową kurtkę i wyszmelcowane spodnie trudnego do określenia koloru, twarz spalona na brąz, tylko górna połowa czoła aż do gęstych włosów odznaczająca się nienaturalnie białym pasmem skóry (świadectwo rzadkiego zdejmowania ulubionego kaszkietu skórzanego, noszonego niezmiennie przez okrągły rok, zarówno w mróz jak upał) patrzy twardym wzrokiem, nie zachęcającym ani trochę do kontynuowania podjętego tematu. Ale cóż robić, kiedy m. in. właśnie po

to przyjechałem na drugi kraniec Polski i odświeżyłem zawiązaną przed kilku laty znajomość.

— Czy może mi pan, możliwie szczegółowo, opowiedzieć o tym wypadku?

— Nie.

— Nie? A przecież kiedyś opowiadał mi pan. W gospodzie w Lutowiskach to było, pamiętam...

— Jak opowiedziałem, a pan pamięta, to po co powtarzać.

Milczymy dłuższą chwilę, puszczając dym ze sportów, bo tu, na krańcu Polski nie najlepiej przyjęła się nowa nazwa — popularne, nadana ulubionym papierosom świata pracy. Po co nazywać „popularnym" towar, o którym i tak wszyscy wiedzą, że jest popularny.

— Nie mają w tym Monopolu fantazji — konkluduje pan Zygmunt, o którym wszyscy w Chmielu, Lutowiskach i okolicy wiedzą, że ma fantazję, i owszem, szczególnie gdy w sobotę i niedzielę popije sobie krzynę.

Z łagodnego, trawiastego zbocza, na którym siedzimy przed samotnym, piętrowym domem (dół zajmują gospodarze, góra do wynajęcia), patrzymy ponad doliną Sanu na porośnięty gęstwą lasu szczyt Otrytu, teraz w różnych odcieniach zieleni, jesienią płomienny czerwienią i złotem. Od niewidocznej drogi, biegnącej brzegiem rzeki, drogi w zasadzie publicznej, ale pobudowanej dziesięć lat temu przez Okręg Lasów Państwowych w Ustrzykach specjalnie dla wywózki drewna, dolatuje stłumiony odległością warkot silników potężnych ciężarowych ziłów i skod, zwożących grube pnie świerków, jodeł, buków i dębów ze zwałki na rozległej polanie do oddalonej o dwadzieścia kilometrów stacji kolejowej.

Byłem na tej polanie, na zwałce. Oglądałem po-

tężne pnie, zwalone jeden przy drugim tuż przy brzegu płytkiego strumyka. Podziwiałem sztukę ściągania ich między gęstwą drzew na dół, ku tej polanie, przy pomocy koni, dwu albo czterech kół (są różne szkoły zrywania), krzepy własnych rąk i sprytu.

Cała sztuka polega na tym — tłumaczy pan Zygmunt — aby odpowiednim torem ciężar schodził i żeby koniowi na zad się nie pchał.

Siedzimy na łagodnym, trawiastym zboczu przed domem. Z boku, na łące, odcinają się od zieleni traw czarno-białe sylwetki pasących się krów i kasztanowa maść dwu przysadzistych, jak ich właściciel, koni, „belgami" nie wiedzieć czemu zwanych. Naprzeciw zwarta zieleń lasów Otrytu. Z dołu dolatuje szum Sanu, jeśli chwilowo nie zagłuszą go ciężarówki.

— Pięknie tu... — mówię, myśląc jakby do tematu poruszonego na początku powrócić.

— Pięknie?... — przeciąga nieco zdumionym tonem mój rozmówca. — Okropna odludź. Do sklepu daleko. Do restauracji jeszcze dalej. Przez dzień tylko dwa kursy pekaesu.

— Pan jest przecież niezależny. Jakby co, zawsze można konie zaprząc i skoczyć.

Zdumiony wzrok. Co to, to nie. Konie są od roboty, nie od przejażdżek. Szczególnie w soboty i niedziele. Te dni konie muszą mieć bardziej wolne niż ich właściciel. Muszą odpocząć na pastwisku albo — w zależności od pogody — w stajni.

Moment namysłu.

— Panie! Koń jest w tym interesie ważniejszy ode mnie! Może nie dbam tak bardzo o konie, jak świętej pamięci ojciec (pan rozumie, warunki ogólne gorsze), ale dbam jak tylko mogę. Owsa nie żałuję. A pan wie, po ile dziś owies? Może u kogo jest

inaczej. Ale u mnie koń jak robi, to robi, a jak ma święto, to ma święto!

Pewna emfaza pobrzmiewająca w oświadczeniach mojego rozmówcy wcale nie oznacza, jak to często na wsi bywa, grubo odstającej od prawdy przesady, albo zgoła łgarstwa. Sama solenna prawda. Wiem o tym i ja, i każdy z kumpli pana Zygmunta — wozaków zatrudnionych przez Lasy Państwowe na tym, najdalej na południowy wschód wysuniętym, cyplu Bieszczad. Niektórzy nawet podkpiwają sobie z tej Krawczykowej troski o konie, nie mogąc darować, że je Krawczyk jak ludzi traktuje, że z nimi jak z ludźmi rozmawia, a koń owszem, stworzenie boże, piękne i pożyteczne, ale duszy nie ma i nic nie rozumie prócz krzyku: że heta! że wiśta! Krzyku popartego batem i szarpnięciem wędzidła. A jeszcze ma ten Krawczyk jakieś pańskie fanaberie. Ludzkimi imionami swoje konie ponazywał (młodą trzyletnią klacz — Baśka, czteroletniego wałacha — Antek) i tak je woła, jakby jaki przedwojenny szlachcic albo dziedzic. Bo chociaż faktem jest, że i w socjalizmie, to znaczy w PGR-ach (szczególnie w tych, co większe stajnie mają) nad łbem każdego konia w boksie wisi tabliczka z imieniem — są to jednak imiona nie używane w życiu, potrzebne tylko dla statystyk, urzędowego porządku. Dziś nie te czasy, żeby się z końmi pieścić. Z ludźmi się dziś nie pieszczą, to co mówić o nierozumnym zwierzęciu.

Tak ludzie wydziwiają, oczywiście, tylko między sobą. Krawczyk jest czuły na śmiech, a rękę ma ciężką. Trzy lata temu, jak jeden przyjezdny drwal, zwany „Tarzanem", żenił się z panną z PGR-u Smolnik, to Krawczyk po pijaku całą orkiestrę weselną przepędził aż na drugi koniec wsi, bo chłopaki same młodzieżowe kawałki grali, a on tego tańczyć nie umiał. I żeby jeszcze był regularnym gościem we-

selnym. Ale nie, on tylko tak, „na pitasa" przylazł.

Nie trzeba jednak myśleć, że z Krawczyka zawodowy awanturnik. Bardzo porządny z niego człowiek. A co najważniejsze — pracowity. W tym sezonie, na przykład, z reguły tygodniówkę ma zawsze wyższą (raz więcej, raz mniej, ale jednak) od pozostałych wozaków, nie licząc, oczywiście, tych co z traktorami się najmują, bo ci z reguły mają więcej niż wozacy. Pan Zygmunt ma do traktorów obojętność. Bo fakt, że przy traktorze więcej zarobić można niż przy koniach, ale traktor to tylko martwa maszyna, stosunku do niej mieć nie można, a że ten stosunek pan Zygmunt bardzo sobie ceni, to nigdy, przenigdy — tak się zaklina w każdym razie — nie zamieniłby koni na traktor. Mógł to zrobić parę razy w życiu i nie zrobił. Dlaczego więc miałby zrobić teraz, kiedy jest kryzys i o części zamienne do traktorów trudniej niż o konie, które części zamiennych nie potrzebują.

— Ile pan, panie Zygmuncie — pytam, aby ukonkretnić ogólniki — zarabia tu miesięcznie, średnio licząc?

— Średnio? Ja średnio nie zarabiam! — oburza się mój rozmówca. — Zarabiam dobrze. Od piętnastu do dwudziestu tysięcy. Zwykle bliżej dwudziestu niż piętnastu.

Połowę — od lat ma taką zasadę — wysyła żonie, połowa musi starczyć dla niego. Żona pieniędzy przysłanych przez męża nie trwoni. Składa na książeczkę. Od lat obowiązuje ta umowa. Przez obie strony wypełniana skrupulatnie. Identyczny zwyczaj miał już ojciec pana Zygmunta.

— Dlatego ojciec się dorobił, przedsiębiorstwo własne założył — informuje z dumą mój rozmówca, co czyni zresztą nie tylko w rozmowie ze mną, ale przy każdej sposobnej okazji. Dobrze to o nim

świadczy. Syn dumny z ojca i podtrzymujący dumną o nim legendę, to jest dobry syn.

Wprawdzie przedsiębiorstwo ojcowe nie było znów tak wielkie: wozownia, w wozowni dziesięć wozów; stajnia, w stajni koni odpowiednia do wozów liczba, no i odpowiednia do wozów i koni liczba pracowników, tj. furmanów z pomocnikami, ale — pan Zygmunt mocno to podkreśla — biuro było, ojciec za biurkiem siedział i przez telefon przyjmował zamówienia. Głównie na przewozy różnych towarów z wyjątkiem węgla (bo firma była wyspecjalizowana, nie żeby łapu capu brać wszystko).

— Kryzys międzywojenny nie dał się ojcu we znaki?

— To było już po kryzysie, na początku trzydziestego ósmego. Ojciec kryzys pamiętał, był przezorny. Jak zakładał to swoje przedsiębiorstwo w budynkach kupionych od Żyda, na przedmieściu Chełmna, to swojej gospodarki na wsi nie sprzedał, matkę na niej zostawił. Wielkiej różnicy mu to nie zrobiło, przywykł, jak i ja później przywykłem, samotne życie prowadzić. Dwa lata nie minęły: okazało się, jakiego miał nosa. W wojnę wojsko konie zarekwirowało, budynki firmowe, drewniane całe, z dymem poszły. I gdyby nie to, że grunt zachował, musiałby zupełnym bankrutem zostać. Całą wojnę na gospodarce przesiedział. Po wojnie zaprzągł konie do woza i w drogę! Znów jako wozak.

— Z panem?

— Ze mną.

— Nie wolał pan na gospodarce zostać z matką?

— Może i zostałbym. Ale tak się akurat zdarzyło, że... No, nie mogłem.

— Co to znaczy: nie mogłem?

— Byłem młodziak, głupi.

Nic nie rozumiem. Dotąd słyszałem i to nie raz

od pana Zygmunta, że on z zamiłowania, z wolnego wyboru, że on od samej najwcześniejszej młodości, że sobie innego zawodu po prostu nigdy nie wyobrażał... A tu nagle okazuje się jakiś mus. Na dodatek z głupoty.

— To było tak — decyduje się jednak wreszcie wyjaśnić sprawę pan Zygmunt — miałem dziewczynę. No i ona powiedziała, że jest w ciąży. Ze mną. Że muszę zaraz do ołtarza. Ojciec jechał w drogę, była okazja, jak znalazł.

— A co z dziewczyną?

— Okłamała mnie, cholera jedna.

Miał wtedy dziewiętnaście lat. W tym wieku zaczął wprawiać się do zawodu wozaka — wędrownika. Weszło mu to w krew. I tak do dziś dnia, niemal bez przerwy na wozie. Wtedy, w wieku dziewiętnastu lat, nauczył się piosenki, którą lubi i dziś śpiewać, kiedy popije sobie troszkę:

„A mój ojciec
Furman, furman,
Co zarobi, odda kurwom.
I ja będę taki sam,
Co zarobię, kurwom dam!"

Piosenka, w kontekście tego, co było już tu powiedziane, nie ma prawie żadnego związku z praktyką życiową, obyczajami pana Zygmunta, chociaż fantazję ma on i owszem, szczególnie, jak sobie popije. Jedyny związek to ten, że tak jak w piosence, syn jest taki sam jak ojciec i ten sam zawód posiada. Bo jednak — pan Zygmunt lubi być ścisły — furman to trochę co innego niż wozak. Furman — według tego, co uważa się w rodzinnych stronach pana Zygmunta, bo są w tym względzie pewne odchylenia regionalne — to człowiek powożący, nie koniecznie zawodowo, a jeśli zawodowo, to przeważnie najemnie u kogoś i dla kogoś. Wozak natomiast,

choć też niby najmujący się do roboty, pracuje na własny rachunek i według siebie. Czyli powiedzieć można — jest bardziej wolny. Chce to przyjedzie. Nie chce — nie przyjedzie do roboty. Nikt mu wtedy złego słowa nie powie. Tyle, że mniejszą wypłatę dostanie.

— Ściśle mówiąc — zaznacza pan Zygmunt — to w naszej rodzinie tylko dziadek był dłużej furmanem niż wozakiem.

On tego, oczywiście, nie może pamiętać, ale ojciec mu nie raz opowiadał, jak było. A było tak, że dziadek robił za furmana we dworze, u dziedzica. To znaczy dosłownie u dziedzica, bo nie furmanką powoził, ale dziedzicową bryczką, w piękne konie, wożąc dziedzica z rodziną czy z gośćmi. A potem, jak dziadek się ożenił, to dziedzic w uznaniu dał dziadkowi i jego żonie, która pokojową była, konia. Nie tylko dał, ale i pozwolił, żeby go dziadek w dworskiej stajni trzymał, na dworskiej paszy. No i tym sposobem dziedzic ulubionego furmana stracił. Po roku dziadek drugiego konia dokupił. Do Olendrów przystał. Tak między pierwszą wojną a drugą nazywano w panazygmuntowych stronach wolnych wozaków do najmu, którzy głównie z tego żyli, chociaż czasem mieli jakieś tam gospodarki. A nazwa Olendry wzięła się podobno — tak pan Zygmunt w każdym razie tłumaczy — od nazwy jednej wsi sąsiedzkiej, co się Holendry nazywa. Mieszkają tam potomkowie osadników z Holandii, sprowadzeni do Polski „w czasach przedhistorycznych", chociaż dziś oni sami nic o tym już nie wiedzą i niczym się niewyróżniają od innych. Chyba tylko zamiłowaniem do koni, które mają potężne, zwaliste, do wożenia ciężarów sposobne, i wynajmowaniem się z nimi od niepamiętnych czasów

Dziadek nie dorobił się specjalnie, dopiero ojcu

się to udało przed samą wojną. Szkoda, że w wojnę się spalił, choć nic nie wiadomo. Może jakby interes ojca ocalał aż do naszych czasów, zniszczyłyby go domiary? Może żal, jaki zachowałby w sercu i żal ten synowi przekazał? A tak przekazał tylko konie, wóz, pięć hektarów i zamiłowanie do cygańskiego życia.

— Co się człowiek nażyje, to nażyje, — mówi pan Zygmunt — co świata zobaczy, to zobaczy, dodaje.

Ojciec pana Zygmunta żył średnio długo, zmarł gwałtownie, chociaż mógł jeszcze żyć, a żyć. Ale co się napatrzył, to się napatrzył. Pan Zygmunt, jak mu umierać przyjdzie, też nie będzie żałował. Jego ojciec zdołał jeszcze popracować przed wojną przy budowie fabryk zbrojeniowych w Starachowicach, a po wojnie przy Nowej Hucie, dokąd pana Zygmunta też razem z sobą zabrał. Namawiali go tam różni, żeby ojca odstąpił, zapisał się do jakiejś brygady, dobry fach zdobył, ale pan Zygmunt trochę nie chciał, a trochę tak wypadło, że akurat czas mu było do wojska. W każdym razie, zamiast pójść do jakiejś brygady, to jeszcze przed wojskiem zdołał w Hucie znaleźć sobie żonę i wywieźć ją do domu, do matki, żeby doczekała się tam jego powrotu ze służby. Pana Zygmunta nieobecność przy młodej żonie przeciągnęła się trochę ponad miarę. Zwolniony do cywila, w drodze do domu wypił z kolegami i poszedł na trzy lata na przymusowe wczasy za jakąś tam awanturę; kto inny pobił, jego zasądzili, jak to zwykle bywa. Od tamtego czasu lubi się chwalić, że pić przestał. Powyżej pół litra nigdy sobie nie pozwoli. Chyba, że jest jakieś wyjątkowe święto, ślub albo inna wielka okazja. Żona może być spokojna. Pieniądze jej wysyła regularnie. Tak jak ojciec wysyłał matce. Kiedy ojciec zginął, pan Zy-

gmunt na dłużej, na cały rok do domu rodzinnego się przeniósł. Wyjął pieniądze, co je ojciec do matki wysyłał, a matka składała, i dom wystawił taki, że chyba największy w całej wsi, a może nawet w okolicy.

— Kobieta — mówi — powinna w życiu przynajmniej jedno dziecko urodzić, a mężczyzna postawić przynajmniej jeden dom.

Pan Zygmunt może się założyć, że gdybym go zobaczył nie tu, w Bieszczadach, ale w jego własnym domu, to bym go, po prostu, nie poznał. W domu ma łazienkę i wszystko. Chodzi elegancko ubrany, o nic zabiegać nie musi, kobieta wszystko pod nos mu podtyka. Ci, co stale w domach siedzą, kłócą się z żonami, a on nigdy nie kłóci się ze swoją. Taka jest zadowolona, jak go widzi!

Siedzimy dłuższą chwilę milcząc, wsłuchujemy się w szum Sanu, dolatujący z dołu. Podchodzi gospodarz, u którego pan Zygmunt wynajmuje dwa boksy dla koni, w zimie pokój na górze po letnikach, bo w lecie najlepiej spać w stodole, albo w komórce za oborą (a jak nie lepiej, to na pewno taniej) i z namaszczeniem stawia przed nami butelkę. Rozmowa schodzi na miejscowe plotki: kto, z kim, gdzie, jak, dlaczego. Pan Zygmunt ujawnia się w tej rozmowie jako prawdziwy ekspert od miejscowych stosunków rodzinno-sąsiedzkich. Nic dziwnego. Przecież, po prawdzie, nie wiadomo, w których stronach jest bardziej zakotwiczony. W rodzinnych, w centrum Polski, czy tu, w Bieszczadach. Jeszcze z ojcem zaczął w Bieszczady przyjeżdżać, dwadzieścia lat temu. Grób ojca się tu znajduje.

W rodzinnej wsi wołają na niego normalnie, Zygmunt. Tutaj skrótem: Zyga. Ale kiedy wyrażam przypuszczenie, że jest to może dowód większego spoufalenia i on, i gospodarz solidarnie przeczą. Wy-

pada przeto przyjąć, że Zyga to wynik tradycji. Co drugi wozak ma tu oprócz imienia i nazwiska jakiś przydomek. Ponieważ zaś w stosunkach pozaurzędowych głównie przydomków się używa, milicja czasem ma pewne kłopoty, szukając na przykład człowieka nazywającego się Zgrywa, bo Zgrywa naprawdę nazywa się Kowalski.

Wiem — mówię, starając się maksymalnie wykorzystać sytuację pewnego rozluźnienia, spowodowanego obniżaniem się poziomu płynu w butelce — że w Bieszczady najdłużej pan jeździ, odkąd zrywkę drzew uważa się za najlepszą robotę, a także odpowiednio, godziwie płatną. Ale cofając się myślą wstecz, do wszystkich miejsc, w których pan kiedykolwiek pracował, do wszystkich stron, które zjeździł pan swoimi końmi i wozem — znajdzie pan zapewne wśród nich takie wspominane przez pana do dziś najmilej.

Mój rozmówca nie musi się namyślać, rozważać. On wie. Najmilej wspomina pracę w Nowej Hucie i przy kanale Wieprz — Krzna.

— Dobrze pan wybrał — chwalę. Nowa Huta, wiadomo, historyczna budowa naszych czasów, bohaterska legenda i w ogóle.

— Historyczna? — przeciąga pan Zygmunt, zdając się powątpiewać w ustalenia obowiązujące w publicystyce polskiej. — Ja nie dlatego Nową Hutę mile wspominam, że historyczna, tylko dlatego, że moją kobietę w niej poznałem. Żonę. Panie, jaką ona była wtedy śliczną dziewczyną!

— A kanał Wieprz — Krzna też wspomina pan mile ze względu na jakąś damską śliczność?

Pan Zygmunt popatruje trochę podejrzliwym i zimnym wzrokiem, potwierdzającym krążącą o nim opinię, że śmichów-chichów na swój temat nie lubi.

— Ze względu na konie. Tam traktorów i cięża-

rówek całkiem nie było. Całkiem! Pan to sobie wyobraża? Jak przed wojną.

Wyobrażam sobie. Mogę to sobie wyobrazić. Chociażby dlatego, że kiedyś pisałem o tej budowie reportaż. Równinny pejzaż, ozdobiony tu i ówdzie wierzbami i kępami wikliny; poprzecinany gęsto jasnymi pasmami dróg i dróżek, roił się od ludzi, wozów i koni. Za wozami snuły się chmury pyłu; z grupy wozów jadących w łańcuchu: jeden wóz za drugim, jeden za drugim — widać było właściwie tylko pierwszy w kolumnie. Dla obserwatora z zewnątrz wyglądało to efektownie, ale dla wozaków musiało być czymś straszliwym. Szczególnie w upał lub deszcz. A kurz pylił nie tylko w czasie jazdy, również w czasie powolnego załadunku ziemi na wozy (łopaty!) i w czasie wyładunku, kiedy ze skrzyń wozów, po usunięciu bocznych, znacznie podwyższonych desek, sproszkowana żyzna ziemia sypała się na wznoszony wał. Niektórzy wozacy woleli nałożyć drogi, aby w czasie jazdy lub rozładunku znaleźć się z odwietrznej strony. Przeważająca większość jednak uważała tylko na to, jakby znaleźć najkrótszą drogę, obrócić jak najwięcej razy i zapewnić sobie możliwie największą ilość kresek, stawianych w szkolnych zeszytach po wyładowaniu każdego wozu przez dyżurnych nadzorców. Dzisiaj okolice kanału Wieprz — Krzna z dywanem zielonych łąk uchodzić mogą za wspaniale rekreacyjne, wtedy jednak, w trakcie budowy, było to prawdziwe piekło dla trudzących się przy niej ludzi. Jak można po latach wyróżnić wspomnienia z tej budowy jako szczególnie miłe? Jak można? Wiadomo:

— Tam nie było koni mechanicznych — powtarza pan Zygmunt. — Tam były normalne nasze konie.

Tak. Na tej budowie wozacy — może po raz ostatni w Polsce — prawdziwie królowali. Nadawali ton.

Głównie po fajrancie. Robotnicy, wywodzący się z sąsiednich wsi, po powrocie do domów wpadali w młyn codziennych gospodarskich zajęć; wozacy, na ogół przybysze, mieli wolny czas, więc hulaj dusza! A że pan Zygmunt był wtedy młody — wiadomo. Tam dopiero były zabawy. Wiadomo więc, dlaczego czas spędzony na tej właśnie budowie jawi mu się jako ten najmilszy. Pewno, że fantazję nadal się zachowało. Ale to już nie to...

Coraz częściej nachodzi więc pana Zygmunta myśl niechciana: co będzie, jak posuwający się nieubłaganie naprzód wiek i coraz bardziej szwankujące zdrowie (w wyglądzie zewnętrznym to się nie ujawnia, ale fakt faktem) nie pozwoli mu już pracować w lasach bieszczadzkich przy zrywce. Wprawdzie czasem brak krzepy można nadrobić pomyślunkiem, rutyną, ale przecież „czasem" to nie jest „zawsze".

— Jakbym chciał — mówi nagle pan Zygmunt załatwiwszy sporną kwestię: kto ma skoczyć do leśniczego po następną butelkę — to już do końca życia mógłbym nic nie robić. Dom mam — i to jaki — ubrania w szafie eleganckie, żonę staranną, za domem sadek, za sadkiem sześć hektarów. Oddałbym te hektary za rentę; parę arów i sadek sobie zostawił, w oborze miałbym jedną krowę, w chlewku ze dwa świniaki (jeden na Wielkanoc, a drugi ot, tak tylko) i co by mi brakło...

— Nic — mówię bez zastanowienia, przyzwyczajony od lat do szukania łatwych, optymistycznych zakończeń.

— Nic? — przeciąga mój rozmówca zimno, nieco pogardliwie. — A konie? Za co bym konie utrzymał?

Jan I Wywiadowca

Spis treści

Aleksandra Ziółkowska
W poszukiwaniu tożsamości 3

Tomasz Ordyk
Dolina pod specjalnym nadzorem 49

Andrzej W. Małachowski
Zniknąć w środku miasta 94

W cyklu DZIEDZICTWO
Zygmunt Krawczyk 147

1 2 3 4 5 6 7 8 9 (10) 11 12

W cyklu DZIEDZICTWO rozmowa z
ZYGMUNTEM KRAWCZYKIEM

„EKSPRES REPORTERÓW" jest jedyną na polskim rynku wydawniczo-księgarskim reportażową serią książkową o aktualnej tematyce.
Tomiki **„EKSPRESU REPORTERÓW"** ukazują się co miesiąc.
W następnych tomikach m. in. przedstawimy Czytelnikom:

– o cudotwórcach, zajmujących się bioprądami
– o bandycie i gwałcicielu Kalibabce
– o zawiłych drogach paczek z zagranicy do Polski

NIC CO CIEKAWE NIE JEST NAM OBCE!

KAW

zł 40,-